

KEN ŁUKOWIAK

PIOSENKA ŻOŁNIERZA

Batalion dostaje rozkaz zbiórki „A” (w żargonie wojskowym: jeśli żyjesz, masz tam być).

Jesteśmy wszyscy w sali gimnastycznej, a pułkownik

Jones, odstrzelony jak stróż w niedzielę (pełna gala), obwieszcza nam dobrą nowinę: wyruszamy na Falklandy. Wszyscy wiwatowali, nie wyłączając mnie.



CZYTELNIK

KEN ŁUKOWIAK

**PIOSENKA
ŻOŁNIERZA**

Przełożył ROBERT SUDÓŁ

Czytelnik • Warszawa 1996

Słowo wstępne

Zaciągnąłem się do pułku powietrzno-desantowego latem 1979 roku, lecz z jakiegoś powodu musiały minąć trzy lata, bym sobie to uświadomił. Chwila olśnienia nadeszła wraz z wybuchem pocisku artyleryjskiego na Falklandach. Spojrzałem w górę z piędzi ziemi, w którą próbowałem się wetrzeć, i ogarnąłem otaczającą mnie scenę. Zobaczyłem wielu ludzi ubranych jak ja, leżących plackiem jak ja. Wówczas spadł drugi pocisk, tym razem dalej. Ziemia wybuchła. W niebo wystrzeliły grudy i trawa, pozostawiając za sobą kłęb białego dymu. Kiedy to wszystko ogarnąłem, świadomość spadła na mnie jak cegła. „O, kurwa” – powiedziałem do siebie. „Jestem w woju”.

Wydawałoby się, że pół roku spędzone na przeszkoleniu, nie wspominając już o roku służby w Irlandii Północnej, powinno było przynajmniej niejasno uzmysłowić mi ten fakt, ale najwyraźniej tak się nie stało. Oczywiście do chwili olśnienia ilekroć pytano mnie, co robię, odpowiadałem: „Służę w wojsku”, ale sens tego zdania jakoś do mnie nie docierał.

Gdy wojna się skończyła, nie trwało długo, nim świadomość ta przyblakła i wreszcie zanikła – zapomniałem, że jestem w wojsku.

Następnym razem, gdy sobie o wojsku przypominałem, nie służyłem już od siedmiu lat. Zostawiła mnie dziewczyna, z którą byłem trzy lata. Jej odejście wtrąciło mnie w taki obłęd, że zdolny byłem tylko pytać siebie: „Dlaczego?” Dlaczego jestem taki, jaki jestem, dlaczego mam te wieczne huśtawki nastroju, nagle na-

pady wściekłości, które kończą się rękoczynem, samotne chwile depresji?

I wtedy chwyciłem za długopis. Napisałem następujące słowa: „Ostrzał ustał. Podnieśliśmy się z ziemi i ruszyliśmy dalej”. Tak zaczęło się moje pisanie, które urosło w tę książkę.

O napisanych przeze mnie słowach mogę powiedzieć jedynie, że są wspomnieniami z pewnego okresu mojego życia. Z okresu, kiedy poszedłem na wojnę.

Falklandy

Ocean Atlantycki



Manekiny sklepowe – bez życia, bez koni (pod Goose Green)

Mieliśmy ruszyć pierwsi. Nie pamiętam, o której godzinie. Czytałem w książce, że o dziesiątej wieczorem. W innej, że o jedenastej. Nie wiem. Nie pamiętam. Pamiętam jednak, że było już ciemno, pamiętam też powód wymarszu.

Mieliśmy pchnąć sprawy do przodu.

Wyruszyliśmy z plutonem karabinów maszynowych. Skierowaliśmy się ku skrawkowi łądu, który leżał za wodą, z boku okopów Argentyńczyków. Karabiny maszynowe miały ostrzelać nieprzyjaciela, a kompania strzelców zaatakować frontalnie.

Teren był trudny; w ciemności wszystko wyglądało jednakowo. Za dnia też wszystko wyglądało jednakowo na Falklandach. Pamiętam, że dziwiłem się, jak prowadzący nas żołnierz odnajduje kierunek. Cieszyłem się, że to nie moje zadanie. Co jakiś czas przystawaliśmy. Wtedy rozwijano koc i zarzucano go przewodnikowi na głowę. Schowany pod kocem, czytał mapę przy czerwonym świetle latarki. Mimo to nadal nie mogłem zrozumieć, jak się orientuje, dokąd iść.

Miejsce, do którego zdążaliśmy, leżało w odległości pięciu kilometrów. Czytałem w książce, że marsz zabrał nam trzy godziny. W innej, że cztery. Wolę wersję trzygodzinną. Dowodzi lepszej kondycji.

Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, rozlokowano karabiny maszynowe, a mnie i kilku innych odkomenderowano na tyły, byśmy trzymali straż od strony, z której właśnie nadeszliśmy. Pilnowaliśmy pleców, bo

nie ma nic bardziej przykrego, żałośniejszego i dziwaczniejszego niż trup z krwawiącą dupą.

Gdy tak leżeliśmy w ciemności, czekając, aż zacznie się zabijanie, miałem pierwszą sposobność zabawić się w zgadywanek pod tytułem „A gdybyśmy byli nimi?” Gdybyśmy byli nimi, ulokowalibyśmy kilku ludzi na tamtym odcinku terenu. Na tym, który leży powyżej naszych linii obronnych. Gdybyśmy byli nimi, wiedzielibyśmy, że miejsce, w którym się znajduję, jest najlepszym stanowiskiem do wsparcia ogniowego. Gdybyśmy byli nimi, czekaliibyśmy z wymierzonymi, gotowymi do strzału karabinami. Patrzyłem w ciemność i zastanawiałem się, czy gdzieś tam jest facet, który patrzy na mnie, facet z noktowizorem, facet z bronią. Pomyślałem, że nawet jeśli nie wiedzą, że tu jesteśmy, to dowiedzą się, gdy tylko pierwszy pocisk wyleci z lufy jednego z naszych karabinów maszynowych. I wtedy nam się odwdzięczą. Pamiętam, że myślałem: „Co wtedy zrobię? Co zrobię, gdy ciemność wokół mnie eksploduje nagle i w moją stronę polecą pociski? Odpowiem ogniem, oto co zrobię. Przede wszystkim odpowiem ogniem. Przełamie ich ogień”. To była jedna z pierwszych zasad, których nas nauczono, które wpojono nam najgłębiej: zanim cokolwiek zrobisz – zanim ruszysz do przodu, cofniesz się czy nawet zdecydujesz pozostać tam, gdzie jesteś – przełam ich ogień.

Nasze karabiny maszynowe rozpoczęły ostrzał. Odwróciłem głowę i zobaczyłem żyłki jasnoczerwonego pocisku smugowego: przemknęły przez wodę, trafiły ciemność po drugiej stronie i wytrysnęły ku niebu. Przypominam sobie, że się zastanawiałem, skąd można wiedzieć, w co lub w kogo trafiają nasze kule. Cel wydawał się tak daleki w ciemności, że nie mogłem uwierzyć, by nasz ogień nie chybiał. Padły strzały po

drugiej stronie. Nocne niebo rozjaśniły flary. Rozległy się głosy, krzyki.

Odwrociłem głowę od widowiska świetlnego i hałasu i spojrziałem z powrotem w ciemność, która leżała cicho na naszych tyłach. Lada chwila, pomyślałem, lada chwila wokół mnie rozpęta się piekło.

Przełam ich ogień, przypominałem sobie.

Nic się nie wydarzyło. Nasze karabiny maszynowe przestały strzelać. Leżeliśmy w mroku jakiś czas, aż nadszedł dzień i znów marsz naokoło wody.

Po drodze minęliśmy martwego konia. To była pierwsza nieżywa istota, którą widziałem na Falklandach.

Przeniosłem się w czasie...

Byłem małym dzieckiem. Miałem pięć, może sześć lat. Byłem ubrany w krótkie szare spodenki i szare podkolanówki. Oglądałem z ojcem jeden z jego starych albumów ze zdjęciami. Pamiętam, że jedna z małych czarno-białych fotografii upamiętniała kupę zabitych, rozkładających się koni na polu bitewnym we Francji. Zdjęcie zrobił mój ojciec w czasie drugiej wojny światowej. Jeżeli słowa, które teraz piszę, ukażą się kiedyś drukiem, to chciałbym, by obok zamieszczono to zdjęcie. Podpisałbym je tymi słowami: „Martwe konie z wojny mojego ojca”.

Znów przeniosłem się w czasie...

Miałem piętnaście lat. Byłem ubrany w krótkie szare spodenki i szare podkolanówki. Siedziałem na lekcji angielskiego w szkole w Kalgoorlie w Australii. Tam jest zbyt gorąco, by nosić długie spodnie. Czytaliśmy kolejno na głos wyjątki z książki pod tytułem *Na zachodzie bez zmian*. Akcja toczy się podczas pierwszej wojny światowej, kiedy to konie wciąż były podstawowym środkiem transportu. Na niektórych stronach opisano stosy martwych, rozkładających się koni.

które niegdyś leżały na innym polu bitwy we Francji. Pamiętam, że dziewczyny z mojej klasy bardzo przybiło czytanie o koniach. Tę właśnie książkę oraz film, który na jej podstawie nakręcono, przypominałem sobie wielokrotnie podczas następnych kilku tygodni. Moich kilku tygodni na wojnie.

Powróciłem do Goose Green. Uświadomiłem sobie, że się zastanawiam, jak by się czuły dziewczyny z mojej klasy, gdyby teraz ze mną były. Koń na Falklandach zginął od pocisku artyleryjskiego. Nie wiem, czy wystrzelonego z działa argentyńskiego czy brytyjskiego, ale wiem z całą pewnością, że wystrzelonego przez ludzi. Dotarliśmy do szlaku i ruszyliśmy nim w kierunku dalekich odgłosów walki. Minęliśmy samotnego żołnierza z Kompanii D. Miał na imię Dave, znałem go dość dobrze. Wydawał się jakiś inny, wyraźnie czymś wstrząśnięty. Jed wyjął ze swojego rynsztunku małą srebrną flaszkę i podał ją Dave'owi, pytając, jak się czuje.

- Gaz nie żyje - powiedział Dave.

Gaza nie znałem aż tak dobrze, ale przypomniałem go sobie od razu. Pełniłem z nim kiedyś wartę w Irlandii Północnej. I grałem w karty na okręcie, który nas przywiózł na Falklandy. Przypomniałem sobie wszystkie te chwile, kiedy z nim rozmawiałem. Już nigdy z nim nie będę rozmawiał.

Gaz nie żył.

Nagle na prawo od nas wybuchł pocisk. Rzuciliśmy się na ziemię. Pocisk spadł co najmniej sto metrów dalej i trafił w bagnisko, nie stanowił więc dla nas zagrożenia. Natychmiast gruchnął kolejny, tym razem z tyłu i nieco bliżej. Zaraz jeszcze jeden, z przodu, znacznie bliżej. Argentyńczycy nas szukali. Jeszcze jeden, tym razem na lewo, już bardzo blisko. O kurwa, byłem pewien, że następny spadnie nam na głowy. Ktoś chyba pomyślał to samo, bo rozkazano ruszać do przodu.

Zbiegliśmy ze szlaku i ruszyliśmy na przełaj w kierunku pozycji, których wzięcie Gaz przypłacił życiem. Ale widok. W oddali wszędzie leżały sklepowe manekiny, wszystkie ubrane w jednakową szarą odzież. Pomyślałem, że pewnie wiozła je ciężarówka i powypadały na wybojach. Nie miałem wątpliwości, że to manekiny, bo były tak okropnie powykręcane. Niektóre leżały z rękami i nogami sterczącymi ku górze, inne siedziały, dwa klęczały. Manekiny, z całą pewnością.

Doszlśmy do pierwszego.

To nie był manekin, lecz martwy człowiek.

Zdaję sobie sprawę, że nie potrafię dziś znaleźć odpowiednich słów, by opisać to, co poczułem na widok pierwszej odsłony prawdy o wojnie. Szukam w głowie dawnych doznań, ale chyba już je zapomniałem. I Bogiem a prawdą cieszę się, że nie potrafię ich sobie przypomnieć. Wiem tylko, że część mnie bardzo się przestraszyła. Inna część powiedziała, żebym dał spokój i ruszał dalej. Jeszcze inna dziękowała, że wciąż żyję.

Dziś, kiedy piszę te słowa, na nowo widzę sklepowe manekiny leżące nieruchomo na polu bitwy pod Goose Green, choć nie pamiętam, co wtedy czułem. Wciąż widzę wykrzywiony uśmiech na twarzy pierwszego z nich. Wciąż porusza mnie całkowita pustka, która spowila jego ciało.

Czasami przebiega mnie dreszcz na to wspomnienie. Do serca znieńska zakrada się strach. Myśli mi się płaczą, w rozumowaniu brak logiki. Ale nie martwcie się, wszystko jest pod kontrolą. Bo wtedy sięgam po butelkę.

- Ja stawiam. Co pijesz, Gaz?

Hej ho, hej ho, na wojnę by się szło (Anglia)

Było leniwe kwietniowe popołudnie w 1982 roku. Spędzałem urlop w gospodarstwie matki w Porthtown w Kornwalii. Mama wyszła z domu, byłem więc sam. Oglądałem telewizję, czekałem na mecz piłkarski. Program przerwano, by podać wiadomości z ostatniej chwili. Wieść brzmiała: argentyńska piechota morska dokonała udanej inwazji na Falklandy.

– Co mnie to obchodzi, kurwa mać! – wrzasnąłem. – Dawać piłkę!

Słuchałem dalej głosu z telewizora i po kilku minutach zorientowałem się, że te wyspy mają coś wspólnego z Anglią. Nigdy wcześniej o nich nie słyszałem i teraz z jakiegoś powodu sądziłem, że leżą u wybrzeży Szkocji.

Dlaczego by nie? Szetlandy, Falklandy – brzmi tak samo.

O Argentynie z kolei słyszałem już kiedyś. Rozgrywały się tam ostatnie mistrzostwa świata w piłce nożnej, w 1978 roku.

Zawsze myślałem, że Argentyna, pomimo swych wielkich miast z wielkimi stadionami piłkarskimi, jest krajem Trzeciego Świata z armią, której można stawić czoło. Ale najwyraźniej srodze się myliłem, ponieważ oto na ekranie telewizora ukazali się argentyńscy żołnierze biegający po wyspie u wybrzeży Szkocji.

„O kurde” – pomyślałem. „Skoro oni potrafią spaść na nas zniecka aż z tak daleka, to jaką mamy szansę z Rosjanami?”

Zanim zdążyłem podążyć śladem tej myśli, to znaczy zadać sobie pytanie: „Chwila, po kiego wała Argentyńczycy mieliby dokonać inwazji na wyspę położoną osiem tysięcy mil od ich ojczyzny?”, na ekranie pojawiła się mapa.

– O kurwa, całe szczęście! Falklandy leżą koło Argentyny.

Wiadomości trwały. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu inwazja Argentyńczyków była bardzo, ale to bardzo ważną informacją. Miano pospiesznie zwołać obrady parlamentu. Powiedziano, chyba po to, by dotarła do mnie wreszcie powaga sytuacji, że mecz piłki nożnej, na który czekałem, nie będzie transmitowany.

– Jebani Argentyńczycy! Myślałem, że lubią piłkę! Ktoś powinien zrobić z tymi gówniarzami porządek.

Następnie telewizja przekazała obraz tablicy szkolnej zawieszanej na londyńskim dworcu Waterloo. Napisane białą kredą słowa nakazywały żołnierzom Trzeciego Batalionu Pułku Powietrzno-Desantowego niezwłoczny powrót do jednostki.

– O kurde.

Dalej pamiętam tylko tyle, że siedzę z powrotem w Aldershot i cały batalion (mnie nie wyłączając) jest zajęzony, bo Trzeci Spadochronowy wyrusza na wojnę, a my nie – nas posyłają do Belize w Ameryce Środkowej.

Z okna wygodnej kwatery patrzyłem z zazdrością, jak pierwsze okręty sił ekspedycyjnych biorą kurs na Falklandy.

Niedługo potem wszystko uległo nagle zmianie. Batalion dostaje rozkaz zbiórki „A” (w żargonie wojskowym: jeśli żyjesz, masz tam być). Jesteśmy wszyscy w sali gimnastycznej, a pułkownik Jones, odstrzelony jak stróż w niedzielę (pełna gala), obwieszcza nam dobrą nowinę: wyruszamy na Falklandy.

Wszyscy wtatowali, nie wyłączając mnie.

Kilka dni później trzech czy czterech z nas pojechało na pobliską strzelnicę, żeby przetestować broń. Przecież nikt nie chciałby przekonać się dopiero na wojnie, że pukawki nie działają. Pojechaliśmy samochodem z naszym dowódcą. W pewnej chwili w wozie zostałem

tylko ja i dowódca, major Jenner. Pamiętam, że powiedziałem:

– No, panie majorze, chyba koniec tej Thatcher.

Święcie w to wierzyłem, obojętnie, wygramy czy przegramy. Ponadto na tym etapie nie myślałem, że w ogóle dojdzie do walk; uważałem zaś, że sam fakt, iż rząd dopuścił do tego, by jakiś kraj Trzeciego Świata dokonał inwazji na nasze suwerenne terytorium, będzie końcem tej władzy. Dla mnie to, że nie przewidziano argentyńskiej inwazji, było dowodem zupełnego braku kompetencji ze strony gabinetu Thatcher oraz wywiadu. Major Jenner powiedział, że jego zdaniem się myłę. Uważał, że Thatcher opanuje sytuację i wyjdzie z kryzysu jeszcze silniejsza.

Nietrudno się domyślić, dlaczego on miał ciężko na pagonach, a ja nie.

Jeśli chodzi o naszą „ostatnią noc”, to powtarzała się przynajmniej trzykrotnie i również przynajmniej trzy razy miałem lzawe, wczesnoporanne pożegnania z moją żoną Kathy, która ronila coraz mniej łez. Zanim nadeszło prawdziwe rozstanie, oboje przyzwyczajaliśmy się, że siedzę w domu, kiedy ona wraca z pracy.

Gdy nadszedł feralny ranek, wymaszerowaliśmy jak zwykle, doszliśmy na plac i wsiedliśmy do autokarów, które zawiozły nas do Portsmouth, choć może to było Southampton, nie pamiętam. Mogłbym to sprawdzić w jakiejś książce, ale z tego, co wiem o książkach na temat wojny o Falklandy, to założę się, że w jednej jest napisane Southampton, w drugiej Portsmouth, a nie nazwałbym kłamcą nawet i tego, kto by twierdził, że przeczytał, iż wyruszyliśmy z Gdańska.

Dotarwszy na miejsce, gdzie czekał nasz okręt, wysiedliśmy z autokarów i ruszyliśmy na molo. Orkiestra grała „Nie płacz za mną, Argentyno”.

A mówią, że wojskowym brak poczucia humoru.

Znaleźliśmy przydzielone nam kajuty i wyszliśmy

na pokład, żeby pomachać na pożegnanie wiwatującym, wywijającym flagami ludziom, którzy stali poniżej na nabrzeżu. Smutne, że nie było nikogo, kto by machał do mnie.

Kathy wzięła wcześniej dwa razy wolny dzień z powodu moich niedoszłych odjazdów i nie mogła wziąć trzeciego. Ale i tak nie miało to znaczenia – wybieraliśmy się przecież na wycieczkę. Mieliśmy tylko dojechać na miejsce, potrząsnąć szabelką, a wtedy Argentyle narobią w gacie ze strachu i dadzą w długą, a my popłyniemy z powrotem do domu, srodze zawiedzeni. Żeby mi nie było markotno, zawołała do mnie na pożegnanie żona Franka, Bev. Kłopot w tym, że zamiast nazywać mnie Luke, jak to robili inni, uparcie mówiła mi „Świrek”. Kiedy krzyknęła tak z nabrzeża, wydawało mi się, że wszyscy odwrócili się i popatrzyli na mnie.

– Jebnięty Świrek – rzekł kapral.

Zapomnieli dopiero po trzech dniach. Zabilbym ją za to.

Kiedy nasz okręt wreszcie odbił i zaczął wypływać z portu, marynarze innych jednostek ustawiali się w szeregu na pokładach i krzyczeli trzykrotnie „hura!” Działo wystrzeliło na wiwat.

Bardzo się wzruszyłem.

Te okręty sił ekspedycyjnych, które wyruszyły przed nami, czekały przy Wyspie Wniebowstąpienia, żebyśmy je dogonili. Przybyliśmy tam nocą. Nazajutrz rano wyszedłem na pokład, żeby zapalić papierosa. Zdębiałem. Gdzie okiem sięgnąć, okręty. Przeszedłem na drugą stronę, żeby zobaczyć widok od sterburty. Było tak samo jak w porcie. Wszędzie okręty. W życiu bym nie przypuścił, że my, Brytyjczycy, mamy ich aż tyle. Zrozumiałem nagle, że ktoś gdzieś traktuje tę awanturę bardzo serio. Ktoś gdzieś nie znalazł się na żartach.

Nie myliłem się.

Cała naprzód!

(na pokładzie „Norlanda”)

Żołnierze sił ekspedycyjnych, którzy przybyli na Wyspę Wniebowstąpienia przed nami, zeszli na ląd, by przejść szkolenie i poćwiczyć na strzelnicy (to znaczy pływać i opalać się). Z powodu spóźnienia my pozostaliśmy na „Norlandzie”, ruszaliśmy z niego tylko po to, by trenować przesiadanie się z okrętu na desantowce albo popływać po zatoce, co okazało się bardzo sensownym zajęciem, ponieważ na Falklandach lądowaliśmy potem właśnie z barek desantowych. Ćwiczyliśmy również desant ze śmigłowców, bo w pewnym momencie wydawały się najbardziej prawdopodobnym środkiem transportu z okrętu na wyspy.

Większość czasu w trakcie rejsu na południe spędziliśmy na rozmaitych ćwiczeniach. Ćwiczenia sprawnościowe na lądowisku dla śmigłowców oraz bieganie po pokładzie „Norlanda”. Tupot butów cichł dopiero z nadejściem nocy. Byliśmy w dobrym nastroju i ćwiczyliśmy chętnie. Nie trzeba było nikogo dopingować ani słowem, ani kopniakiem. Przykładaliśmy się dobrowolnie, ponieważ w naszym własnym interesie leżało sumienne wykonywanie poleceń, dawanie z siebie wszystkiego. Mieliśmy też różne wykłady – jak rozpoznać argentyńską broń, jak udzielać pierwszej pomocy w warunkach bojowych (dobry pomysł) – oraz oglądaliśmy filmy, w których radzono, co robić, gdy się człowiek dostanie do niewoli.

Filmy bardzo mi się podobały. Jeżeli wypuszczono by je na szeroki rynek, jestem pewny, że szłyby przy pełnej widowni. Nakręcone były przez Amerykanów i pochodziły z czasów wojny w Korei. Obejrząwszy, co należy robić podczas pięcioletniej odsiadki w indochińskim obozie dla jeńców wojennych, uznaliśmy, że Argentyńczycy mają małe szanse nawrō-

cić nas na komunizm, gdybyśmy wpadli w ich ręce.

Podczas jednego z wykładów pewien starszy stopniem jajogłowy z wywiadu ostrzegł nas, byśmy nie zabierali na Falklandy żadnej poczty ani fotografii naszych bliskich. Powiedział, że jeśli zostaniemy schwytani z listami, nikczemni Argentyńczycy poznają nasze adresy i będą zadrećcać rodziny opisami cierpień, których zaznamy w niewoli. Uczciwe postawienie sprawy, słuszna rada. Dostrzegałem logikę tego rozumowania (choć i tak nikt się nie zastosował do zaleceń).

Jeśli zaś chodzi o zdjęcia, to słyszałem już w życiu różne brednie, ale tym razem srogo przesadzili. Powiedziano nam, że jeśli Argentyńczycy znajdą przy nas fotografie naszych matek, żon albo ukochanych, to poddadzą je fotomontażom i zrobią z nich najplugawszą pornografię. Osiół rżnący od tyłu mamusię, za pomocą takich fotek będą się nad nami pastwić. Ktoś zapytał, czy będzie można odkupić negatywy.

Tak mnie to rozśmieszyło, że aż spadłem z krzesła.

Podczas pobytu na „Norlandzie” wykonywaliśmy bez końca ćwiczenie, które nazywało się „Atak łodzi podwodnej”. Poinstruowano nas, że wszystkie rzeczy osobiste powinniśmy trzymać w plastikowym worku na śmiecie na wypadek nagłej konieczności opuszczenia okrętu. Chodziło o to, by usłyszawszy w głośnikach hasło „Atak łodzi podwodnej!”, udać się spokojnym krokiem (pognać ile sił w nogach) do swej kajuty, chwycić czarny worek, włożyć helm i legnąć w koi. Nie byłoby źle, gdyby kazali nam tak leżeć przez kilka godzin, ale niestety po paru minutach zwykle wracaliśmy do przerwanych zajęć. W wojsku níc tak nie cieszy jak leżenie w wyrku i dłubanie w nosie. Po pewnym czasie alarmy nieźle nas wkurzały, no bo wyobraźcie sobie, że macie fula, gra idzie w najlepsze, a tu nagle ryk z głośników: „Atak łodzi podwodnej!”

Pewnego razu mieliśmy alarm i nie były to wcale

ćwiczenia. Szedłem akurat korytarzem. Kiedy z głośników padło: „To nie ćwiczenia”, wszyscy gwałtownie przyspieszyliśmy kroku. Później okazało się, że to fałszywy alarm, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: poleżeliśmy sobie długo w kojach.

Podczas rejsu „Norlandem” doszły nas wieści, że zatopiono argentyński okręt „General Belgrano”. Ponad tysiąc ludzi wyskoczyło, wpadło lub zostało zepchniętych w lodowate wody południowego Atlantyku. Trzystu zginęło. Większość utonęła, niektórzy zamrzli na śmierć.

Mam w domu film wideo, który opowiada o wojnie falklandzkiej. Jest w nim scena, kiedy żołnierze sił ekspedycyjnych dowiadują się o zatonięciu „Generała Belgrano”. Są z piechoty morskiej. Siedzą w barze na okręcie, który wiezie ich na Falklandy, najprawdopodobniej na wojnę. Usłyszawszy, co się stało, żołnierze markotnieją. Słuchają w ciszy. Uświadamiają sobie, że są w podobnej sytuacji i może ich spotkać taki sam los.

Kiedy nam, spadochroniarzom Drugiego Batalionu, doniesiono o zatopieniu „Generała Belgrano”, wiwatowaliśmy. „Trzeba to uczcić, otwierać bar! To nauczy pierdolonych, żeby z nami nie zadzierać. O tysiąc skurwysynów mniej” – w ten sposób myśleliśmy.

W dużej grupie okazywaliśmy radość ze śmierci tak wielu naszych wrogów, na osobności jednak traktowaliśmy to inaczej. Wielu z nas zastanawiało się potem w spokoju nad tą tragedią. Wszyscy uważaliśmy, że utopienie się w zimnym oceanie to straszna śmierć. Uzmysłowiliśmy sobie w końcu, że też płyniemy po oceanie i że zmierzamy w okolice, gdzie zatapia się okręty.

Zatopienie „Generała Belgrano” uświadomiło nam jeszcze jedno, a mianowicie że stawka poszła w górę i że to myśmy ją podbili.

Zapytaliśmy po prostu Argentyńczyków: „Co macie na rękę? He, he, na pewno blefujecie”. No i sprawdziliśmy ich.

Dwa dni później Argentyńczycy udowodnili, że nie blefują. Pokazali, co mają. Exocety*. Zatopili „Sheffield”. Zginęło dwudziestu ludzi.

Na „Norlandzie” nikt już nie wiwatował.

Wyznania nałogowego palacza (na pokładzie „Norlanda”)

Kajutę dzieliłem z trzema żołnierzami. Była to jedna z lepszych kajut, położona nad poziomem wody, na górnym pokładzie, dość spora i wyposażona w toaletę oraz prysznic. Spaliśmy w czterech piętrowych kojach, po dwie po obu stronach drzwi.

Co rano ze snu wyrывała nas komenda dochodząca z głośników. Pewnego ranka, kiedy leżałem jeszcze w betach i przecierałem zaspane oczy, zerknąłem na Andy'ego, który sypiał na dolnej koi naprzeciwko.

Leżał na wznak, z zamkniętymi oczami, wyrażając cicho apodyktyczny sąd o profesji matki marynarza budzącego nas przez głośniki. Wystawił rękę i zaczął nią po omacku badać podłogę. Dłoń szybko znalazła to, czego pragnął umysł – nikotynę.

Nikotynę w postaci paczki playersów No. 6 king size plus jednorazowa czerwona zapalniczka. Andy położył sobie papierosy i zapalniczkę na piersi, wydobyl spod koldry prawą rękę i wciąż nie otwierając oczu, wyjął z paczki papierosa i zapalił. Zaciągnął się i zakaszlał lekko.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia. Sam też paliłem, ale nie było mowy, bym to robił tak wcześnie rano, a

* Typ pocisku samonaprowadzającego się (przyp. tłum.).

już na pewno nie przed wypiciem czegoś ani leżąc w łóżku. Pomyślałem, że moje życie jest więcej warte od życia Andy'ego, bo ja nie muszę zapalić, żeby się podnieść z wyrka. Surowo oceniłem w myślach jego wcześnieporanne palenie i jakoś doprowadziło mnie to do wniosku, że jestem wartościowszym człowiekiem niż on. On czynił źle, a ja nie.

To moje jedyne wyraźne wspomnienie z tamtego okresu. Okresu, kiedy to płynąłem na wojnę. Tyle że dziś, gdy leżę rano w łóżku i wyciągam rękę po papierozy, a zaraz potem kaszlę po pierwszym sztachnięciu się, przypominam sobie, jak to kiedyś osądziłem Andy'ego.

To bardzo pouczające wspomnienie.

Na południu bez zmian

(na pokładzie „Norlanda” /w zatoce San Carlos)

Wieczorem mieliśmy lądować. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, myślę, że nikt nie wiedział. Jedyne obrazy w mojej wyobraźni były zapamiętane kadry ze starych filmów wojennych: poruszające się sylwetki żołnierzy ścinanych ogniem karabinów maszynowych, kiedy brnęli przez wodę.

Nie pamiętam zbyt dobrze tego dnia poza jednym wyjątkiem. Pamiętam, że był pośpiech i dużo czekania i jeszcze że bez końca sprawdzałem swój sprzęt i czyściłem broń, ale całego dnia od początku do końca nie pamiętam. Pamiętam, że byłem w kajucie i w stołówce, że jadłem chleb z jajkiem sadzonym i piłem herbatę. Pamiętam, że czekałem w jednym z barów, aż mnie zawołają na pomost załadowniczy, gdzie stała barka desantowa. Pamiętam, jak wszyscy się natężali, by podnieść i włożyć plecaki, i jak martwili się, że jesteśmy za

ciężcy. Wciąż widzę plecy żołnierza, który był przede mną, kiedy szliśmy przez licho oświetlony okręt – oświetlony na czerwono, żeby nie zmniejszyć naszej zdolności widzenia w nocy. Pamiętam, jak dawałem krok nad niebezpiecznym odstępem dzielącym okręt od barki desantowej, uważając na każdy ruch, świadom, że upadek z tak ciężkim wyposażeniem w zimne nocne wody oznacza pewną śmierć.

Wyraźnie z tego dnia zapamiętałem tylko jedno – ciszę. Słyszę ją do dziś. Był to bardzo spokojny dzień na „Norlandzie”.

Parę lat później w telewizji powiedzieli, że pisaliśmy wtedy nasze ostatnie listy do domu. Nie pamiętam. Wątpię, bym pisał, i nie pamiętam, by inni to robili. Może telewizja kłamała.

Kto wie? Kogo to obchodzi?

Ostatni żołnierz wsiadł na barkę desantową. Zmienił się rytm pracującego silnika. Ruszyliśmy powoli przez wodę. Z ciemności nadchodziły echa ostrzału. To okręty sił ekspedycyjnych zmiękczały ewentualną obronę na plaży. Próbowałem przegnać z wyobraźni kadry ze starych filmów wojennych, próbowałem nie myśleć, że przy lądowaniu możemy napotkać opór, że plaża może być zaminowana, że zagrodzą nam drogę druty kolczaste i inne przeszkody. Nie wiem, jak długo pozostawaliśmy na barce. Wiem tylko jedno: ani przez chwilę się nie nudziłem.

Barka zwolniła, otarła się dnem o piach. Pochyliła zaczęła się obniżać. Staaliśmy. Rozległ się pojedynczy strzał. Ktoś wypalił przez przypadek. Szlag trafił jego miesięczną pensję, pomyślałem. Żołnierz piechoty morskiej stojący z przodu zawołał cicho: „Oddział wysiadać”.

Zwariował? Przed nami wciąż była woda. Powtórzył komendę: „Wysiadać!”

Nikt się nie poruszył. Ten żołnierz był w beznadziej-

nej sytuacji, nie znalazł bowiem magicznego słowa, na które spadochroniarze idą w ruch. Ale wiedział, kto je zna.

- Jazda.

Zaczęliśmy się wysypywać z barki prosto w lodowatą wodę. Pamiętam, że poczułem się farciarzem: jestem wysoki i woda nie dosięgła tych rejonów ciała, których lepiej nie zamoczyć. Karabiny maszynowe, drut kolczasty i inne przeszkody z mojej wyobraźni okazały się tym, czym były: wytworem mojej wyobraźni. Lądowanie poszło gładko.

Dalej pamiętam tylko jedno: chaos. Setki mężczyzn na skrawku plaży, ciemno choć oko wykol, wszyscy chodzą dokoła i pytają: „Ktoś ty?“, „Wiesz, gdzie jest Kompania C?“

Wpadłem na Jeda i już się go trzymałem. Zeszliśmy z plaży i skierowaliśmy się na drogę, która biegła powyżej. Było okropnie ciemno. Czulem się bardzo nie-swojo. Na prawo, nieco dalej, ujrzałem na drodze dwie sylwetki. Obie ubrane w śnieżnobiałe kominiarki. Obie uzbrojone. Ci dwaj nie byli od nas, nie ma mowy, więc kim byli? Zastanawiałem się, czy nie powinienem strzelać. Mając ich na muszce, ruszyliśmy powoli w ich kierunku, a oni w naszym.

- Kto idzie? - wyszeptał Jed.

- SBS. Kto idzie? - zapytał jeden z zakapturzonych.

- Drugi Spadochronowy - odparł Jed.

- Drugi Spadochronowy? Kurwa, mieliście lądować dopiero jutro. Robimy właśnie zwiad na plażę, żeby ją przygotować na wasz desant.

Słowa te wprawiły mnie w przerażenie. Natychmiast zaczęły mi się cisnąć do głowy myśli, co by było, gdyby... Gdyby na plaży byli Argentyńczycy? A co, gdyby trafili moją barkę desantową pociskiem przeciwpancernym? Albo gdyby karabiny maszynowe rozpoczęły do nas ogień, gdy brnęliśmy bezładnie przez wodę? A

co itd., itd. Przegnałem te myśli mówiąc sobie, że wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Później usłyszałem, że nie tylko nam przydarzyło się spotkanie z żołnierzami ze Special Boat Service*. Niemal każdy natknął się na kogoś od nich i we wszystkich wypadkach odbyła się taka sama rozmowa, niemal słowo w słowo. Dziś zastanawiam się, czy SBS nie zrobiło nam kawału. Jeśli tak, nie wydałby mi się wtedy śmieszny i dziś, kurwa, też nie. Jeśli jednak się nie zgrywali i naprawdę robili zwiad na plażę, to chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że dotąd nie dostałem zaproszenia na egzekucję tego skurwiela, który był odpowiedzialny za to, że zarządził desant na nie zabezpieczoną plażę. Prawdopodobnie nigdy nie poznam prawdy i właściwie nie chcę jej znać.

Przecież wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Wkrótce zaczęło dnieć i wtedy przywrócono jaki taki porządek. Ruszyliśmy gęsiego w kierunku góry Sussex. Będę z wami szczery: maszerowałem trochę w swoim życiu, jak się jest w spadochroniarzach, to często się maszeruje, ale wędrowka z plaży San Carlos na górę Sussex była najgorsza ze wszystkich. Pamiętam, jak przekraczałem potok, zaraz na początku, i jak podtrzymał mnie jeden z SBS, który stał w wodzie i pomagał zachować równowagę przechodzącym żołnierzom. Zapytałem go, ile czasu według niego zabierze nam marsz na ten szczyt, o tam! – wskazałem palcem wierzchołek góry.

– To z pięć kilosów, a więc pewnie z pięć godzin – odpowiedział.

Pięć godzin! Pyszalkowaty fagas w kapturze. Pięć pierdolonych godzin, by zrobić pięć kilosów! Może tobie i pozostałym dupom wołowym z morskiej zabierze to pięć godzin, ale nie nam, kolego. My jesteśmy jebani

* Wsparcie desantu (przyp. tłum.).

spadochroniarze, nie słyszałeś? (Tylko tak pomyślałem, nie powiedziałem na głos).

Następna scena w filmie wojennym ze mną w roli głównej to cztery godziny później, przeszliśmy właśnie cztery kilometry i oto układałam sobie w głowie list z przeprosinami do żołnierza z SBS. Marsz okazał się mordęgą.

W porównaniu z wyposażeniem innych, którzy szli wtedy ze mną, mój ekwipunek (około trzydziestu sześciu kilogramów) ważył stosunkowo mało. Lądowanie w lodowatej morskiej wodzie nie było bez znaczenia i w miarę posuwania się coraz dalej, chlupoczące buty dawały się we znaki zmarzniętym stopom.

Pamiętam, że minęliśmy po drodze kapelana i potem znów minęliśmy kapelana, i znów. Biegał wzdłuż szeregu zachęcając do wysiłku i podnosząc na duchu idących z trudem żołnierzy i ani razu nie słyszałem, żeby kogoś opieprzał. Oto ten, który dokładnie przestudiował Biblię, pomyślałem. Z której części ten cytat? To powiedział Jezus, a więc z Nowego Testamentu, a skoro to przypowieść, można sprawę zawęzić do Ewangelii, ale Ewangelii według którego? Gdybym był w punkcie loteryjnym i musiał postawić (a gdybym był, to ani chybi bym postawił), to na którego: Mateusza, Marka, Łukasza czy Jana? No cóż, jestem Łukowiak, wybieram więc Łukasza. Sposób dobry jak każdy inny, by wybrać konia w gonitwie. Podniosłem oczy znad chlupoczących butów i zobaczyłem, że przeszliśmy kolejne kilkaset metrów. Tak właśnie maszerowałem. Staralem się o tym nie myśleć, stawiałem przed sobą problemy do rozwiązania, rozstrzygałem dylematy, by zająć czymś szare komórki.

Pamiętam, że w pewnej chwili spojrzałem na Jimmy'ego. Szedł przede mną. Zerknąłem na moje nogi i zaraz znów podniosłem głowę. Jimmy zniknął. Zapadł się pod ziemię. Zrobiłem kilka kroków i zobaczyłem

go. Stał w rowie, w wodzie po szyję, klnąc głośno na czym świat stoi. Wątpię więc, by lubił rowy z wodą. Wyciągnęliśmy go. Natychmiast się rozebrał i przebrał. Byłem bardzo zadowolony, że pokazał mi ten rów.

Wreszcie dotarliśmy do podnóża góry Sussex i po krótkim odpoczynku zaczęliśmy wspinaczkę. Kiedy tak szliśmy z mozołem, coraz trudniej przychodziło mi skupianie myśli na czymś innym niż marsz. Wydawało się, że im dłużej idziemy, tym dalej jest wierzchołek. Byłem wkurzony. Byłem wkurzony do nieprzytomności.

Naraz znikąd pojawił się argentyński myśliwiec – mirage – i z jazgotem przeleciał nam nad głowami. Pamiętam, że kiedy zniknął za horyzontem, pomyślałem: „A więc to prawda, na wyspie są Argentyńczycy”. Wiedziałem już o tym, oczywiście, ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć, bo dopiero gdy się zobaczy na własne oczy, opadają człowieka czarne myśli.

Gdy byliśmy w połowie drogi na tę górę pokutną, przed nami wylądował brytyjski śmigłowiec. Jeden z załogi wychylił głowę i zawołał:

– Podwieźć was, panowie?

– A możecie? Nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu – odkrzyknął major Jenner.

„A możecie?” Kurwa, czy ja dobrze słyszę? Ty pierdoleńcu, pomyślałem, jeszcze się pytasz? Masz nasrane we łbie. Padamy tu na mordę, przed nami jeszcze połowa drogi, ci chcą nas podrzucić na sam szczyt, a ten pyta, czy mogą. Widziałem po minach Jeda i innych, że są wkurzeni na majora tak samo jak ja. Pomyślałem, że jeżeli wyrwie mu się jeszcze coś w rodzaju „Możecie?”, to obejrzymy sobie zaraz odtworzenie krwawej sceny z filmu *Ostatnie dni Cezara*.

Ten ze śmigłowca odparł, że mogą i że nie ma żadnego problemu. Wcisnęliśmy się do małej maszyny i po

chwili dźgania palcami w mapę pilot wystartował.

– Kocham tych z RAF-u – powiedział Jed.

– Ja też ich kocham, panie sierżancie – odparłem.

Po krótkim locie śmigłowiec wylądował. Wysiedliśmy i wdzięczni pomachaliśmy załodze na pożegnanie. Major Jenner pochylił się nad mapą. Podniósł zaraz głowę i oznajmił, że wysadzili nas w złym miejscu.

– Kurwa, nienawidzę tych z RAFU-u – powiedział Jed.

– Kurwa, ja też ich nienawidzę, panie sierżancie – odparłem.

Okazało się jednak, że nie jest tak źle. Prawda, wysiedliśmy w złym miejscu, ale to było złe miejsce powyżej, a nie poniżej dobrego. Po krótkim marszu znaleźliśmy wreszcie teren, który mieliśmy zająć. Odpięliśmy saperki i zaczęliśmy się okopywać – po raz pierwszy na Falklandach.

Pierwszy, ale nie ostatni – co to, to nie.

Bombą we mnie, bardzo proszę

(góra Sussex)

Okopaliśmy się. Poniżej, w zatoce San Carlos, okręty sił ekspedycyjnych śpiewały w milczeniu nową piosenkę:

„Bombą we mnie, bardzo proszę”.

Ich prośby wkrótce zostały wysłuchane.

– Czerwone ostrzeżenie przed nalotem! – krzyknął radiotelegrafista.

Usiłując nie okazywać strachu, poszedłem powoli do swojego okopu, włożyłem hełm i czekałem na przybycie argentyńskich samolotów.

Z upływem dni przywykliśmy do nalotów na nasze okręty w zatoce i doszliśmy do krzepiącego wniosku,

że samoloty nie leciałyby szmat drogi po to, by zbombardować takich niegroźnych szwejków jak my. Trudno jednak było nie zauważyć, że okręty (czyli nasi) miały ciężką przeprawę z tymi samolotami. Jeśli żołnierze sił lądowych Argentyny byli choćby w połowie tak odważni jak piloci, to mogły wyniknąć problemy.

Znikąd nadleciały z jazgotem dwa myśliwce. Skrzydło przy skrzydle, mknęły wzdłuż górskiego grzbietu w kierunku zatoki. Znalazłszy się nad wodą, wypoziomowały lot i ruszyły prosto na jeden z okrętów. Pamiętam, że sądziłem, że okręt nie ma żadnych szans, by wyjść z tego cało. Umysł gotował się już na scenę zniszczenia. Samoloty spuściły bomby, okręt zaliczył co najmniej cztery bezpośrednie trafienia i...

Nic.

Nie było żadnych eksplozji, ku powszechnemu zdumieniu okręt nadal stał w zatoce. Poczulem wdzięczność, że się na nim nie znajduję. Na lądzie można przynajmniej rzucić się do panicznej ucieczki. Na okręcie pozostawała tylko modlitwa.

W pierwszym tygodniu pobytu na górze Sussex nie widzieliśmy ani jednego brytyjskiego samolotu. Doniesiono nam, że za swoje naloty Argentyńczycy dostają bity od naszych harrierów, że w drodze na Falklandy oraz w trakcie powrotu do baz ponoszą ciężkie straty. Ja sam widziałem tylko jeden ich samolot, który został strącony - do zatoki San Carlos. Powiedziano nam też, że ponieważ ich straty są znaczne, to samoloty powracają do innych baz, nie tych, z których wystartowały. Robiono tak podobno dlatego, żeby powracający piloci nie mówili tym, którzy dopiero mają lecieć, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażają się stając do walki z lotnictwem brytyjskim.

Od czasu patrzenia z góry Sussex, jak samoloty wroga fala za falą atakują nasze okręty, czytałem wiele wspomnień argentyńskich pilotów z wojny falklandz-

kiej. Żaden z nich nie wspomina, by po misji powracali do innych baz. Wydaje mi się, że nie wspominają, bo wracali do tych samych. Ktoś na Falklandach karmił nas balachami.

Ale nie przeszkadzało mi to i nadal nie przeszkadza, bo chciałem w nie wierzyć.

Śniło mi się, że...

(góra Sussex)

Byliśmy na boisku mojej szkoły podstawowej w Swindon. Właśnie przybyliśmy. Wiedziałem, że lada chwila nadlecą argentyńskie samoloty. Okopywaliśmy się – prędko.

Czułem paniczny strach.

Dopiero co się ożeniłem i zaraz miała przyjść Kathy, musiałem więc zrobić większy okop. Okop dla dwojga. Podniosłem głowę znad płytkiego dołu i zobaczyłem, że wszyscy już kończą kopanie. Siedzieli w ziemi, w hełmach, i patrzyli w niebo.

Kopałem gorączkowo.

Ktoś mnie zawołał. Podniosłem głowę, żeby zobaczyć kto. Nade mną stali dwaj żołnierze. Nie pamiętam, kim byli. Pamiętam jednak, że mnie nie lubili, a ja nie lubiłem ich. Zapytali, czy mi pomóc. Odpowiedziałem, że tak, że bardzo proszę. Wskoczyli do dołu i zaczęli kopać razem ze mną. Jeden z nich zapytał, gdzie mam materac dla żony.

Przerażenie.

Zapomniałem o materacu dla Kathy. Powiedziałem tym dwóm, że muszę zdobyć materac, i poprosiłem, żeby kopali dalej. Dobra, powiedzieli. Wyszedłem z okopu.

Pobiegłem do klasy przez boisko piłkarskie i dalej asfaltowym placem obok drewnianych drabinek. Była to klasa, w której uczyłem się przez cały pierwszy rok. Wszystkie krzesła i ławki ustawiono w stosy pod ścianą. Podłogę na środku zajmował teraz magazyn wojskowy. Za stołem siedzieli Frank i Yank. Wyjaśniłem im, że zaraz zjawi się Kathy i że potrzebuję dla niej materaca. Frank ochrzanił mnie, że nie pobrałem wcześniej. Powiedział, żebym „się wziął w garść”, żebym „zaczął wreszcie jarzyć”. I że gdyby chodziło o mnie, to dostałbym figę, ale dla żony mi wyda. Yank podszedł do ściany, by wyciągnąć jeden materac, a Frank zaczął przygotowywać formularz do wypełnienia. Nie mogłem znaleźć kalki. Zapytał Yanka, czy gdzieś ją widział. Yank odpowiedział, że nie.

Ogarniała mnie coraz większa panika. Zaraz nadlecia samoloty, zaraz przyjdzie Kathy. Szybciej, kurczę, szybciej!

Nie mogli znaleźć kalki. Frank powiedział, że nic nie szkodzi, wypisze wszystko dwa razy. Zaczął pisać. Yank przerwał mu i zapytał, czy „wyposażenie” nie pisze się przez „rz”. Frank odpowiedział, że nie. Poprosiłem, żeby się pospieszyli. Frank i Yank kłócili się o pisownię. Yank powiedział, że przyniesie słownik.

Miałem dość. Chwyciłem materac i wybiegłem z klasy. Usłyszałem krzyki Yanka i Franka. Kiedy wróciłem na boisko, dwaj żołnierze skończyli już kopać. Wrzuciłem do dołu materac i skoczyłem na niego, żeby go ugnieść na dnie.

- Cześć, Ken.

Spojrzałem w górę. Kathy. Była ubrana w koszulę nocną. W prawej dłoni ścisnęła za rączkę Kubusia Puchatka, którego podarowałem jej na urodziny. Weszła do okopu i położyła się obok mnie.

Nadleciały samoloty.

Kiedy bomby zaczęły spadać i wybuchać, zakryłem Kathy własnym ciałem. Rozległa się głośna eksplozja. Obudziłem się.

Była ciemna noc. Nikt nie spał. W zatoce San Carlos rozgorzał mrok. Jeden z naszych okrętów płonął jasno. Okazało się, że „Antelope” została trafiona przez bombę podczas wcześniejszego, dziennego nalotu. Bomba nie wybuchła. Kiedy spaliśmy, saper próbował ją rozbroić.

Nie udało mu się.

Bomba wybuchła.

Saper zginął.

Huk, który wyrwał mnie ze snu, jego wcisnął w sen wieczny.

Noc, noc, niech Bóg ją błogosławi.

Jem, sram, więc jestem

(1)

Od pierwszego dnia po desancie chodziliśmy sobie na zmianę do stołówki na „Norlandzie”. Tam dostawaliśmy gorący talerz, jajka, biały chleb i oba rodzaje kiełbasy (wieprzową i wołową). Kiedy wziąłem jajko z pojemnika i rozbiłem na gorącym talerzu, zaświtała mi w głowie myśl, że już tu kiedyś byłem. W Irlandii Północnej w każdej kuchni wojskowej, w której przyszło mi jadać, znajdowały się gorące talerze, jajka i biały chleb, żeby wychodzący albo powracający żołnierze mogli sobie wałnąć sadzone. Smażąc jajko na „Norlandzie”, zastanawiałem się, czy okazja do zjedzenia chleba z jajkiem sadzonym zawsze idzie w parze z narażaniem życia na pierwszej linii.

Jeżeli wyładujecie kiedykolwiek w brytyjskim wojsku i zobaczycie, że dookoła jest dużo jajek do smaże-

nia, to posłuchajcie mojej rady – bierzcie nogi za pas.

Podczas pobytu na Falklandach najczęściej jedliśmy prowiant, który dostawaliśmy w formie zapieczętowanych racji żywnościowych w czterech albo pięciu zestawach, oznaczonych A, B, C itd. Zwykle braliśmy dwie lub trzy paczki, uważając, żeby nie było takich samych liter – dwóch A, B, C czy D.

Racje żywnościowe przeznaczone były na warunki arktyczne. Nigdy wcześniej nie widziałem arktycznych racji żywnościowych i otworzywszy taką pierwszy raz, zacząłem wydawać ochy i achy, kiedy wyjmowałem po kolei wiktuały. Znalazłem mnóstwo słodyczy.

Ponadto paczka zawierała zdecydowanie więcej jedzenia niż zwykła racja żywnościowa. Były jednak dwa poważne mankamenty: cała żywność została wysuszona i należało ją przed jedzeniem ugotować, co gorsza, potrzeba było takiej ilości wody, by z powrotem z w i l g o t n i a ł a, że bez kranu ze zlewem ani rusz.

Woda jest bardzo ważna. To jedna z wielu oczywistych prawd dotyczących ludzkiego życia, prawd które uświadomiłem sobie dopiero w wojsku.

Wydawałoby się może, że zdobycie wody w takim miejscu jak Falklandy nie będzie nastęrczało wielu trudności, w końcu z nieba aniołki leją tam prawie codziennie. Wyjątkiem jest pora, kiedy pada śnieg. Słowem, woda wszędzie, gdzie się człowiek obejrzy.

I owcze bobki, gdzie się człowiek obejrzy. Gdy piliśmy nie uzdatnioną wodę, bardzo potem chorowaliśmy. Nawet jeśli uzdatnialiśmy ją gotowaniem i odpowiednimi tabletkami, i tak potem chorowaliśmy.

Żarcie jest oczywiście bardzo ważne. Nie tylko dlatego, że jeśli się nie je, to się umiera, ale też dlatego, że nic tak nie podnosi na duchu, jak pełny kałdun, kiedy życie wydaje się gównem warte.

Jedną z potraw w arktycznym zestawie żywnościowym była zapiekanka z mięsa i ziemniaków. Tak na-

prawdę nie była to żadna zapiekanka, tylko zapieczę-
towana próżniowo torebka z ziemniakami błyskawicz-
nymi i zapieczętowana próżniowo torebka z mięsem
błyskawicznym oraz warzywami błyskawicznymi.
Zwykle zachowywaliśmy główne danie na ostatek,
ponieważ mile rozgrzewało nam żołądki przed pój-
ściem lulu. Pierwszy raz, kiedy zmieszałem składniki
do zapiekanki, jakiś gównomózg za sterami skyhawk'a
tak nisko przeleciał nam nad głowami, że usiłując od-
dalić się jak najbardziej od nieba, wywalitem menaż-
kę.

Kiedy wreszcie udało mi się zjeść trochę błyskawicz-
nej zapiekanki, zostałem mile zaskoczony, i to podwój-
nie. Po pierwsze, było tego dużo, a po drugie, smako-
wało.

Powinienem być wiedzieć, że to zbyt piękne, by było
prawdziwe.

Im więcej się jadło, tym mniej miało się frajdy. Za-
piekanka traciła smak. Konsystencja się zmieniała,
papka robiła się kleista. Schła w przewodzie pokarmo-
wym. Przekonaliśmy się szybko, że najlepiej zjeść
wszystko naraz i mieć nadzieję, że zostanie strawione,
zanim znów przemieni się w proszek.

Arktyczne racje żywnościowe, podobnie jak racje
żywnościowe wszystkich innych typów, zawierały duże
paczki sucharów. Lub, by użyć stosownej nazwy, „su-
charów AB”. Oprócz tego, że suchary potrafiły nasycić
najbardziej wyголоdniałego, działały wstrzymująco. In-
nymi słowy, jeśli jadło się dużo sucharów, nie chodziło
się często srać.

Z powodu sucharów pierwszy raz srałem na Fal-
klandach dopiero czwartego dnia. Przybyli wcześniej
żołnierze wykopali duży dół, nad którym zamocowali
żerdzie do siedzenia.

Kiedy siedziałem sobie na żerdzi obok innego żołnierza, który też się wypróżniał, i patrzyłem przed siebie na wciąż płonące okręty w zatoce San Carlos, przypominało mi się *Na zachodzie bez zmian*. To książka o wojnie. Ale nie całkiem. Właściwie to książka o pokoju. Niektóre fragmenty mówią o żołnierzach, którzy siedzieli na kiblach bez ścianek działowych. W szkolnych czasach było dla mnie niewyobrażalne, bym srał w towarzystwie. Zawsze robiłem to na osobności. W zamkniętym pomieszczeniu. Myśl, że mógłbym srać u boku kogoś, kto robi to samo, budziła we mnie niesmak. Odrazę. Inne fragmenty *Na zachodzie bez zmian* opowiadają o zabijaniu, śmierci, zatraceniu i masowej, bezgranicznej głupocie mężczyźni. Jako piętnastolatek uważałem, że to przykre sprawy, ale nie tak przykre, jak przymus srania razem z kimś.

Kiedy tak srałem sobie kolektywnie na mojej wojence, śmiałem się w duchu z piętnastoletniego chłopca, którego niegdyś ogarniał wstręt na myśl o tym, co właśnie robię. Uznałem, że wydorosłałem.

Dziś, kiedy czytam *Na zachodzie bez zmian*, wstręt budzi we mnie jedynie zabijanie, śmierć i masowa, bezgraniczna głupota mężczyźni. Znów się nad tym zastanawiam i dochodzę do wniosku, że może dopiero teraz wydorosłałem.

Może.

Kiedyś przeczytałem w książce o pewnym plemieniu afrykańskim. W sranie na oczach innych Murzyni ci nie widzą nic zdroźnego; zawsze tak się załatwiają. Ale jedzenie to co innego. Jedzą na osobności. Uważają, że widok człowieka wpychającego sobie żarcie do ust jest obrzydliwy. Budzi to w nich wstręt.

W plemieniu, którego byłem niegdyś członkiem, nie przejmowaliśmy się tym wszystkim. Jedliśmy na oczach innych i sraliśmy na oczach innych.

Zdziczenie, czy co? Nie, pragmatyzm.

Satelity miłości?

(marsz do Goose Green)

Byliśmy na Wyspach już tydzień. Jak dotąd nasz udział w wojnie sprowadzał się do patrzenia, jak argentyńskie lotnictwo daje wpierdol naszej marynarce.

Ktoś postanowił to zmienić.

Wieczorem 27 maja, po niedoszłym wymarszu poprzedniego dnia, opuściliśmy górę Sussex i wyruszyliśmy do miejsca zwanego Goose Green. Gdy wszystkie kompanie stanęły w należytym porządku, gotowe do drogi, nadszedł zmrok. Większość marszruty pokonailiśmy utartymi szlakami. Ekwipunek zostawiliśmy na górze Sussex, więc nie byliśmy tak obciążeni jak poprzednio.

Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się dla odpoczynku. Mam trzy wyraźne wspomnienia z tych postojów. Nie pamiętam, w jakiej kolejności wydarzenia te się rozgrywały, ale zapadły mi w pamięć.

Przypominam sobie, jak przerwaliśmy marsz i usiedliśmy, żeby dać wytchnienie nogom. Nadbiegł Frank Pye, który szedł gdzieś z tyłu. Chwycił za kark faceta siedzącego z przodu, podciągnął go na równe nogi i zaczął wrzeszczeć, że co on sobie, kurwa, wyobraża, że się zatrzymuje.

Można by powiedzieć, że Frank popełnił małą gafę. Ponieważ człowiekiem, którego tak obcesowo postawił na nogi, był nie kto inny, tylko nasz dowódca – major Jenner. Z obawy o swoje życie major zaczął krzyczeć:

- Sierzancie, to ja, wasz dowódca! Major Jenner! Wolno mi zatrzymywać kolumnę!

Wówczas Frank obrócił się do mnie i do innych i powiedział, żebyśmy, kurwa, przestali rechotać. Następne kilka minut zabrały mu gorączkowe przeprosiny majora Jennera, a temu z kolei następne kilka minut

zabrało wyjaśnianie, że wszystko w porządku, że rozumie, że nie trzeba przeproszać.

Podczas kolejnego odpoczynku żołnierz siedzący z mojej lewej strony, który w kolumnie szedł przede mną, puknął mnie w ramię i zapytał:

- Czy ktoś zgubił noktowizor? Podaj dalej.

Mnie nie wydano noktowizora, więc puknąłem w ramię żołnierza z prawej strony i przekazałem pytanie. I wtedy przyszła mi do głowy spóźniona myśl: zaraz, zaraz, skoro ktoś na początku tego węża ludzi znalazł noktowizor, to jak, kurwa, możliwe, by zgubił go ktoś z końca? Puknąłem w ramię żołnierza z lewej i podzieliłem się z nim moimi wątpliwościami.

- O kurde, fakt. Marsz rację, Luke.

Puknął w ramię żołnierza ze swojej lewej strony i przekazał mu moje przemyślenia. Do dziś nie wiem, czy ktoś naprawdę zgubił albo znalazł noktowizor. Może to był tylko kawał? Jeśli tak, to dobry, bo się śmiałem.

Później znów się zatrzymaliśmy. Wyciągnąłem się na trawie i spojrzałem w górę. Noc była bezchmurna. Atramentowe niebo skrzyło się tysiącami gwiazd. Spostrzegłem trzy bardzo duże i bardzo jasne gwiazdy. Nie tylko były duże i jasne, ale jeszcze się poruszały. Pokazałem je żołnierzom, którzy odpoczywali obok mnie. Ktoś powiedział, że to nie gwiazdy, tylko satelity. Rany, pomyślałem, satelity! Wpatrzony w niebo, pomachałem do nich. I zaśpiewałem im piosenkę Lou Reeda:

- Bong, bong, bong, satelito miłości.

Jakiś czas potem rozgorzała bitwa. Gwiazdy i satelity ustąpiły miejsca czerwonemu pociskowi smugowemu, błyskom wystrzałów i flarom. Czarną ciszę zakłócały krzyki, wybuchy i ogień z karabinów maszynowych.

Nadszedł dzień, a wraz z nim nasze pierwsze spo-

tkanie ze śmiercią na Falklandach – ze śmiercią Gaza i z manekinami.

Tymczasem wyobrażałem sobie, że satelity dalej trwają w swym samotnym locie wokół planety. Chyba naginałem to trochę pod tę płosienkę Reeda o miłości.

Zagubione owieczki

(pod Goose Green)

Dośćgnęliśmy Kompanię B – a właściwie jej straty. Sanitariusze wzniesli mały kolisty wał z torfu, wewnątrz którego ułożono rannych. Z dala od wału, w samotności, leżały dwa ciała ignorowane skrzętnie przez cały świat. Były przykryte brezentem. Spod brezentu wystawały cztery buty, lewy i prawy i znów lewy i prawy. Powyżej butów widać było brązowe owijacze, a powyżej brązowych owijaczy zielone nogawki.

Ciała ubrane były w takie same buty, owijacze i spodnie, jak ja. To byli nasi. Zastanawiałem się, kto to jest. Z jednej strony usiłowałem nie patrzeć w tamtą stronę, z drugiej koreiło mnie podejść i zajrzeć pod brezent.

Nie w tym rzecz, że miałem niezdrową ciągotę, by oglądać trupy. Chciałem tylko wiedzieć, kto tam leży – to wszystko.

Z przodu, zza horyzontu, nadleciał argentyński pułk. Prosto na nas. Wszyscy machinalnie chwyciliśmy za broń i powitaliśmy go gradem pocisków. Kiedy samolot przelatywał nam nad głowami, rzuciliśmy się na ziemię i wcisnęliśmy twarze w piach. Czekałem w nadziei, że nic się nie wydarzy. Żadnych bomb. Żadnego napalmu. Żadnych wybuchów. Żadnej śmierci. Nawet ulotek z hasłem: „Jazda do domu, Tommy. Ratuj swe życie”.

Nic. Samolot odbił w prawo i zniknął za wzgórzem.

Natychmiast zapomniałem o obietnicach złożonych przed chwilą Bogu i podniosłem się na nogi.

Następne, co pamiętam, to nasz bieg – mój i Billa – na wzniesienie przed nami, gdzie znajdował się pluton zwalczania broni pancernej. Jego żołnierze zostali trafieni kilkoma odłamkami pocisku wystrzelonego z moździerza. Nie pamiętam, czy ktoś nam rozkazał tam biec, czy nas poprosił, czy zrobiliśmy to z własnej inicjatywy. Dobięliśmy do rannego żołnierza. Najwyraźniej nie był to najlepszy dzień jego życia. Wydawało się, że oberwał głównie w prawą połowę ciała, a najwięcej krwi płynęło z ramienia.

Oddychał szybko i bardzo głośno. Usta miał rozchyłone, zęby zaciśnięte.

Jeden z sanitariuszy, który przybiegł przed nami, odpakował strzykawkę z morfiną i wbil ją z całej siły rannemu w lewe udo. Ten ani mrugnął. Sanitariusz też nie. A ja, cholera, tak.

Następnie sanitariusz namalował rannemu duże „M” na czole i wypełniwszy etykietkę, która była zapakowana wraz ze strzykawką, powiesił mu ją na guziku pod szyją. To dlatego, by lekarze na tyłach, do których – jak mieliśmy nadzieję – biedak w końcu dotrze, wiedzieli, że zaaplikowano mu już morfinę.

Jednocześnie obejrzano pospiesznie rany, założono kilka opatrunków i uznano, że w tym tempie krwawienia co dotychczas żołnierz wytrzyma jeszcze trochę.

Ktoś wyjął poncho z ekwipunku rannego, rozwinął je i rozpostarł na ziemi. Położyliśmy na nim żołnierza. Każdy z nas chwycił za jeden róg i zbiegliśmy ze wzgórza do kolistego wału.

Dotarłszy na miejsce, zostawiliśmy rannego pod opieką sanitariusza i zaczęliśmy przeglądać jego ekwipunek. Miał taką samą broń jak Bill i ja, więc podzieliliśmy się jego amunicją. Jedzenie (głównie słodczyce) podzieliliśmy między nas czterech, którzy go przynie-

śliśmy. Były też niemal dwie pełne manierki wody, więc jedną dopełniłmy własne, a drugą mu zostawiliśmy. Ktoś z nas nie miał zegarka, wzięliśmy zatem jego. To był zegarek wojskowy, inaczej byśmy go nie tknęli. Dla rannego i tak liczyła się już teraz tylko jedna pora – pora powrotu do domu.

Pieprzony farciarz. Farciarz, farciarz, farciarz.

Następnie Bill i ja ruszyliśmy tam, gdzie ostatnio widzieliśmy majora Jennera, Jeda i spółkę. Nie było ich. Wówczas Bill stwierdził oczywisty fakt:

– Ja pierdołę, nie ma ich, Luke.

Nasze pierwsze odczucie było mniej więcej takie: „Wielkie dzięki, kurwa mać. Miło wiedzieć, że jest się potrzebnym”. Następnie zaczęliśmy się zastanawiać, co robić. Rozejrzeliśmy się dokoła w nadziei, że ich wypatrzymy, ale trudno się było połapać, wszędzie żołnierze, wszyscy ubrani tak samo, noszący to samo, chodzący i wyglądający tak samo. Staraliśmy się nie panikować. Zapytaliśmy pierwszych z brzegu:

– Widzieliście dowódcę Kompanii C?

– Wysoki? Nosi hełm? Ma broń? Ubrany w zieloną panterkę?

– Cha, cha, cha, ale śmieszne, kurwa mać. Prześcicie się zgrywać. Widzieliście sukinsyna?

– Nie, a co? Zgubiliście go?

– Ej, kurwa, ja jestem szeregowy, bracie, nie mogę nikogo zgubić. Jeżeli się zgubiłem, to dlatego, że jakaś oficerska pizda polazła gdzieś i mnie zgubiła.

– Dobra, dobra, nie wściekaj się. Niestety nie widziałem dowódcy Kompanii C. A pytaliście naszego starego? Może on wie.

– A gdzie on jest?

– Ostatnio widziałem go gdzieś tam, po drugiej stronie wzgórza – żołnierz wskazał ręką – robił co w jego mocy, by zarobić z Blackie'm i resztą dowództwa na Krzyże Wiktorii. Tak szczerze, Luke, to na twoim miej-

scu nie zbliżałbym się na milę do tego świra. Ale to pewnie wasza jedyna szansa.

Wszyscy stojący obok tego, który mówił, gruchnęli śmiechem. Też spróbowałem się roześmiać, lecz wypadłem załośnie. Podziękowaliśmy żołnierzom za pomoc i ruszyliśmy pod górę w poszukiwaniu dowódcy Kompanii B.

Kiedy doszliśmy na szczyt, zauważyłem, że po prawej stronie jest woda. Wcześniej mijaliśmy wodę z lewej strony, wywnioskowałem więc, że zleźliśmy całe pole bitwy. Wówczas stwierdziłem oczywisty fakt:

- Tam jest woda, Bill.

Poniżej szczytu, w niewielkiej niecce, zauważyliśmy rozszarpaną grupę żołnierzy, mniej więcej pluton. Zeszliśmy stokiem i zbliżyliśmy się do nich. Dostrzegliśmy dowódcę Kompanii B. Obróciłem się do Billa:

- Bill, czy ja dobrze widzę? Kurwa, on ma na głowie wełnianą czapkę.

Fakt. Facet zasługiwał na podziw. Ja zanosilem modły do Boga, by mi wydano kamizelkę przeciwodłamkową i drugi helm, żebym go włożył na pierwszy, a ten biegł sobie dokoła w czapce z wełny.

Widziałem wiele bogoojczyźnianych ekranizacji bitwy pod Goose Green (zwykle ukazują one ostatnie chwile życia pułkownika Jonesa). We wszystkich przedstawieni jesteśmy (my, dobrzy faceci) w czerwonych beretach. Wierzcie mi, że nie pamiętam, by podczas tej bitwy któryś z nas nosił na łbie coś innego niż helm. Z wyjątkiem dowódcy Kompanii B, majora Crosslanda. On miał czapkę z czarnej wełny.

Obok dowódcy stał jego pisarz, Blackie. Zapytałem go, jak się miewa, i wyjaśniłem, że zgubiliśmy naszego dowódcę.

- Kurwa, szkoda, że ja nie zgubiłem swojego - odparł Blackie.

- Kurwa, wtedy dopiero byłaby szkoda - powie-

dział Crosland. – Blackie, przecież ty mnie kochasz. Wszyscy się roześmieliśmy.

Major mówił przez radiostację. Chciałem go zapytać, czy może wie, gdzie jest mój dowódca, ale wydawał się pochłonięty tym, co robi. Pamiętam, że duże wrażenie zrobił na mnie jego spokój i panowanie nad wszystkim dokoła. Pomyślałem, że w pewien sposób ma szczęście, że musi się troszczyć o innych, planować. Zazdrościłem mu. Doszedłem do wniosku, że gdybym ja miał takie obowiązki, nie dopuszczałbym do siebie czarnych myśli. Przestałbym dumać. Ponieważ major wydawał się bardzo zajęty, nie śmiałem mu przeszkadzać durnym pytaniem. Obróciłem się do Billa:

– No, Bill, spytaj go – powiedziałem.

– Dlaczego ja? Sam go, kurwa, spytaj.

– Jesteś starszy stopniem.

– Takiego wała. Mamy taki sam staż, więc jak mogę być starszy?

– Ponieważ masz dwóch braci, którzy są kapralami.

Ten argument nie trafił Billowi do przekonania. Ja musiałem spytać. Przeprosiłem majora, że mu przeszkadzam, i zapytałem, czy wie, gdzie jest dowódca Kompanii C. Powiedział, że niestety nie wie. Zapytał, czy z nami wszystko w porządku, i dodał, że jeśli chcemy, to możemy się włączyć razem z jego żołnierzami, decyzja należy do nas.

No tak. Ten jeden jedyny raz, kiedy chciałem, by wydano mi jasny rozkaz, co, kurwa, mam robić, to akurat wtedy pozostawiono mi wolny wybór. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy z Billem dalej szukać naszych. Podziękowaliśmy dowództwu Kompanii B, a oni poradzili nam, byśmy spróbowali w Kompanii A.

– A gdzie ona jest? – zapytaliśmy.

– Idźcie gdzieś tam, w tamtym kierunku – powiedzieli.

Poszliśmy więc gdzieś tam, w tamtym kierunku, ale nie było to po drugiej stronie łączy.

Śmierć, styropian i ja

(pod Goose Green)

Matko Boska...

Wciąż szliśmy dalej. Po jakimś czasie dotarliśmy do argentyńskich okopów, które zostały oczyszczone przez jedną z kompanii naszego batalionu.

Nie było już żadnych manekinów - tylko trupy.

Jeden z trupów poruszył się. Bill i ja podeszliśmy do niego, ukłękliśmy i przewróciliśmy go na plecy. Dostał w głowę tuż nad prawym okiem.

Znam tę starą śpiewkę, która mówi o kontrolowaniu prawej półkuli mózgowej przez lewą. Tymczasem prawa półkula wypłynęła biedakowi na twarz. Kiedy tak patrzyłem na niego, jego lewe oko skupiło się na mnie. Nie bardzo wiedząc, co robić - wydawało się, że jest z nim beznadziejnie - sięgnąłem do ekwipunku i zacząłem rozpakowywać opatrunek. Bill tymczasem zdjął hełm, by wyjąć morfinę.

Nasze hełmy miały wyściółkę ze styropianu, w której kazano nam wyciąć otwór na strzykawkę z morfiną. Kiedy delikatnie usiłowałem wepchnąć mózg z powrotem do dziury, którą wypłynął, kątem oka dostrzegłem wyściółkę w hełmie mojego kolegi.

Przeniosłem się w czasie...

Znów byłem dzieckiem, chłopcem z podstawówki. Pamiętam, że sufit dużego pokoju u nas w domu pokrywały kasetony ze styropianu. Pewnego wieczora, kiedy rodzice wyszli, znalazłem grubą rurę z tektury, w której przysłano nam linoleum do kuchni, i zacząłem nią dźgać styropianowe kasetony. W każdym zostawiałem okrągły odcisk. Po powrocie rodzice natychmiast spostrzegli, co nabroiłem, i zostałem srogo ukarany.

Nigdy nie będę wiedział, czy nasze wysiłki uratowałyby młodego Argentyńczyka. Zaraz bowiem umarł.

Podszedł do nas sierżant i rozkazał nam się cofnąć. Podniósł karabin maszynowy i wystrzelił rannemu serię w plecy. Ciało drgało za każdym razem, kiedy trafiała w nie kula.

Nic nie czulem. Ruszyłem dalej.

Często rozmyślałem o śmierci chłopaka z raną głowy. Czasem fantazjuję, że skoczyłem na równe nogi i wytrąciłem sierżantowi broń z ręki. Dalej wyobrażam sobie, że podniosłem rannego i zaprowadziłem go do punktu pierwszej pomocy. Że on żyje do dziś. Dzięki mnie.

Kilka dni po zakończeniu bitwy siedziałem wczesnym rankiem pijany w jakimś pokoju w Stanley z pewnym majorem. Powiedziałem mu o chłopaku z raną głowy i jak zginął, choć z jakiegoś powodu stwierdziłem, że to ja go zastrzeliłem.

Pierwszego dnia po powrocie do Anglii znów siedziałem wczesnym rankiem pijany w pokoju, tym razem z siostrą. Powtórzyłem jej całą historię o chłopcu z raną głowy i znów powiedziałem, że to ja go zastrzeliłem.

Nie wiem, dlaczego kłamałem. Wielokrotnie szukałem odpowiedzi na to pytanie i kiedy teraz piszę te słowa, znów jej szukam.

Może w ostatecznym rozrachunku sierżant postąpił słusznie, może skrócił chłopakowi męczarnie? Nie wiem. Wiem tylko jedno. Proszę, posłuchajcie mnie: jeżeli kiedykolwiek uznacie, że musicie odebrać człowiekowi życie, bo jego stan jest beznadziejny, nie strzelajcie mu w plecy z odległości kilku kroków. Usiądźcie obok, weźcie go za rękę, poproście waszego Boga o przebaczenie i wypalcie nieszczęśnikowi w skroń. W lewą, bo ona kontroluje prawą półkulę mózgową.

Często mam przed oczami wypadki, których świadkiem byłem tego dnia. Zwykle dzieje się tak wtedy, gdy

jestem sam i napakuję się specyfikami, by zmniejszyć ból i nie popaść w obłąd. Żeby przekonać siebie, że jestem dobrym człowiekiem, proszę Boga, by miał w opiece matkę chłopaka z raną głowy. Jednookiego, płaczącego, umierającego chłopaka z Argentyny.

Amen.

Śmiech, narty wodne, dentysta i gorączka złota (pod Goose Green)

Naraz wokół mnie zaczęły wybuchać pociski. Rzuciłem się na ziemię i kolejny raz stoczyłem wewnętrzną walkę, by opanować strach i powstrzymać nogi od szaleńczego biegu, gdzie oczy poniosą. Z przodu, za żywopłotem, rozległa się głośna eksplozja. Wśród huku usłyszałem wrzask, a chwilę później wykrzyczane żartobliwe słowa:

- Nie mam nogi! Nie mam nogi!

Zaraz potem drugi głos:

- Masz, bracie. Leży tutaj.

I wtedy ktoś pociągnął za sznurek automatycznego „śmieszka” i wszyscy zarechotaliśmy.

Tego samego dnia na innym polu bitwy w trakcie innego ostrzału artyleryjskiego leżałem obok żołnierza ze „śmieszkiem”. Ilekroć rozlegał się wybuch, on pociągał za sznurek.

Podczas przerwy w kanonadzie porozmawiałem z nim i z dwoma innymi z jego plutonu, którzy przyczaili się obok. Pamiętam, że powiedziałem coś w rodzaju, że pierdołę tych skurwysynów z punktu rekrutacyjnego i że po powrocie do Anglii odnajdę sierżanta, który wmówił mi, że płaca w woju jest dobra, że weekendy są

wolne i że będą nawet narty wodne. Tak naprawdę to nie sierżant w punkcie rekrutacyjnym tak powiedział, lecz Billy Connolly, ale sierżant też nieźle nabajerował.

Jeden z nich rzekł wówczas, że pamięta telewizyjną reklamę wojska i że z całą pewnością pokazywali żołnierza na nartach wodnych.

Służyłem już pięć lat i nigdy nie widziałem nart wodnych ani nie spotkałem spadochroniarza, który by na nich jeździł.

Telewizja chyba kłamała.

Żołnierz ze „śmieszkami” był jednym z tych, których nazywamy „przechodzonymi”. Choć miał pod czterdziestkę, wciąż był szeregowcem. Ze swego ekwipunku wyjął kawałek skóry, która była przewiązana rzemieniem. Rozwiązał supeł zębami, położył skórę na ziemi i rozwinął ją. Zobaczyliśmy dwie pary szczypiec dentystrycznych. Zapytałem, po co je nosi. – Żeby pozyskiwać złoto – odparł.

Był dziwakiem. Znalazł się w dziwnym miejscu. Nastal dziwny dzień. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Otworzyć szeroko...

Dzieciak z gnatem (pod Goose Green)

Ostrzał ustal. Podnieśliśmy się z ziemi i ruszyliśmy dalej.

Przeniosłem się w czasie...

Byłem dzieckiem, pięcio-, może sześciolatkiem. Znajdowałem się na placu zabaw w pobliżu domu i bujałem kolegę na huśtawce. Naraz moją uwagę zwrócił przechodzący obok pies, tymczasem powracająca z wychylenia huśtawka uderzyła mnie w oko.

Przyłożyłem dłoń do twarzy i poczułem krew. Krew zaczęła mi ściekać po policzku. Krzyknąłem i popędziłem z płaczem do domu. Matka była w kuchni. Kiedy nadbiegłem, wzięła mnie na kolana i zaczęła uspokajać.

Powróciłem do Goose Green. Pociski zaczęły padać coraz gęściej, więc znów przypadłem do ziemi.

Przeniosłem się w przyszłość...

Wojna dobiegła końca, a ja nie żyłem. Widziałem, jak chowają mnie na cmentarzu w Redruth obok dziadka. Widziałem całą rodzinę zebraną dookoła grobu. Na osobności, u końca dołu, stała matka. Płakała głośno.

Wybuchł kolejny pocisk i powróciłem do koszmarnej rzeczywistości.

Nazajutrz leżałem w okopie z jeszcze jednym żołnierzem. Okop był niegdyś obsadzony przez Argentyńczyków. Trup jednego z nich leżał w pobliżu. Na dnie okopu zobaczyłem książkę. Podniosłem ją i ku mojemu zdziwieniu ujrzałem, że jest napisana po angielsku. Tytuł brzmiał *Tylko William*.

Żołnierz, który leżał ze mną w okopie, miał na imię Bill, czyli właśnie William. Uznałem to za zły znak i rzuciłem książkę w cholerę. Widziałem, że Bill jest smutny. Patrzył tępo w niebo, zauważyłem, że dolna warga mu drży. Zapytałem, co go gryzie. Odpowiedział, że rozmyśla nad tym, jak bardzo jego matka by cierpiała, gdyby się dowiedziała, że zginął. Oho, nie byłem sam.

Nazajutrz przeszukaliśmy ciała zabitych Argentyńczyków, by ich zidentyfikować i zabezpieczyć ich rzeczy osobiste. U jednego znaleźliśmy kilka fotografii. Pierwsza przedstawiała jego oraz kobietę, najprawdopodobniej jego matkę, stojących przed domem. Zrobiło nam się jej żal i kiedy tak podawaliśmy sobie zdjęcie z rąk do rąk, myśleliśmy o naszych matkach w Anglii.

Wyobraziłem sobie, jak to jestem pierwszym ogniwem w łańcuchu, który doniesie Argentynce o śmierci jej syna. Dokumenty świadczyły, że chłopak urodził się w 1965 roku. Miał więc siedemnaście lat, kiedy zginął. Kiedy go zabiliśmy.

Po ustaniu walk odbyło się w Stanley nabożeństwo dla żołnierzy mojego batalionu. Podczas nabożeństwa kapelan zapytał, o kim myśleliśmy w chwilach trwogi, kiedy wydawało nam się, że zginiemy.

Ja myślałem o matce.

Przed napisaniem słów, które czytacie, nigdy nie wysmażyłem nic dłuższego niż zwykły list. Napisałem za to krótką piosenkę o opowiadanych teraz wydarzeniach, zatytułowaną „Dzieciak z gnatem”, i właśnie od niej rozpoczęła się moja pisanina. Posłuchajcie, zaśpiewam wam ostatnią zwrotkę:

Choć minęło dziesięć lat, obraz wojny
pozostaje.
Przeszłość zżera go od środka,
boleć nie przestaje.
A wstyd, co go pali,
palić będzie dalej.
Teraz od matki
daleko jest myślami.

No to kto jest maminsynkiem? Wszyscy, oto kto.

Gdy w duszy szaruga, czas na szluga (pod Goose Green)

Z przodu był stok – tak zwany obszar osłonięty, bo strumizna opadała z kierunku lotu pocisków. Pociśki z moździerzy i dział wciąż trafiały dokoła. Kulilem się za każdym wybuchem. Nauczono nas, że z powodu trajektorii artyleria nie trafia w taki stok. Ruszyliśmy

więc tam. Na stoku siedziała grupa argentyńskich jeńców. Wielu było rannych, wielu płakało.

Placz jeńców od razu podziałał mi na nerwy. Chciałem, żeby pozamykali japy, nie potępiałem ich jednak za łzy.

Kiedy życie wydaje się gównie warte, trzeba na chwilę machnąć ręką i pobieczeć sobie na całego – to pomaga.

Doszliśmy na stok, znaleźliśmy kawałek wolnej trawy i położyliśmy się.

Raz po raz nad naszymi głowami przelatywał pocisk.

Dużego kalibru.

Na stoku siedział kapitan piechoty morskiej. Znał chyba hiszpański, bo przestuchiwał jeńców. Znajdował się po lewej stronie stoku, z dala od pojmanych, oni siedzieli na prawo. Ci, z którymi rozmawiał, wyglądali na bardzo młodych. Byli też bardzo zdenerwowani.

Nie oni jedni.

Kiedy tak siedziałem i obserwowałem oficera piechoty morskiej, ogarnęły mnie obawy, że zaraz zobaczę coś, czego zobaczyć wcale nie chcę. Przypomniałem sobie, że podczas szkolenia omawialiśmy – nieoficjalnie, by tak powiedzieć – stosowanie przemocy wobec jeńców jako sposób wydobywania zeznań. Wszyscy byliśmy zgodni, że jeżeli jeńiec ukrywa ważną informację, na przykład o lokalizacji pola minowego na terenie, który mamy obsadzić, wówczas bez wahania obetniemy mu jaja, żeby tylko wyśpiewał, co wie.

Niektórzy z was mogą się na to inaczej zapatrywać.

Być może surowo osądzicie ludzi, którzy posunęliby się do takiego czynu. Nie róbcie tego. Gdybyście znaleźli się w środku wojny, gdybyście się bali, gdybyście czuli całym sobą, że nie chcecie umrzeć, prawdopodobnie doszłyby w was do głosu zwierzece instynkty i

pragnienie poznania tak nieistotnych spraw jak usytuowanie pola minowego. Być może wyobrazilibyście sobie nawet pole minowe takim, jakim jest naprawdę – gromada małych bombek, które leżą przyczajone w ziemi, skonstruowane tak, że nie zabijają, skąd, tylko urywają nogi. To takie same cacka jak te, których wybuch widzieliście rankiem, kiedy jeden z żołnierzy na nie wszedł. Kurwa, ale biedak był.

Popatrzcie teraz na swoje nogi.

Nie potrafię już oceniać ludzi. Uważam, że to jedna z niewielu korzyści, które wyniosłem z wojny. Jeśli słyszę w telewizji albo czytam w gazecie o żołnierzach, którzy masakrują kobiety w Afryce, nadziewają dzieci na bagnety w Chorwacji albo rozwalają pociskami bunkry w Bagdadzie, współczuję im, że są zdolni do takiego okrucieństwa. Współczuję nam wszystkim.

Patrzyłem na przesłuchującego jeńców oficera i z ulgą doszedłem do wniosku, że nie mam się czego lękać. Oglądałem artystę przy pracy. Oto człowiek, który wie, jak wykonywać swą robotę, pomyślałem.

Niekiedy uśmiechał się do jeńców, innym razem robił poważną minę i wznosił palec wskazujący, kiwał nim, by nadać znaczenie wypowiedzanym słowom. Mówił płynnie po hiszpańsku. Ani razu się nie rozłożył, ani razu nie krzyknął, ani razu nie użył siły jako środka przymusu. Raz natomiast dał jeńcowi papierosa i zapalniczkę. To był oczywiście błąd z jego strony – od palenia można umrzeć.

Na stoku leżało około dwudziestu żołnierzy z mojego batalionu. Jeden z nich, podoficer, nienawidził mnie, choć nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. Nie mam się jednak na co uskarżać – odwzajemniałem to uczucie z nawiązką. Palił papierosa. Wiedziałem, że kiedyś nie palił, słyszałem też wielokrotnie, jak mówił innym, co to za ohydny nałóg. I oto proszę – kopcił jak komin.

Żebyś zdechł na raka, skurwysynu, pomyślałem.

Stało się jeszcze lepiej. Skończył papierosa i od niedopalka natychmiast zapalił drugiego.

Byłem wniebowzięty. Facet się bał. No, dalej, dalej, proszę, błagam, zapal trzeciego, namawiałem go w myślach. Pragnąłem, żeby przypalił następnego, od tego znów następnego i następnego, i następnego. Chciałem, żeby rozsmakował się w tym na całą wieczność.

Pociski wciąż nadlatywały, argentyńscy jeńcy wciąż płakali, ale już się nie kulilem, a widok łez nie działał mi na nerwy. Myśli miałem zajęte zaprzysięgłym wrogiem palenia, który mnie nienawidził i który właśnie palił papierosa za papierosem, bo trząsał portkami.

Jego strach zdławił mój. Facet bał się za mnie. Pomyślałem, że już nigdy nie będę się go bał, że już nigdy nie będę musiał znosić jego humorów. I wówczas nadszała mnie ochota, by podejść i rzucić jakiś komentarz. Pomyślałem jednak, że jeśli to zrobię, może mnie uderzyć. Nie chciałem, żeby mnie uderzył.

Zostałem na swoim miejscu.

Zdarzało się w przeszłości, że wspominając ten dzień, udawałem przed samym sobą, że podszedłem do podoficera i powiedziałem: „A fe! Palimy?” Z rozkoszą fantazjowałem, że podniósł na mnie wzrok i że w jego oczach zobaczyłem strach w najczystszej postaci.

I wtedy roześmiałem mu się w twarz.

Dziś za moim śmiechem dostrzegam kłamstwo. Dziś potrafię przypomnieć sobie, jak było naprawdę i znieść to w spokoju. Ja też się bałem.

Kiedyś zwodziłem się podobnymi myślami przy innej okazji. Dotyczyło to skoków ze spadochronem. Stojąc w drzwiach samolotu, widząc odległą ziemię, czekając na czerwone światelko oznaczające „Gotów!” i zielone będące komendą „Skok!”, mówiłem sobie, że cały świat na mnie patrzy, że jestem spadochroniarzem i że zaraz wyskoczę w nicość z pędzącej sto mil

na godzinę maszyny. Że ryzykuję życiem tylko dla wrażeń i już nigdy nie będę się niczego bał.

To również okazało się kłamstwem.

W drodze powrotnej z Falklandów leżałem sam w kajucie, półprzytomny z powodu wypitego alkoholu i niewyspania, słuchając toczącej się za ścianą rozmowy. W sąsiedniej kajucie żołnierze chłali wódkę. Ich rozmowa zeszła na Hitlera i holocaust.

Pijany głos, który należał do kaprała, wypowiedział sąd, że Hitler miał rację, że zagazowywał Żydów. Powiedział, że nienawidzi żydowskich skurwieli. Gadał i gadał jak najęty. Kiedy tak słuchałem tego plugastwa, poczułem chęć, by zobaczyć, jak o trzeciej w nocy gestapo wyciąga z łóżka kaprała i jego rodzinę. Jak zdejmują z niego ubranie i wpychają mu łeb do piekarnika.

Facet nadawał dalej, a mnie ogarniał coraz większy gniew. Korciło mnie, żeby zejść z koi, pójść tam i zdzielić go żelastwem w pysk. Ale nie zrobiłem tego i wiedziałem, że nigdy nie zrobię, bo gdybym się ośmielił, to on dopiero dałby mi wycisk. Prawdziwym więc powodem był strach, który krył się za moim gniewem.

Dzisiaj kiedy słyszę takie opinie, a niestety wciąż je można usłyszeć, czy to na temat Żydów, homoseksualistów, Murzynów czy kogokolwiek innego, nie rwę się już do bitki i nie czuję gniewu. Ogarnia mnie tylko smutek.

Kto więc jest tehrzem? Ciemni, zajadli gnoje, oto kto.

Ewangelia według Łukowiaka (pod Goose Green)

Byliśmy w wąwozie. Nie wiem ilu, wiem, że byłem ja, był Bill i jeszcze trzech czy czterech żołnierzy z podod-

działu zwalczania broni pancерnej oraz paru innych maruderów. Co kilka sekund nad naszymi głowami przelatywał pocisk wystrzelony z moździerza lub działa. Pamiętam, że spojrzałem w niebo i ze zdumieniem ujrzałem, że pociski bardzo wolno przesywają powietrze. Pamiętam, że mogłem odróżnić artyleryjski od moździerzowego. Widziałem nawet, czy mają brzechwy.

Podążałem za nimi wzrokiem aż do miejsca trafienia. Z tyłu mieliśmy trzęsawisko i większość pocisków lądowała z chlupotem w gęstym bloku. Gdyby teren nie był tak miękki, o wiele więcej z nas straciłoby życie tego dnia. Zaczynałem się czuć tak, jak gdybym od urodzenia pozostawał pod ostrzałem.

Bardzo się bałem.

Ktoś wrzeszczał. Krzyki przybierały na sile, niekiedy przeradzały się w hiszpańszczyznę i zaraz znów powracały do powszechnie rozumianej nieartykułowanej formy. Usiłowałem ich nie słyszeć. Miałem dość problemów bez lamentów tego fagasa. Jego wrzaski zaczynały mnie wkurzać. Mąciły w głowie. Potęgowały strach. Ktoś krzyknął:

– Niech ta pizda wreszcie się zamknie, bo łeb mi pęka!

Znowu okazało się, że ktoś myśli podobnie.

Poczułem, że mam dość. Podczołgałem się do krawędzi wozu i wyrząłem. Przedemną rozciągał się równy płaskowyż. Stanowił do niedawna pozycję obronne nieprzyjaciela, teraz jednak należał do nas. Niezbitym dowodem był nieustanny ostrzał ciężkiej artylerii i moździerzy. Argentyński ostrzał. Nie dalej niż pięćdziesiąt metrów ode mnie zobaczyłem Argentyńczyka. Siedział na ziemi, obok okopu, i wrzeszczał, trzymając się za nogi. Uniosłem się na kolana i krzyknąłem:

– Uciszą się, kurwa, bo ja cię uciszę, ty pizdo!

Jednocześnie złożyłem się do strzału i wycelowałem.

Zostawiłem Goose Green. Zostawiłem wojnę. Zostawiłem własne ciało.

Zdjął mnie palący wstyd. Co ja powiedziałem? Co pomyślałem? Nie mówiłem przecież poważnie. Bałem się tylko, to wszystko. Bałem się.

Spojrzałem za siebie, na pozostałych żołnierzy w wąwozie, spodziewając się nagany za mój wybuch. Nic nie powiedzieli.

Tylko Bill się odezwał:

– Ej, Luke, weź się, kurwa, w garść.

No to się wziąłem w garść.

– Musimy ściągnąć stamtąd tego chujozę, Bill.

Na płaskowyżu wybuchł kolejny pocisk. Argentyńczyk znów głośno lamentował.

Chciałem pójść po niego i Bill chciał pójść, ale jednocześnie nie chcieliśmy opuszczać bezpiecznego wąwozu.

Przyszedł mi do głowy pomysł.

Powiedziałem Billowi, żeby szedł ze mną. Wróciliśmy do argentyńskich jeńców, których widzieliśmy wcześniej. Chujozą był jednym z nich – niech oni po niego pójda.

Siedzieli w rzędzie na stoku. Pamiętam, że przyjrzałem im się i uderzyło mnie, jak bardzo są młodzi. Wielu było rannych. Wielu płakało. Kopnąłem najbliższego i ruchem pistoletu maszynowego kazałem mu się podnieść.

Rozbeczał się wniebogłosy. Przewrócił się na kolana, złożył dłonie jak do modlitwy i zaczął się płaszczyć u moich stóp.

Oczywiście. Pomyślał, że zamierzam go odprowadzić na stronę i palnąć mu w łeb.

Za nic nie chciał wstać.

Odezwał się kapral żandarmerii pilnujący jeńców:

– Ej, wy dwaj, odpierdolcie się od niego.

Machnęliśmy ręką i pobiegliśmy z powrotem do wąwozu. Ranny wciąż wrzeszczał.

No cóż, jak mawiała moja matka: „Jeśli chcesz, synu, żeby coś było zrobione, zrób to sam”.

Wbiegliśmy stokiem na płaskowyż i popędziliśmy prosto do rannego Argentyńczyka. Nie zaspaliśmy na starcie. Nie wygraliśmy też za nasz bieg dwustu funtów. Przeskoczyliśmy tylko dwa trupy. Nigdy wcześniej nie przeskakiwałem przez martwego człowieka. Kiedy to robiłem, taka właśnie myśl przyszła mi do głowy.

Dopadliśmy rannego. Obie nogi miał zalane krwią. Wrzeszczał bez przerwy. Zauważywszy, że nadbiegamy, zaczął krzyczeć jeszcze głośniejsze, jak przed chwilą jego kolega w grupie jeńców. Błagał o życie.

Nie było czasu na słuchanie. Nie było czasu na wyjaśnienia. Pociśki wciąż nadlatywały.

Chwyciliśmy go z Billem za ręce i pociągnęliśmy wrzeszczącego przez otwarty teren, podczas obrony którego oberwał. W wąwozie przystanęliśmy na chwilę, by odetchnąć, następnie zataszczyliśmy Argentyńczyka do jeńców. Cisnęliśmy go obok tego, który wcześniej nie chciał z nami iść. Odchodząc, krzyknąłem na niego, powiedziałem mu, że z niego kurewska chujoza, i kopnąłem go mocno w poharataną nogę.

Szkoda, że nie słyszeliście, jak wrzasnął.

Wróciliśmy z Billem do wąwozu.

Często się zastanawiam, dlaczego kopnąłem tego chłopaka. I właściwie dziwne, że się zastanawiam, ponieważ dobrze wiem dlaczego – bo inni patrzyli. Uratowałem go, fakt, ale pozostałem twardy. Widzicie, kopnąłem go. Znaczy, że wciąż jestem prawdziwym mężczyzną.

Pamiętam, że wróciwszy do wąwozu, położyłem się na plecach. Rozpierała mnie duma. Wiedzia-

łem bez zastanawiania się, że postąpiliśmy słusznie.

Zdarza się, zwykle nocą, że kładę głowę na poduszce i spoglądam na moje życie począwszy od tamtego dnia. Przyglądam się kłamstwom, których się dopuściłem, dniom, które zmarnowałem. Przypominam sobie kobiety, które ranilem i oszukiwałem, i chwile niepohamowanej wściekłości. Pałę się wtedy ze wstydu. Usiłuję powstrzymać gonitwę myśli pędzących ku przeszłości. Z całych sił próbuję nie myśleć o Kathy – która czekała na mnie przez całą wojnę i potem znów, już będąc w ciąży, tym razem żebym wyszedł z więzienia. Próbuję nie myśleć o naszym synu. Synu, którego nigdy nie biorę w ramiona. Z własnej winy.

Kiedy popadam w najczarniejszą rozpacz, usiłuję uczepić się myślą czegoś dobrego. Czegoś, co powstrzymałoby mnie od ostatecznego upadku. Szukam wtedy w pamięci i chwytam się kurczowo wspomnienia o Argentyńczyku z poharatanymi nogami. Przypominam sobie, jak zdjął mnie wstyd, gdy mu zagroziłem śmiercią. Przypominam sobie, jak rozpierała mnie duma, gdy zaprowadziłem go do kolegów i wróciłem do wozu.

Wspomnienie chłopaka z poharatanymi nogami daje mi iskierkę nadziei. Pomaga mi odnaleźć w sobie dobro. Boga.

Proszę, pomyślcie o tym.

Bohater czy wariat?

(pod Goose Green)

Wciąż nie mogliśmy odnaleźć swojej kompanii. Doszliśmy do kolejnych okopów, które do niedawna zajmowali Argentyńczycy. Nie było już trupów – tylko manekiny sklepowe.

Przeskakiwaliśmy z okopu do okopu, szukając rozmaitych rzeczy: pistoletów, noktowizorów, jedzenia, czegokolwiek. Natknęliśmy się na duży zielony brezent.

Jeden z nas chwycił za róg i podciągnął do góry, żeby zobaczyć, co jest pod spodem.

Martwi żołnierze. Nasi.

Jednym z nich był pułkownik Jones. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Nie chcieliśmy w to uwierzyć. Zналиśmy się na wojnie, wiedzieliśmy więc, że jako dowódca batalionu znajdował się na tyłach. Jeżeli on nie żyje, to kto jeszcze? I ilu? Co się w ogóle stało?

Ktoś powiedział, że pewnie nas oskrzydłili. Zaszli od tyłu i zaatakowali. Jeśli tak było, to wpadliśmy po uszy. W gówno.

Zaczęliśmy lustrować teren wokół nas. Wszędzie poruszały się małe kropeczki. Zastanawialiśmy się, czy to nasi, czy Argentyńczycy. Nie wiedzieliśmy.

Dzisiaj wspominam to z pewnym zażenowaniem, bo nie potrafię sobie przypomnieć, ilu jeszcze leżało pod brezentem pułkownika Jonesa. Dwóch albo trzech. Wiem, że leżał Jones, adiutant kapitan Woods i zastępca dowódcy Kompanii A kapitan Dent. Nie pamiętam już nikogo innego, tymczasem mam wrażenie, że był jeszcze ktoś, kogo nie rozpoznałem.

Spojrzałem na zwłoki kapitana Woodsa i powiedziałem do kolegów:

- No i, kurwa mać, Harper się zmarnował.

Harper był kapralem, który pełnił funkcję żandarma w batalionie.

Bill na to: nie, przecież to Woods. A ja, że nie, głupi jesteś, to Harper. Ktoś inny powiedział, że to Woods, patrz, ma przecież mundur spadochroniarza. Jeszcze raz spojrzałem na zwłoki i dostrzegłem trzy jasnoniebieskie gwiazdki na naramiennikach. Mieli rację - to był Woods.

Na Falklandach wydano nam arktyczne umundrowanie, na którym nie było dystynkcji i innych oznaczeń. Lecz kapitan Woods wciąż miał na sobie mundur spadochroniarza. Kiedy tak patrzyłem na jego nieruchome ciało, zacząłem się zastanawiać, dlaczego nosił dawny mundur, a nie włożył nowego tak jak my wszyscy. Przyszła mi do głowy myśl, że może na dobrą wróżbę.

Przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl – że jeżeli tak było, to nie podziałało.

Kapitan Woods był adiutantem, wiedzieliśmy o tym, a pułkownik Jones był dowódcą batalionu, o tym też wiedzieliśmy. Ale kapitan Dent, skąd on się wziął? Gdzie służył? Też był z dowództwa batalionu? Czy z kompanii strzeleckiej? Zaczęliśmy się zastanawiać nad funkcją Denta w naszej jednostce.

Nagle olśniło mnie – przypomniałem sobie, kim był. Służył niegdyś w kompanii wsparcia, a ponieważ byłem wtedy jej pisarzem, to pamiętałem, że kiedy przeszedł do jednej z kompanii strzeleckich, pisarz tejże zadzwonił do mnie, powiedział, że zaginęła karta wypisowa kapitana, i zapytał, czy może nie ma jej u mnie. Odszukałem ją i posłałem z nią kuriera.

– On jest z Kompanii A – powiedziałem.

– Był – poprawił mnie ktoś.

Zachichotaliśmy – ale nerwowo.

Kolejny raz złapałem się na tym, że odtwarzam w myśli rozmowy z martwym człowiekiem, który leży u moich stóp. Przypomniałem sobie, jak kapitan Dent przysiadł na moim biurku, kiedy pierwszy raz zjawił się w kompanii wsparcia. Przypomniałem sobie, jak opowiadał mi o służbie w Dwudziestej Pierwszej SAS-u. Powiedział, że zwano ich „artystami”, czego wtedy nie wiedziałem. Poczulem smutek, że już więcej nie będę z nim rozmawiał. Był wyjątkowo sympatycznym człowiekiem. Dobrym, porządnym człowiekiem. Ile-

kroć dziś słyszę o SAS-ie, zawsze myślę o kapitanie Dencie. Przed oczyma staje mi obraz jego zwłok pod Goose Green. Pytam wtedy siebie samego, dlaczego taki człowiek jak on w ogóle zadał się z wojskiem.

Spojrząwszy na kapitana Woodsa, przypomniałem sobie popijawę w kompanii w Irlandii Północnej, kiedy to pierwszy raz z nim rozmawiałem. Usłyszałem znowu jego szkocki akcent i wyznanie, że nie cierpi niczego, co „thatcherowskie”. Powiedział mi, że jest socjalistą i że zawsze nim pozostanie. Oficer o poglądach socjalistycznych w pułku spadochroniarzy to rzadkość. Pomyslałem, że bez niego nasza jednostka będzie znacznie gorsza.

Pułkownik Jones się uśmiechał. Widziałem wielu zabitych na Falklandach, ale tylko on się uśmiechał. Patrząc na niego, zastanawiałem się, o czym myślał, kiedy wydawał ostatnie tchnienie, skoro w chwili śmierci miał aż tak zadowoloną minę. Ktoś zapytał, czy wiemy, że Jones był bardzo bogatym człowiekiem. Ja odparłem, że nie, inny, że tak i że gdyby miał tyle forsy, w życiu nie odjechałby osiem tysięcy mil od swego konta bankowego.

Znów zaśmialiśmy się nerwowo.

Później dowiedzieliśmy się, że Argentyńczycy wcale nas nie oskrzydłili, tylko że pułkownik Jones wyrwał do przodu, kiedy jedna z jego kompanii utknęła w miejscu i jej natarcie straciło impet.

Za ten bohaterski/wariacki (do dziś nie mogę się zdecydować) czyn przyznano mu pośmiertnie Krzyż Wiktorii.

Czytałem dużo rozmaitych relacji o śmierci pułkownika Jonesa. Od: natarł na okop, oberwał, wstał, natarł na drugi okop i znów oberwał, po: ledwo dał sygnał do ataku, został poszatowany. Rozmawiałem z wieloma, którzy byli świadkami jego śmierci, i od nich też usłyszałem co najmniej trzy różne wersje. Nie by-

lem przy tym, więc nie wiem, co dokładnie się stało, ani w jaki to bohaterски sposób poległ pułkownik. Wiem tylko jedno, posłuchajcie.

Jones – podpułkownik z formacji powietrzno-desantowej, który w żadnym razie nie powinien znaleźć się w bezpośrednim kontakcie z nieprzyjacielem – był w szpicie całych sił ekspedycyjnych, kiedy zginął pod Goose Green. To bezsporny fakt. Bohater czy wariat, pułkownik Jones wiódł innych za sobą.

Podczas pobytu w Stanley przeczytaliśmy w angielskiej gazecie, że świętej pamięci pułkownik Jones był „kochany” przez swoich żołnierzy, że oplakujemy jego śmierć, że pamięć dowódcy, który oddał za nas życie, poprowadziła nas do zdobycia Stanley i zapewniła nam zwycięstwo.

Brednie.

Byliśmy spadochroniarzami – nie kochaliśmy nikogo. Nie nauczono nas kochać. Jeżeli jeden z nas ginął, to nie powiem, byśmy się cieszyli, ale w ostatecznym rozrachunku nasza postawa zamykała się w słowach: „Ryzyk-fizyk, za to nam płacą”. Nikogo z nas siłą nie wcielono do wojska. Byliśmy zawodowymi żołnierzami. Walczyliśmy dla żywych, nie dla umarłych. Umarli nie żyją.

I jeszcze coś. Pułkownik Jones też był zawodowym żołnierzem. Wątpię więc, by zapatrywał się na to inaczej.

Z tej samej gazety dowiedzieliśmy się, że pułkownika Jonesa nazywano „H”. Wedle prasy to było jego przydomkiem – jako „H” go znaleźliśmy i kochali.

Brednie.

Ale uczciwość nakazuje mi zaznaczyć, a jak już wiecie, staram się być uczciwy, że „H” zwała go kadra oficerska. Nikt z nas nigdy nie jadał z oficerami, więc „H” było dla nas nowiną. Czytając te wymysły, mieliśmy pretensje do dziennikarzy. Wypaczali fakty z naszego

życia. Dopiero co zakończyliśmy wojnę i uważaliśmy, że nikt nie ma prawa robić nam czegoś takiego. Nie ma prawa okłamywać świata, jak to nazywaliśmy naszego pułkownika ani co czuliśmy, gdy poległ.

Ilekcóż dziś spotykam się lub rozmawiam przez telefon z dawnymi kolegami z wojny i gaworzymy o Jonesie, w ogóle nie mówimy o nim „H” – ponieważ jako „H” nie znaliśmy go ani nie kochali. Nazywaliśmy pułkownika po prostu Jones albo Jonesie – i jako takiego też go nie kochaliśmy, natomiast z pewnością go szanowaliśmy.

Zabójcza, obłąkana flora Małgoški (pod Goose Green)

Pokonaliśmy kolejne pole i dotarwszy do żywopłotu, skręciliśmy w lewo, by dojsć na sam skraj ugoru. Obok mojej twarzy gwizdnęła kula. Bardzo blisko, fizycznie ją poczułem. Wszyscy instynktownie padliśmy na ziemię i podpełzaliśmy do żywopłotu, by się ukryć.

– Czy ktoś widzi nieprzyjaciela?! – zawołał głos.

Powoli, jeden po drugim, zaczęliśmy wystawiać głowy. Nic, tylko puste pole, a za nim jeszcze jedno puste pole. Padł kolejny strzał. Tony wrzasnął i zwałł się. Dwaj, którzy byli najbliżej, podczołgali się do niego, by obejrzeć ranę. Zawołali, że dostał w nogę, że wyżyje.

Strach rodził paniczne myśli. Tony wystawił nad żywopłot tylko czubek głowy, więc jak to możliwe, że obe-rwał w nogę? Nogi miał przecież schowane, przyciśnięte do żywopłotu, no więc jak? Jeżeli został trafiony, mimo że był zasłonięty, to ja też mogę. Gdzie dostanę? W głowę? W pierś? Poczulem na ciele grad wyimaginowanych kul. Uświadomiłem sobie, że popadam w pa-

nikę. Usiłowałem uspokoić się, przemówić sobie do rozsądku. Jeżeli mam dostać, to dostanę, nic na to nie poradzę. Rozpaczliwie próbowałem zebrać myśli i opanować oddech.

- To jebany snajper! - krzyknął ktoś.

Mam dla was radę - dobrą, więc weźcie ją sobie do serca. Jeżeli będziecie szli główną ulicą waszego miasta i nagle znajdziecie się pod ostrzałem snajpera, oto co macie zrobić: nie panikować, tylko od razu na ziemię. Następnie rozejrzeć się za budką telefoniczną i podczołgać do niej. Otwórzcie drzwi, sięgnijcie ręką i ściągnijcie z półeczki książkę telefoniczną. Otwórzcie na „S”, pod nagłówkiem „Snajperzy”. Dryndnijcie po któregoś. Innymi słowy, poszczujcie lisa na lisa. Na polu bitwy pod Goose Green nie mieliśmy wprowadzić do dyspozycji budek telefonicznych, ale mieliśmy radiostację. Dryndnęliśmy więc.

Czekaliśmy całą wieczność. Kiedy teraz sięgam pamięcią wstecz, uświadamiam sobie, że prawdopodobnie nie trwało to długo, ale wówczas zdawało się ciągnąć całe lata. Ilekroć któryś z nas się poruszył, padał strzał. Natknęliśmy się na nieprzyjaciela, którego w ogóle nie widzieliśmy, nie było więc mowy, by się odgryźć.

Potem dostaliśmy się pod ogień z moździerza.

Leżąc bezradny pod żywoplotem, pragnąłem, by moje ciało wtarło się w ziemię. Nie mogłem się poruszyć, nie chciałem się poruszyć, nie chciałem też pozostać tam, gdzie byłem. Nie wiedziałem, czego chcę - prócz dwóch rzeczy. Żeby argentyński snajper zginął i żeby obsługa argentyńskiego moździerza zginęła. Im szybciej, tym lepiej.

Kiedy leżałem przerażony ponad wyobrażenie, przyszła mi do głowy naiwna myśl. Pomyślałem, że gdyby Margaret Thatcher i jej rząd torysów byli tu gdzie ja, a generał Galtieri i cała jego junta znajdowali się tam,

skąd nadlatują pociski. ta gówniana wojna zaraz by się skończyła.

Jak już powiedziałem, była to naiwna myśl. Gdyby bowiem Małgośka znalazła się pod Goose Green, to prawdopodobnie biegłaby tuż za pułkownikiem Jonesem, kiedy nacierał na argentyńskie okopy, waląc go torebką po głowie i wrzeszcząc, by ruszał się szybciej.

Ktoś krzyknął:

– Gdybym wiedział, że będę musiał tyle leżeć, to zabrałbym, kurwa, poduszkę!

Uśmieliśmy się wszyscy. Dziś też się z tego śmieję – te słowa ciągle wydają mi się zabawne.

Za nami dostrzegłem krzak. Nic w tym dziwnego, w końcu byliśmy na polu, tyle że ten krzak był fikuśny – poruszał się. Natychmiast opadły mnie obawy o stan mojej psychiki, obróciłem się więc do leżącego obok żołnierza i zapytałem, czy widzi krzak.

– Chodzi ci o tego skurwiela, co się skrada? – odparł.

Och, byłem zdrowszy – krzak naprawdę się poruszał. Gdy się zbliżył, okazało się, że to zamaskowany żołnierz z plutonu strzelców wyborowych. Snajperzy lubią chodzić przebrani za krzaki, na tym między innymi polega ich praca. Krzak doszedł do naszych pozycji i wrósł w ziemię. Nad żywopłotem gwizdnęła kula, nadleciał kolejny pocisk moździerzowy, wszyscy skuliśmy się i wydaliśmy ciche okrzyki przerażenia. Krzak stał jednak dumnie, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy, że do niego strzelają.

– Co się dzieje? – odezwał się.

– Co się dzieje? Pytasz, kurwa, co się dzieje? – padła trwożliwa odpowiedź. – Powiem ci, kolego. Jakaś twoja zasrana bratnia dusza, jebany snajper, ćwiczy sobie na nas strzelanie, oto, co się dzieje.

Następna kula.

– A gdzie on jest? – zapytał krzak.

– Gdzie jest? Kurwa, gdybym wiedział, gdzie jest, to

nie leżałbym tutaj i nie gadał z taką cipą jak ty, tylko strzelalbym, żeby ukatrupić skurwiela.

Krzak od zawsze cieszył się reputacją pomyleńca i robił wszystko, by ją podtrzymać. Wskoczył na żywopłot. Padły dwa pospieszne strzały. Reakcją znów były skulone ciała i okrzyki przestachu, krzak jednak tkwił nieruchomo u góry. Jak gdyby nieświadom niczego.

- To snajper! - krzyknął.

- Coś ty? Słyszycie, chłopaki, to snajper! Co się dzieje? Czy ja jestem Czechosłowak? Czy ja nie mówię po angielsku? Wiem, że to snajper, przecież sam ci to, kurwa, powiedziałem, a teraz spierdalaj z tego płotu!

Kolejny strzał.

- Kolego, jeśli nie zejdziesz z tego kurewskiego płotu, to sam cię ukatrupię.

Krzak jednak siedział dalej na żywopłocie. Spod gałęzi wydobył lornetkę. Przyłożył ją do oczu i zaczął powoli przeszukiwać okolice.

- Snajper z całą pewnością! - krzyknął.

- Dlaczego taka kaszana zawsze przydarza się mnie? To twoja ostatnia szansa, więcej nie powtórzę. Złaź, kurwa mać!

- Widzę go - rzekł krzak. Zeskoczył wreszcie na ziemię i poczołgał się w prawo. Pokonawszy około dwudziestu metrów, zatrzymał się, wycelował i wypalił. Raz. Następnie znów wskoczył na żywopłot i zlustrował teren przez lornetkę.

- Chyba go trafiłem - oznajmił.

Jeden po drugim ostrożnie wystawialiśmy głowy. Więcej strzałów nie było. Zaczęliśmy wiwatować - właśnie zginął człowiek, a my się cieszyliśmy. Ogień z moździerza sprowadził nas na ziemię.

Żołnierz, który oberwał w nogę, odniósł tak zwaną „idealną ranę”. Kula czyściutko przeszła przez mięsień, nie strzaskawszy kości, nie przeciąwszy żadnej

głównej żyły. Kiedy go zostawialiśmy pod opieką kolegi i ruszaliśmy dalej, życzył nam miłego dnia. Roześmiał się – my nie.

Później usłyszałem, że po bitwie brytyjski krzak poszedł na pole szukać argentyńskiego krzaka. Znalazł go i zobaczył, że ten dostał prosto w czoło – z odległości ponad tysiąca metrów. Brytyjski krzak z całą pewnością miał nie po kolei w głowie, ale też z całą pewnością Bozia dała mu sokole oko. Jeśli zaś chodzi o argentyński krzak, to wiadomo tylko jedno – nie żyje.

„Wtem ukazał mu się anioł Pański w płomieniu ognia ze środka krzewu; i spojrział, a oto krzew płonął ogniem, jednakże krzew nie splonął”.

II Księga Mojżeszowa 3.2.

Już myślałem, że ze mną koniec

(pod Goose Green)

Artyleria skończyła strzelać. Nastal czas hałastu bez przywódcy. Pod wpływem jakiejś formy telepatii wszyscy jak na komendę skoczyliśmy na nogi i pognaliśmy. Nieważne gdzie, byleby wyrwać się z tego miejsca na ziemi. Obiegliśmy stok i dopadliśmy wozu. Zauważyłem, że jest z nami reporter BBC Robert Fox.

Zasyczał nadlatujący pocisk.

Życie nabrało wolnego tempa. W ułamku sekundy, który pozostał do wybuchu, rzuciłem się na trawę i czekałem na nieuchronny ból. Syk był tak głośny, że nie miałem wątpliwości, że pocisk wylądował mi na głowie.

Trzasnął.

Świat zadrżał, huk rozdarł mi mózg, w uszach dudniło, z nieba spadała ziemia. Ścisnąłem kurczowo matkę za rękę, leżałem nagi u boku żony.

I wtedy świadomość – żyję. Uniosłem głowę i rozejrzałem się dokoła. Wszyscy wyglądali jednakowo, mieli to samo pytanie wypisane na twarzy: „Naprawdę żyję?” Zerknąłem w prawo – ziemia kopciła. Nie dalej niż trzydzieści centymetrów ode mnie leżał dymiący, niemal idealnie prosty, czerwonozłoty odłamek pocisku artyleryjskiego.

W mojej głowie walczą ze sobą dwie wersje tego, co się potem stało. Dziś, po upływie dziesięciu lat, kiedy wojna już dawno minęła, wierzę w drugą wersję, którą jeszcze kilka miesięcy temu odrzucałem.

Oto pierwsza wersja: podniosłem dymiący, czerwonozłoty odłamek i podałem go reporterowi BBC Robertowi Foxowi, który leżał obok mnie. Miałem włożone rękawiczki, więc nic nie czułem. Kiedy Robert Fox wziął ode mnie gorący odłamek w nagie palce, natychmiast go upuścił.

Druga wersja wypadków głosi, że to Robert Fox podał mi odłamek i to ja go upuściłem.

W dniu powrotu z Falklandów do bazy RAF-u w Brize Norton zauważyłem Foxa stojącego w poczekalni na lotnisku. Popatrzywszy na niego, pomyślałem: „Ma ładny garnitur, szkoda tylko że dwa numery za duży”. Na Falklandach wszystkim ubyto na wadze. Wokół bioder reporter zawiązał krawat, żeby mu spodnie nie opadły. Podszedłem do niego i zapytałem, czy mnie pamięta i czy pamięta „ten odłamek”. Odpowiedział, że pamięta mnie, a „tego odłamka” nigdy nie zapomni.

Kilka miesięcy później wyszła książka Foxa o wojnie falklandzkiej. Nie byłem nią zachwycony. Po pierwsze, na zdjęciu dowództwa naszej kompanii zrobionym na gorze Sussex widać było tylko czubek mojej głowy. Nie ma się co martwić, powiedziałem sobie, na pewno napisał o odłamku i o mnie. Owszem, o odłamku tak, o mnie – ani słowa. Napisał, że ktoś inny podał mu odła-

mek, z pewnością trep, bo o nikim takim nie słyszałem.

Jak już powiedziałem, dziś wcale nie jestem pewien, że to ja podałem odłamek Foxowi. Tymczasem w Brize Norton, ledwie kilka tygodni po tym wydarzeniu, mógłbym dać głowę, że to ja.

Podczas pisania tych słów jedne wspomnienia wypłaszają ze skrytek pamięci inne. Im więcej piszę, tym więcej sobie przypominam. Zamykam oczy i podobnie jak gdybym oglądał film, oglądam moją przeszłość. Dziś, kiedy zamykam oczy i przypominam sobie odłamek pocisku, który omal mnie nie zabił, widzę reportera BBC leżącego obok mnie. Jest ubrany w panterkę tak jak ja, tyle że nie ma broni. Widzę, że wyciąga do mnie rękę. W dłoni ściska odłamek czerwonozłotego pocisku. Odłamek dymi. Biorę go. I natychmiast upuszczam, bo parzy.

Jeżeli kiedykolwiek spotkam Roberta Foxa, zapytam go, co on widzi, kiedy zamyka oczy.

Mimo że potrafię wyobrazić sobie odłamek w najdrobniejszych szczegółach, tylko jeden raz przypomniałem sobie tę sytuację z całą wyrazistością. Dopadło mnie to samo uczucie co wtedy, ten sam prawdziwy strach.

Myślałem wtedy o Goose Green. I nagle przypomniałem sobie o odłamku.

Wspomnienie eksplodowało we mnie.

Na mgnienie oka znów poczułem to, co czułem, gdy leżałem na polu i czekałem na ból. Znów usłyszałem syk i huk. Poczułem, że świat się zatrzęsł w posadach, że grudki ziemi spadają mi na plecy.

Wrzasnąłem przeraźliwie i zerwałem się na równe nogi. Wspomnienie prysło. Dawny strach minął, pozostał nowy. Przyszło mi do głowy, że uchyliłem rąbka tajemnicy, czym jest obłęd. I zaciągnąłem się dymem z palącego się zielska.

Kto ma fiola i jednocześnie stracha? Pewnie ja, pewnie wy – oto kto.

Luu!

Wytwór mojej wyobraźni?

(pod Goose Green)

Znaleźliśmy się pod ostrzałem artyleryjskim. Znowu pragnąłem wprasować się w ziemię. Nic nie istniało, tylko nadlatujące pociski i mój wszechpotężny strach. Jeszcze nigdy tak się nie bałem. Jeszcze nigdy tak rozpaczliwie się nie modliłem, nie obiecywałem tak wiele. Uniosłem nieco głowę i zerknąłem w lewo.

Zobaczyłem coś niewiarygodnego.

Ciotkę Letty. Ciotka Letty nie była właściwie moją ciotką, tylko drugą żoną dziadka ze strony matki. Dla mnie była jedyną babcią, którą znałem. Nie żyła od siedmiu lat. Nie wiem, jak daleko ode mnie się znajdowała. Nie wiem, jak była ubrana. Nie pamiętam nic prócz tego, że tam była. Z całą pewnością tam była.

Na polu bitwy pod Goose Green.

Uśmiechała się do mnie i jednocześnie dawała znaki rękoma, bym się zbliżył. Wstałem i pobiegłem do niej. Kiedy byłem tuż-tuż, nadleciał z sykiem pocisk. Rzuciłem się na ziemię. Nastąpił ogłuszający huk, hałas rozsadził mi umysł, zatkałem dłońmi uszy, by uciszyć bolesne dzwonięcie. Uniosłem głowę. Ciotki Letty już nie było. Obejrzałem się. Pocisk spadł dokładnie w to miejsce, gdzie leżałem, nim ciotka mnie wezwała.

Wczesnym rankiem pierwszego dnia po powrocie do Anglii, kiedy siedziałem pijany z moją siostrą Micky, powiedziałem jej o śmierci chłopaka z raną głowy oraz o tym, jak pod Goose Green zobaczyłem ciotkę Letty. Powiedziałem, że nie rozmawiałbym z nią teraz, gdyby

nie ciotka. Prosiłem, by mi uwierzyła. Micky odparła, że wierzy. Powiedziała, że kiedy doniesiono o naszym natarciu na Goose Green, wyszła do ogrodu. Była jasna noc. Niebo pełne gwiazd. Podniosła głowę i poprosiła ciotkę Letty w niebie, by miała mnie w opiece. Żeby sprawiła, by braciszek wrócił cały i zdrow do domu.

Została wysłuchana.

Pewnego dnia podziękuję ciotce Letty. To jedna z niewielu rzeczy, których jestem pewien.

Wrzaski, sny i wstyd

(pod Goose Green)

W rogu pola dostrzegliśmy anteny sterczące zza żywo-
plotu. Ruszyliśmy ku nim. Przeskoczyliśmy żywo-
plot. Zobaczyliśmy Jeda. Dzięki Bogu. Odnależliśmy się.

Naszego dowódcy z nim nie było. Nie wiem dlaczego. Z pewnością zapytałem o to i Jed z pewnością mi od-
owiedział, ale nie pamiętam co. Nieważne, wreszcie od-
naleźliśmy swoich. Byliśmy w Radiowym Mieście.

Właśnie tak to zawsze nazywałem: Radiowe Miasto. Wydawało się, że szpilki nie da się wetknąć. Byli wszy-
scy. Wszyscy mieli radiostacje, a radiostacje miały an-
teny. Anteny, które wystawały nad żywo-plotem i kłuły
niebo. Wkrótce je dostrzeżono.

Zaczęto nas ostrzeliwać z moździerzy.

Nie musiałem rzucać się na glebę, już leżałem. Nau-
czyłem się: jeśli nic nie robisz – leż spokojnie. Możesz
w ten sposób uratować życie.

Ostrzał się wzmagał, w oddali słyszałem jazgot sa-
molotów. Powiedziano nam, że to harriery. Kiedy prze-
latywały nam nad głowami, świat eksplodował grzmo-
tem.

Znów wszystko nabrało wolnego tempa. Poczulem ostry ból w plecach. Bolało tak bardzo, że aż nie bolało. Coś uniosło mnie w powietrze, czulem, jak gdybym wisiał nad ziemią.

- Dostałem, dostałem! - wrzasnałem.

Upadłem i sięgnąłem ręką do pleców. Usłyszałem, że oddycham ciężko. Plecy miałem bardzo ciepłe. Byłem pewien, że krwawię. Przekręciłem głowę, by spojrzeć. Zobaczyłem, że dymię z tyłu. Umysł szarpnął się wstecz, by nie popaść w ostateczną panikę. Po chwili mówiłem sobie, że wciąż oddycham, że serce bije, że przeżyję.

Przeniosłem się w przyszłość...

Leżałem w łóżku, w białej pościeli. Łóżko znajdowało się na okręcie szpitalnym. Widziałem pielęgniarkę.

Wróciłem pod Goose Green.

„Spierdalał stąd”, powiedziałem sobie.

Ktoś trzymał mnie za rękę. Słyszałem dwa głosy, mówiły: „Już dobrze, Luke, już dobrze”. Jed i oficer od moździerzy, kapitan Tonks. Jed przekręcił mnie na brzuch, a zaraz potem na plecy. W rękę trzymał mały metalowy krążek. Powiedział, że tym oberwałem. Następnie mnie uderzył - ale nie mocno. Moje wrzaski napędzały bowiem stracha wszystkim dookoła.

Ów mały krążek był niegdyś częścią pocisku typu Blowpipe. Trafiwszy we mnie, przeciął parczane paski oraz pięć warstw ubrania i zadrasnął plecy - na tyle lekko, że plaster byłby przesadą.

Po bitwie, co tam, jeszcze wiele lat potem, koledzy kpili ze mnie okrutnie za moje „Dostałem, dostałem!” Próbowałem im wyjaśnić, jak przerażająca była to dla mnie chwila, ale dałem spokój, uznając, że strzępię język.

W innej książce przeczytałem, że kiedy znalazłem się w zasięgu rażenia pocisku, zacząłem biegać w kół-

ko i wrzeszczeć, że oberwałem. To nieprawda. Nie biegalem. Tylko krzyzałem.

Później, w Goose Green, kapitan Tonks próbował mnie pocieszać, kiedy chłopaki robili sobie ze mnie jaja. Powiedział, że cieszy się, że to nie on dostał, bo nie wiedziałby, co robić. Jego słowa podniosły mnie na duchu. Jeszcze inny oficer, kapitan Ketley z oddziałów przeciwzołgowych, również dostał się w zasięg rażenia. Powiedział mi, że metalowy krążek o centymetry minał jego twarz. I że boi się nawet myśleć, co by było, gdyby został trafiony. To też podniosło mnie na duchu.

Znacznie później, w Aldershot, zastanawiałem się, co działo się w mojej głowie, kiedy sądziłem, że oberwałem. Poczulem wstyd, że pierwszą myślą, kiedy upewniłem się, że żyję, było uciekać na okręt szpitalny. W filmach wojennych, które oglądałem, ranny żołnierz zawsze chce zostać z kolegami na polu bitwy.

Dziś nie czuję wstydu z powodu takich myśli. Teraz rozumiem, że to bardzo ludzkie zachowanie.

Wczoraj rozmawiałem ze Stevenem Hughesem, który był naszym oficerem medycznym podczas kampanii falklandzkiej. Opowiedziałem mu o tym, jak dostałem krążkiem i co myślałem zaraz potem. Powiedziałem, że upewniłem się, że oddycham, że serce bije i że nie krwawię. Odparł, że słucha tego z zadowoleniem. Rzekł, że tygodnie spędzone na wbijaniu nam do głowy zachowań w razie odniesienia obrażeń w warunkach bojowych nie poszły na marne. Sprawdź drogi oddechowe, sprawdź rany – tego nas uczył.

Był dobrym nauczycielem. nie ma wątpliwości.

Namolne śmiecie (pod Goose Green)

Doszlismy do miejsca, z którego mieliśmy widok na osadę Goose Green. Po raz pierwszy znaleźliśmy się powyżej pozycji wroga. Wiedzieliśmy, że przewaga jest teraz po naszej stronie. Na odgłosy wojny zaczęła się nakładać bardzo gruba cisza, pole bitwy spowijał mrok.

Gadano, że mamy zawieszenie broni. Dobre wieści, pomyślałem, może uda się wyjść z tego cało. Zapytałem, czy ktoś wie, dlaczego mamy zawieszenie broni. Kto o nie poprosił, my czy oni?

– Nikt ci nie mówił, Luke? Argentyńscy poborowi muszą być w łóżku o ósmej. Obiecaliśmy więc, że zaatakujemy dopiero, kiedy się wyśpią i zjedzą śniadanko.

Widziałem paru argentyńskich poborowych i niemal byłem skłonny w to uwierzyć.

Znalazłem się między Jedem a moim dowódcą. Okopywali się. Trudno nazwać okopem to, co zrobiłem, była to raczej głęboka nora. Żeby się przespać, żeby się znaleźć w ziemi na wypadek, gdyby zaczął się ostrzał.

Wyjrzałem z nory i zobaczyłem majora z jednej z kompanii strzeleckich. Stał wśród żołnierzy, przekazując im informacje i wydając rozkazy. Inny żołnierz, który był tuż obok, wydobyl z plecaka paczkę słodyczy – cukierków o nazwie Spangle, dokładnie rzecz biorąc. Wyjął jednego z paczki, odwiął papierek za pomocą zębów, wypluł go i zaczął ssać cukierka. Major to zauważył. Szarpnął za klapkę kabury.

Wrzasnął na żołnierza, by podniósł papierek. Powiedział, że fakt, iż jesteśmy na wojnie, nie oznacza, że możemy machnąć ręką na dyscyplinę.

Żołnierz przeprosił i podniósł papierek.

Nagły wybuch oficera ściągnął na niego kilka zdumionych spojrzeń (zwłaszcza żołnierzy stojących za jego plecami), w tym moje. Wydawało się to idiotyczne: oto jesteśmy na środku pola usłanego trupami, skrzynkami po amunicji, w odległości pięciu kroków płonie żywopłot, a major traci panowanie nad sobą z powodu rzuconego na ziemię papierka.

– Pizda zagoni nas pewnie rankiem do zamiatania. Staralem się nie śmiać zbyt głośno.

Gdyby starczyło czasu na zastanowienie się, doszlibyśmy nieuchronnie do wniosku, że major miał zupełną rację, że zbesztal śmieciarza. Gdyby któryś z nas upuścił choćby puszek podczas szkolenia w Anglii, całemu oddziałowi pourywanoby ją. Śmiecenie to dowód braku dyscypliny. Jeżeli nieprzyjaciel znajdzie twoje śmiecie, mogą mu one wiele o tobie powiedzieć – oho, papierek po spangle'ach, zatem byli tu Brytyjczycy.

Z drugiej strony można by chyba argumentować, że leżący dokoła martwi Argentyńczycy też stanowili pewną wskazówkę co do naszej obecności w okolicy. Sami się przecież nie pozabijali.

Mrok nadchodził znad horyzontu, światło dnia umykało z pola walki, a ja zagnieździłem się w mojej norze. Było zimno. Za dnia obficie się pocilem i na ciele pozostawała cienka warstwa wilgoci, która nie wysychała z powodu grubego ubrania. Pamiętam, że żałowałem, że nie mam swojego plecaka. Był w nim śpiwór. Było jedzenie i ciuchy na zmianę. Życie nie je bajka, powiedziałem sobie, nie masz go, więc przestań skamleć.

Zapędziłem do roboty szare komórki.

Przeanalizowałem wypadki dnia w nadziei, że doprowadzi mnie to do jakichś wniosków. Zabici, zabija-

jący, strach, śmiech, a nawet łzy. Usiłowałem coś z tego zrozumieć. Usiłowałem wmówić sobie, że czegoś się nauczyłem.

Czego? Że nie chcę umrzeć – oto czego.

Umysł przywoływał w pamięci skrawki mijającego dnia. Znow zobaczyłem i usłyszałem pocisk, który o mało mnie nie zabił. Na ułamek sekundy poczułem ten strach. Zmroziło mnie. Wówczas umysł jeszcze raz zmusił mnie do patrzenia na ten odłamek. Tym razem też mnie nie zabił, ale urwał mi nogę. Zmroziło mnie jeszcze bardziej.

Zacząłem sobie powtarzać, że pocisk mnie nie zabił i że nogi też mi nie urwał. „Nic takiego się nie stało i nie stanie” – wmawiałem sobie. „Przestań się bać, Ken. Wszystko dobre, co się dobrze kończy”.

Wówczas naszyły mnie wątpliwości, czy leżenie w norze kilkaset metrów od nieprzyjaciela, który też leży w norze, to naprawdę pomyślny koniec.

„Ja mam się bać?” – pracowałem dalej nad sobą. „Niech, kurwa, on się boi. On ma powody, ja nie”.

Wreszcie, zakutanego między facetami o nazwiskach Hugh Jenner i Jed Peatfield, zmogło mnie zmęczenie i zapadłem w sen.

Lecz zanim to się stało, zmówiłem pacierz.

„Dziękuję, amen”, powiedziałem.

Jem, sram, więc jestem

(2)

Następna ważna chwila w mojej opowieści o falklandzkim jedzeniu i sraniu wydarzyła się pod Goose Green w nocy po dniu ciężkich walk. Zasnąłem w norze wykopanej wraz z Jedem i majorem Jennerem, ale obudziliśmy się w końcu z powodu zimna. Wypelzłem z zie-

mi i postanowiłem pospacerować, żeby się rozgrzać. Kilka kroków dalej płonął jasno na tle czarnej nocy żywopłot z Janowca ciernistego. Ogień powstał wskutek wybuchów pocisków, od których zajął się torf pod żywopłotem. Kiedy nastala noc, przybrał na sile i teraz torf palił się na całego. Wokół rozżarzonej ziemi siedziało wielu żołnierzy. Pozdejmowali buty, suszyli je i grzali stopy. Podszedłem, wyszukałem sobie miejsce i usiadłem. Znalazłem się w siódmym niebie. Było tak ciepło. Wyciągnąłem się na ziemi. Czułem, jak rozgrzewa się całe moje ciało. Chciałem tak leżeć do końca świata.

Raz po raz słyhać było głośnie „O, kurwal” i szelesty, kiedy to klnący żołnierz usiłował zdusić płomień takiej czy innej części garderoby, która zajęła się ogniem, bo zbyt długo leżała na ziemi.

W pewnej chwili sierżant, który siedział obok mnie, podał mi menażkę z łyżką w środku. W menażce była owsianka z arktycznych racji żywnościowych, zmieszana z czekoladą z torebki. Powiedział, żebym się poczęstował dwoma łyżkami. Po zjedzeniu pierwszej łyżki uświadomiłem sobie, że jestem wygłodniały. Zupełnie zapomniałem o jedzeniu. Chyba dlatego, że ostatnio skupiałem się tylko na tym, czy żyję. Powiem wam teraz uczciwie – z ręką na sercu, wzywając Boga na świadka i niech mnie szlag, jeśli lżę – że ta czekoladowa owsianka, której wtedy zakosztowałem na polu bitwy pod Goose Green, była najpyszniejszym żarciem, jakie kiedykolwiek miałem przyjemność włożyć do ust.

Żyjemy! Szczęśliwe dni (Goose Green)

Stałem na plaży. Było ciepło, pięknie, jasno. Woda przezroczystoniebieska, piasek pod stopami śnieżno-

biały, a moja skóra opalona złościście. W dłoni wysoka szklanka, w wysokiej szklance chłodny napój. Byli i inni, żółte bikini, brązowe piersi, swobodny śmiech. Bardzo ciepło, Bardzo miło.

Ktoś mnie obudził.

- Kurwa mać.

Kurwa mać, kurwa mać! Znów znalazłem się pod Goose Green. Bardzo zimno. Bardzo niemiło. Chciałem z powrotem na plażę – tam było ciepło, było picie. No i kobiety.

Wciąż panował mrok. Zarządzono wymarsz przed świtem. Kolejny raz szliśmy z plutonem karabinów maszynowych. Mieliśmy przeskoczyć żywopłot, pokonać krótki dystans i opanować okopy bronione do niedawna przez Argentyńczyków. Z tych okopów mielibyśmy otwarty widok na Goose Green.

Drugi raz w ciągu tych dni to my mieliśmy pchnąć sprawy do przodu.

Niewiele czasu zabrała nam zbiórka, cichy skok w teren, pokonanie żywopłotu, znów skok, odnalezienie i obsadzenie okopów. Mieliśmy trzymać nosy przy ziemi, żeby Argentyńczycy nas nie dostrzegli.

Okopy okazały się pospiesznie wygrzebanymi dołami, głębokimi najwyżej na pół metra. Bill i ja leżeliśmy plackiem, by nie było nas widać, na waleta. Zaczęło świtać i pierwszy raz mogliśmy spojrzeć na osadę znajdującą się poniżej – oraz na zabitego Argentyńczyka, który leżał kilka kroków dalej. Cholera, byliśmy blisko. Chciałem, żeby znów nastąpiła noc.

Zaczęliśmy gadać. Powiedziałem, że do tej pory żaden z napotkanych trupów nie śmierdzał. Zawsze myślałem, że trupy śmierdzą. Bill był zdania, że nie śmierdzą, ponieważ jest zimno. Rozmawialiśmy o minionym dniu, zagryzając się w duchu, co nam przyniesie nowy. Mieliśmy nadzieję, że będzie lepszy. Wiedzieliśmy, że ostateczny atak na Goose Green rozpocznie

się od ostrzału karabinów maszynowych z naszych pozycji. Wiedzieliśmy również, że wówczas Argentyńscy rzucają do walki wszystko, co mają, by przełamać skoncentrowany ogień. Chętnie obylibyśmy się bez tej wiedzy.

Poprzedniego dnia Bill i ja znajdowaliśmy się mniej więcej na tej samej linii, tylko kilkaset metrów na prawo. Wtedy właśnie argentyńskie działo przeciwlotnicze zostało wykorzystane do „przyziemnej roboty” i zaczęło do nas walić. Pociski wybuchały w powietrzu, zostawiając po sobie białe obłoczki dymu.

Białe obłoczki były dla mnie czymś nowym. Zobaczywszy pierwszy, zastanawiałem się, z jakiej broni pochodzi. Potem nadeszły następne i uznałem, że są śmiertelnie niebezpieczne. Przestraszyłem się, bo nie wiedziałem, z czego strzela nieprzyjaciel. Czy Argentyńscy mają coś, czego my nie mamy? I co robić, kiedy z tego wala?

Pomyślałem, że jeżeli białe obłoczki będą się rozpryskiwać tam gdzie wczoraj, to będą się rozpryskiwać tam, gdzie się teraz znajdujemy. Szkoda, że nie mieliśmy jakiegś osłony nad głowami.

Z lewej strony dobiegły nas krzyki. To Jed się wściekał, darł z kimś koty. Bill i ja unieśliśmy się nieco i wyrzeli z ziemi. Chcieliśmy zobaczyć, kto mu nadepnął na odcisk.

Jeden z Chrupaków (Chrupakami nazywaliśmy pluton karabinów maszynowych). W owym czasie pokazywano w angielskiej telewizji reklamę ciasteczek Jaffa. Była to kreskówka, w której występowały małe ludziki żywiące się wyłącznie tymi ciasteczkami – Chrupaki. Gdzieś kiedyś zauważono, jak żołnierze z plutonu karabinów maszynowych opychają się ciasteczkami Jaffa, i ktoś powiedział: „Patrzcie, Chrupaki”. Przyjęło się.

Jed dostał szału, ponieważ kilku Chrupaków wyszło

z okopów i spacerowało sobie, częstując się ciasteczkami, jak gdyby byli na wojskowym pikniku.

Jeżeli Argentyńczycy nie wiedzieli dotąd, że tu jesteśmy – to teraz się dowiedzieli. Bill i ja wcisnęliśmy się na powrót w dół, pragnąc być gdziekolwiek indziej.

Czas płynął wolno. Nagle zakrzyknięto głośno, że puszczamy dwóch argentyńskich jeńców, którzy zejść do osady. Mieli zanieść swemu dowództwu ultimatum. Uprzedzono nas, byśmy nie strzelali.

Dwaj Argentyńczycy pojawili się nad żywoplotem za naszymi plecami, następnie minęli nasze pozycje i ruszyli w dół. Życzyłem im w duchu powodzenia.

Minał jakiś czas – znów wolno – po czym zakrzyknięto, że Argentyńczycy się poddają. Bill i ja wyszczerzyliśmy się od ucha do ucha i roześmieli. Znow uśmiech, cha, cha, uścisk dłoni, uśmiech, cha, cha, i tak w kółko.

Z okopów, które tworzyły naszą linię, powyłazili żołnierze. Wszyscy się uśmiechali. Wszyscy się śmieli. Radiotelegrafista krzyknął, że Argentyńczycy chcą przemaszerować i odśpiewać swój hymn narodowy, zanim złożą broń. Powiedziałem do Billa, że pójdę i, kurwa, zaśpiewam razem z nimi, jeśli dzięki temu chętniej się poddadzą.

Znów zarechotaliśmy. Serdecznie i donośnie.

Wyleźliśmy z Billem z dziury i podeszliśmy do majora Jennera, przy którym zbierali się już inni żołnierze. Wszyscy byli bardzo zadowoleni. Uśmiechali się. A czemu nie, do kurwy nędzy? Żyliśmy przecież, co więcej, była szansa, że pożyjemy dłużej.

Znów minęło trochę czasu, następnie rozkazano nam przez radiostację, byśmy zeszli do osady. Zebraliśmy nasz sprzęt i ruszyliśmy, by pokonać ostatnie kilkaset metrów dzielących nas od Goose Green. Szliśmy ścieżką. Kiedy zbliżaliśmy się do pierwszych budyn-

ków, ukazali się argentyńscy żołnierze. Było ich wielu. Mnóstwo.

Nie pamiętam, czy zastanawiałem się wtedy, ilu Argentyńczyków stoi przeciw nam w Goose Green. Chyba sądziłem, że batalion. Okazało się, że jest ich trzy razy tyle. Pamiętam, że zobaczywszy ich pierwszy raz, byłem zdziwiony, że tak wielu z nich jest pochodzenia indiańskiego i że są tak dobrze wyżywieni i ubrani. I jeszcze jedno: wyglądali na bardzo zadowolonych.

A czemu nie, do kurwy nędzy? Żyli przecież, co więcej, była szansa, że pożyją dłużej.

Do osady weszliśmy w hełmach. Krzyknąłem do dowódcy, czy możemy włożyć berety. Albo nie usłyszał, albo puścił moje słowa mimo uszu – więc krzyknąłem znowu. Tym razem zatrzymał nas, zdjęliśmy hełmy i włożyliśmy berety.

Nadeszła godzina Zwycięskich Spadochroniarzy.

Cywilie wybiegli, by nas powitać, wiwatowali, gdy przechodziliśmy. Podbiegły młode dziewczęta. Dzieci chciały naszych autografów, mężczyźni pragnęli uściśnąć nam dłonie. Nastąpiła chwila wielkiej chwały.

Kiedy tak cieszyliśmy się zwycięstwem, pojawiła się ekipa telewizyjnych wiadomości. Zaczęli filmować. Dave wyjął z plecaka brytyjską flagę, wspinał się na dach budynku i zawiesił ją na słupku. Wszyscy wiwatowali, ekipa kręciła.

Sfilmowano mnie wtedy w Goose Green. Akurat piłem z gwinta rum Bacardi. Kiedy wróciłem do Anglii i obejrzałem nagrania z wojny, z zadowoleniem zobaczyłem siebie samego. Wszyscy orzekli zgodnie, że wyglądałem bardzo bojowo.

Dziwnie się jednak czuję, gdy widzę ruchome kadry przedstawiające mnie na wojnie. Oglądałem ten reportaż wiele razy i czasem robiło mi się smutno, innym razem byłem zachwycony. Zawsze jednak kończy się

tym, że mam zamęt w głowie. Gdzieś we mnie kołacze się myśl, że teraz powinienem wreszcie coś z tego pojąć, ale nie bardzo wiem co. Zawsze staram się przywołać pełnię szczęścia, której doświadczyłem tego majowego poranka, lecz nigdy mi się nie udaje.

Potem dowódca kazał odnaleźć lekarza Argentyńczyków. Zatrzymałem miejscową kobietę i zapytałem, czy wie, gdzie jest ośrodek medyczny. Powiedziała, że wie i że jeśli z nią pójde, to mnie zaprowadzi. Kiedy tak szliśmy razem, zaczęła mi opowiadać o argentyńskim lekarzu. Powiedziała, że to porządny człowiek i że robił wszystko co w jego mocy, by pomóc mieszkańcom Goose Green, i bardzo prosi, byśmy go nie zabijali, jeżeli to możliwe. Odparłem, że nie mamy zamiaru nikogo zabijać, a już na pewno nie lekarza. Nic dziwnego, że po szykanach doznanych od argentyńskiego wojska niektórzy obywatele Goose Green spodziewali się odwetu z naszej strony.

Odnalazłem lekarza – należał to tej rzadkiej rasy ludzi, do których pała się sympatią od pierwszego wejścia – przekazałem mu polecenie swego dowódcy i odszedłem.

Następnie z kilkoma kolegami przeszliśmy się po osadzie. Wszystkie budynki, które widziałem, były okropnie zdewastowane. W każdym pomieszczeniu wały się kupy ludzkiego gówna. Najczęściej na podłodze, choć zdarzały się też na łóżkach, krzesłach, a w jednym domu nawet w zlewie. Zwyczaje wydalnicze Argentyńczyków to jedyne, czego nie mogłem pojąć. Po co srać komuś na meble? Na łóżko?

Gdybym kiedykolwiek wrócił do domu i zobaczył, że ktoś go tak obsrał, to postawiłbym chyba winowajców po ścianą i rozstrzelał.

Ale najpierw kazałbym im sprzątnąć.

Niemieccy żołnierze w glanach

(Goose Green)

Pierwszą noc po bitwie spędziliśmy w garażu. Było nas siedmiu, humory dopisywały.

Zrobiono mi wówczas zdjęcie i jeżeli to, co teraz piśszę, ukaże się kiedyś drukiem, to chciałbym, by je obok zamieszczono. Podpisałbym zdjęcie tak: „Ja w garażu w Goose Green tamtej nocy”. Piliśmy herbatę, paliliśmy papierosy i przez znalezione w opuszczonym domu radio słuchaliśmy wiadomości BBC, w których donoszono o naszych wyczynach z poprzedniego dnia.

Wszedł żołnierz niosący pęk glanów zdjętych z zabitych Argentyńczyków. Przywłaszczył sobie kawałek pustej podłogi, usiadł i zaczął je przymierzać. Argentyńskie buty były znacznie lepszej jakości niż nasze i kiedy tak odrzucał na bok pary, inni je brali i też przymierzali.

Przeniosłem się w czasie...

Znów byłem dzieckiem. W deszczowe niedzielne popołudnie oglądałem czarno-biały film w telewizji o grupie młodych Niemców, przyjaciół ze szkoły, którzy przerwali naukę i pojechali walczyć za ojczyznę w okopach pierwszej wojny światowej. Później przeczytałem książkę, na podstawie której nakręcono film - *Na zachodzie bez zmian*. Pamiętałem, że jeden z żołnierzy, pochodzący z zamożnej rodziny, miał miękkie skórzane buty. Wszyscy koledzy mu ich zazdrościli i kiedy poległ, jeden z nich zdjął je z niego i sam zaczął nosić. Potem on też zginął, buty więc dostał następny.

Powróciłem do garażu w Goose Green i wydawało mi się, że rozmowa wokół mnie toczy się po niemiecku. Nie tknąłem argentyńskich butów.

Później, w pobliżu Stanley, natrafiłem na trupa brytyjskiego żołnierza. Miał na sobie argentyńskie buty. Pomyślałem, że pewnie nie widział filmu, który

obejrzałem w deszczową niedzielę przed wieloma laty.

Znam jeszcze inną piosenkę: „Te buty są do chodzenia i właśnie chodzić będą, a pewnego pięknego dnia po tobie też się przejdą”.

Nancy nie kłamała.

Załatwiłem sobie sześciu jeńców

(Goose Green)

Kolejne Cudowne, Bogoojczyźniane Wieści na Chwałę Jej Łaskawej Królewskiej Mości: zakwaterowali nas w sklepie. Niech im Bóg przysporzy gwiazdek na pagonach.

Uwielbiam plądrować.

Gdy tam weszliśmy, było nas czterech lub pięciu. Wszędzie pierdzielnik. Ze ścian postrącano półki, podłoga zastana towarem. Pamiętam, że chodziłem wśród półek z myślą, że powinienem sobie coś wziąć. Niemal jak gdyby to był mój obowiązek. Najpierw wszyscy zaczęliśmy szukać baterii do walkmanów. Nawet gdybyśmy sami nie mieli walkmanów, to baterie byłyby cennym towarem wymiennym. Numer drugi na liście zajmowały filmy do aparatów fotograficznych, najlepiej kolorowe o czułości 110. Aparatu nie miałem, ale znałem gościa, który miał.

Kiedy tak chodziliśmy od półki do półki, wszedł kapitan piechoty morskiej. Zauważył nas i powiedział, że nie powinniśmy niczego brać, bo jesteśmy zdyscyplinowanymi żołnierzami, elitarną jednostką i jeżeli zobaczy, że plądrujemy, to osobiście zamelduje o tym pułkownikowi.

Któryś z nas zapytał, czy pomóc mu go odkopać. Parsknęliśmy śmiechem.

Kapitan nie usłyszał, zapytał więc, co nas tak śmie-

szy. Nikt mu nie odpowiedział. Olaliśmy go. Ostrzegł nas jeszcze raz i wyszedł.

Pamiętam, że było to dla mnie dziwne doświadczenie, nagle wejście kapitana piechoty morskiej do sklepu w Goose Green. Kiedy z nami rozmawiał, przyszła mi do głowy myśl, że nie ma prawa wydawać nam rozkazów. Za kogo on się, kurwa, uważa? Myśmy spadochroniarze. Właśnie odnieśliśmy zwycięstwo w pięknym stylu. On był z piechoty morskiej. Nienawidziłyśmy ich. Jak on, kurwa, w ogóle śmie otwierać do nas usta? Postanowiłem zupełnie go zignorować. Dziś dziwi mnie moja postawa, bo ten oficer był z nami przez całą bitwę pod Goose Green. Zaglądał śmierci w oczy tak samo jak my, widział to samo zabijanie, prawdopodobnie bał się tak samo. Miał więc prawo przywoływać nas do porządku, więcej – miał obowiązek. W końcu był niemal jednym z nas. Ale nie całkiem. Nosił bowiem na głowie zielony beret, a my czerwone.

Zakwaterowanie nas w sklepie było miłą niespodzianką, ale miła niespodzianka wiązała się z niemiłą.

Niemiła niespodzianka: w sklepie wszędzie nasrane (dosłownie), a ja jestem najniższy rangą.

– Weź się do sprzątnięcia, Luke – rozkazał starszy sierżant Jed Peatfield.

Będzie to najszcześniejszy dzień mego życia, kiedy cię pochowają, pomyślałem.

Następna scena w filmie wojennym ze mną w roli głównej, to trzymam szczotkę, zamiatam nią podłogę, aż się kurzy, wyobrażając sobie jednocześnie, że zgarńiam na kupę szczątki sierżanta Peatfielda. Żeby była jasność: wcale bym się nie cieszył, gdybym naprawdę uprzątał szczątki Jeda, z niego był morowy gość, tylko rozkaz bardzo mi się nie podobał.

Na scenę z prawej strony wchodzi sierżant sztabowy Frank Pye.

– Co ty robisz, głupia cipo? – pyta mnie.

- A gdybym odpowiedział, sierżancie, że zamiatam podłogę, to byście uwierzyli?

- Nie leć ze mną w chuja, zarazo, bo ci spuszcze manto.

- Przepraszam, panie sierżancie.

Następnie Frank wyjaśnił, że nazwanie mnie „głupią cipą” było nie tyle jedną z jego wielu słownych plezczot, ile wyrazem poważnej troski. Po co własnoręcznie sprzątam sklep, skoro w owczarni siedzi ponad tysiąc dwustu jeńców? Dlaczego takich ludzi jak Frank Pye nie mianowano od razu generałami, pozostawało dla mnie zagadką. Ten facet to geniusz, pomyślałem.

Podziękowałem grzecznie Frankowi i wyszedłem ze sklepu w poszukiwaniu brygady pracującej. Jeńców trzymano na krańcu osady w obszernej owczarni. Fakt, że zmieściło się w niej tysiąc dwustu jeńców, powinien wam dać pojęcie, jak była wielka.

Wszedłszy, zobaczyłem starego mężczyznę. Okutany w koc, wyglądał jak śmierć na chorągwi. Widziałem w swoim czasie paru mizeraków, ale starzec w owczarni w Goose Green przedstawiał się najżałośniej ze wszystkich. Nie rozumiałem, co tu robi ktoś w jego wieku.

Kiedy tak na niego patrzyłem, otoczył go chyba cały argentyński korpus oficerski. Zapytałem najbliższego wartownika, co się dzieje. Wyjaśnił, że ten cień w kocu to kapelan Argentyńczyków, a oficerowie się zbierają, bo mają z nim wyjść na modlitwę, by udzielił ostatniego namaszczenia poległym.

No i słusznie, pomyślałem.

Zapytałem wartownika, czy wie, jak mogę wypożyczyć kilku jeńców do sprzątnia. Wskazał mi kąt owczarni, gdzie wokół biurka stali nasi żandarmi i paru innych żołnierzy.

Jeden z nich, imieniem Don, był moim dobrym kolegą. Dzieliliśmy pokój w Irlandii Północnej i Don był

drużbą na moim ślubie z Kathy. Znałem dobrze jego i jego poczucie humoru: był zaprzysięgłym wielbicielem grupy Monty Pythona. Podszedłem do niego i powiedziałem początkowe słowa znanego tekstu:

- Kto tu dowodzi? Chcę złożyć skargę.

- Skargę? W jakiej sprawie?

- Chodzi o Argentyńczyka, którego wypisałem z tej nory dziś rano. Nie żyje.

- Nie żyje? Nieprawda. On tylko śpi.

(Następuje dalsza część skeczu).

Nasz mały spektakl wywołał głośne brawa brytyjskich wartowników i ściągnął na nas spojrzenia jeńców, które mówiły: „Patrzcie, kompletnie im odpięrdoliło”.

Wyjaśniłem jednemu z żandarmów, że potrzebuję paru typków do sprzątnięcia sklepu, i zapewniłem, że mam na to pozwolenie samej Margaret Thatcher. Zapytał, ilu chcę. Powiedziałem, że nie wiem. Ilu zwykle biorą inni? Wypisujemy ich najchętniej szóstkami. Wystarczy? Powiedziałem, że sześciu starczy, wielkie dzięki za miłą obsługę. Przywołał argentyńskiego oficera, który mówił po angielsku, i wytłumaczył mu, w czym rzecz. Oficer skinął głową, obrócił się i po hiszpańsku przekazał rozkaz komuś innemu. Ten z kolei zniknął zaraz w tłumie jeńców.

Czekając na moją szóstkę, zauważyłem argentyńskiego żołnierza, który siedział po turecku na ziemi za biurkiem żandarmów. Przed sobą miał otwarte dwie brytyjskie racje żywnościowe, brytyjską kuchenkę Hexama, na której gotowało się brytyjskie jedzenie w brytyjskiej menażce, oraz paczkę bezcłowych playersów No. 6 king size i pudełko brytyjskich zapalek. W rękę ścisnął połowę paczki cukierków Rolo, a po jego chrząszczących zębach wnosilem, że drugą właśnie chrupie.

Obróciłem się do żandarma i zapytałem, kto to i dla

czego cieszy się tak uprzywilejowanym traktowaniem.

- A, ten - odparł. - To nasz Manuel, tak go nazywamy. Znaleźliśmy go rano na tyłach owczarni. To jeden z nas, Luke. Spadochron. Równy gość, mówię ci. Gada, że w Stanley jest masa argentyńskiej piechoty morskiej i jeżeli tylko damy mu broń, to z najwyższą ochotą postrzela do nich razem z nami. Wiesz, że skakali z herculesów?

- Nie, nie wiedziałem. Mam nadzieję, że zaproponowaliście mu, żeby dołączył do nas, kiedy będziemy strzelać do naszej piechoty?

Wszyscy ryknęli śmiechem, Manuel też.

- Nienawidzi, kurwa, fagaszów - powiedział łamaną angielszczyzną.

Najwyraźniej nasi żandarmi uczyli go najważniejszych wyrażen z języka brytyjskich spadochroniarzy.

Odwróciłem się od żandarma i Manuela i zagadnąłem mówiącego po angielsku argentyńskiego oficera. Słusznej postury, z czarnym wąsikiem, prezentował się zadziwiająco nienagannie jak na kogoś, kto w okopach służy całym sercem Ojczyźnie. Nosił zielony берет. Zapytałem, z jakiej jest formacji. Powiedział, że z elitarnej jednostki komandosów. Uczciwie muszę powiedzieć, że w trakcie rozmowy poczynił traktować mnie z góry. Najwyraźniej uważał, że stoję niżej od niego. Był oficerem, ja - szeregowcem. Popelnił błąd.

Wróciłem myślami do ciał widzianych poprzedniego dnia. Wróciłem myślami do ciał, które mijalem w drodze do owczarni, ułożonych w szeregu pod żywopłotem. Wszystkie miały dwie wspólne cechy: wszystkie były trupami Argentyńczyków i żadne nie było trupem oficera.

My straciliśmy poprzedniego dnia siedemnastu ludzi, w tym pięciu oficerów.

Widziałem już więcej zabitych Argentyńczyków, niż

mogłem zliczyć, ale z liczeniem oficerów nie miałem problemu. Bo nie było żadnego.

Ta statystyka wiele mi powiedziała o nienagannie ubranym bohaterze z doborowej jednostki, który stał przede mną.

Postanowiłem pokazać mu, kto jest górą w tej małej grze, którą przyszło nam toczyć. Kiedy życie wydaje się gównem, trzeba sobie znaleźć kogoś, na kim można się odegrać – to pomaga.

Zerwałem mu beret z głowy w nadziei, że widok poniżanych dystynkcji pchnie go do czynu, a wtedy zarobi kopniaka od nas wszystkich.

Zawiodłem się – uśmiechnął się tylko. W podszewkę beretu wszyta była kula. Zapytałem go po co. Odpowiedział, że dla honoru. Gdyby skończyła im się amunicja, tą kulą miał odebrać sobie życie, by uniknąć hańby, jaką jest niewola.

Omam nie umarłem ze śmiechu.

Zawołałem Dona i żandarmów i powiedziałem im o kuli w berecie. Don zapytał oficera, czy byłby mu łaskaw wyjaśnić, jak to się w takim razie stało, że mamy w owczarni z górą stu jego fagasów w zielonych beretach. Wszyscy się śmialiśmy. Oficer nie.

Wrócił wreszcie wysłany przez Dona Argentyńczyk – prowadząc sześciu żołdaków. Było pięciu poborowych i jeden „bohaterski syn Malwinów” – kolejny oficer.

Obróciłem się do żandarma i zapytałem:

– To co teraz mam zrobić?

– Musisz podpisać – rzekł i wyciągnął bloczek. – Pamiętaj, oficerowie nie pracują i prosilibyśmy o zwrot wszystkich przed piątą.

Oficer podszedł, pokiwał do mnie palcem i powiedział:

– Oficer nie pracować.

Zapytałem żandarma, czy tego też muszę zwrócić. Odparł, że tak, bo poświadczyłem na piśmie za wszystkich. Oczywiście jeśli chcę go zwrócić, a potem zabrać bez podpisywania i już nie przyprowadzić, to nie będzie problemu. Oby tylko w papierach się zgadzało. Żandarm lubił mieć porządek w księgowości.

Wszyscy śmiali się głośno – z wyjątkiem oficera, on się stropił. Podziękowałem żandarmowi za pomoc, pożegnałem się z Donem i kazałem stanąć moim sześciu jeńcom na baczność.

– Wróć! – krzyknąłem zaraz potem. Strzepilem język, bo żaden nie mówił po angielsku prócz oficera, a ten z kolei rozwinął w sobie całkowitą odporność na mnię.

Pierdolić go – miałem broń.

Trzasnąłem obcasami, by pokazać, o co mi chodzi. Olśnieni poborowi wydali z siebie ciche „aha”, uśmiechnęli się i stanęli na baczność. No, coś jakby na baczność – przypominało to raczej zasypywanie na zwarłych nogach. No, ale pojęli. Następnie krzyknąłem:

– W prawo zwrot!

Panika w oczach. Co ten z gnatem powiedział? Stali już na baczność, więc najprawdopodobniej chciałem, by się obrócili. Ale w którą stronę? Skinąłem głową w prawo. Znow się uśmiechnęli i wykonali zwrot.

Zaczynało mi się to coraz bardziej podobać.

Wyprowadziłem ich z owczarni i ruszyłem do sklepu. Minęliśmy leżące szeregiem ciała ich poległych kolegów. Zapytałem oficera o samopoczucie. Złe, odpowiedział.

Po drodze ułożyłem piosenkę. Ona bardzo dobrze podsumowuje, co czułem, kiedy prowadziłem sześciu ludzi na muszce pistoletu maszynowego:

Załatwiłem sobie sześciu jeńców
i wszyscy moi są,

bo mam karabin maszynowy.
Dlatego moi są.

Paraduję z nimi tu i tam
I cały świat się śmieje,
bo Kenny sześcioro jeńców ma
i żaden nie nawleje.

Wiem, że to nie hit na listy przebojów, ale przynajmniej ułożone z serca.

Weszliśmy do sklepu, pokazałem im bajzel i wzięli się do roboty. Oficer mówił trochę po angielsku, więc porozmawiałem z nim. Z tego, co powiedział, wywnioskowałem, że jest w wojsku od szóstego roku życia. Ojciec był żołnierzem i on teraz pielęgnował tradycję rodzinną. Powiedział mi również o Stanley, że siedzi tam silny garnizon i że nie ma mowy, byśmy zdobyli stolicę. Odparłem, że jest w błędzie.

Po kilku godzinach pracy postanowiłem zrobić jeńcom przerwę na herbatę. Wyjąłem z plecaka Kuchenkę i ugotowałem trochę wody. Zaparzywszy herbatę, przerwałem im sprzątanie i powiedziałem, żeby sobie odpoczęli.

Kiedy tak siedzieliśmy w siedmiu, piliśmy herbatę, paliliśmy papierosy i zajadaliśmy herbatniki w gościnnym sklepie, wszedł starszy sierżant sztabowy wraz z grupą wyspiarzy za plecami. Jedno spojrzenie na zorganizowany przeze mnie mały podwieczorek i dostał szału. Wrzasnął, co ja sobie, kurwa, wyobrażam. Wyjaśniłem mu, że jeńcy sprząkali sklep i że zarządziłem przerwę.

Powiedział, że jeśli muszą odpocząć, to powinienem ich wyprowadzić na dwór i kazać im leżeć twarzą w błocie. Jego wściekłość zdawała się zupełnie nie na miejscu, miałem ochotę mu to powiedzieć i bronić swoich racji, ale był sierżantem i prędzej powiedziałbym kontradmirałowi Sandy'emu Woodwardowi, żeby się pierdolił, niż zadarł z sierdzuchem.

Natychmiast więc skoczyłem na równe nogi i zacząłem pokrzykiwać na jeńców, by wrócili do pracy. Sierżant i wyspiarze rozejrzeli się po sklepie i zaraz sobie poszli. Kiedy wychodzili, sierżant przepuścił tubylców przed sobą, odwrócił się do mnie, mrugnął okiem i wskazał ich wymownie głową.

Ulżyło mi. Zrozumiałem. Musiał mnie ochrzanić ze względu na wyspiarzy, którzy uważali, że powinniśmy wyprowadzić jak najwięcej Argentyńczyków na pole i rozstrzelać. Mieszkańcom Goose Green zarekwiirowano i splądrowano domy, a ostatni miesiąc spędzili zamknięci w domu kultury. Ze wszystkich Falklandczyków oni ucierpieli najbardziej. Nic dziwnego, że nie czuli sympatii do byłych okupantów.

Kiedy jeńcy skończyli sprzątać i sklep lśnił, wziąłem z półki trochę brytyjskich papierosów i dałem oficerowi, by rozdał je swoim szwejmom. Oficer podziękował mi grzecznie, lecz zapytał, czy mógłby je wymienić na argentyńskie – leżały obok. Wyjaśnił, że widok jeńców palących brytyjskie papierosy może zostać opacznie zrozumiany przez wartowników.

Słusznie. Dałem mu kilka paczek lucky strike'ów.

Zanim wyszli, zrobiłem sobie zdjęcie z jeńcem. Ilekroć je komuś pokazuję, zawsze mówię:

– Oto ja z jednym z moich jeńców.

Niemal zawsze robi to wrażenie.

Urodzony nie w porę (Goose Green)

Podczas pobytu w Goose Green dostawaliśmy pocztę z domu. Jako że byłem pisarzem kompanii, wielki niebieski wór rzucano na moim progu i do mnie należało posortowanie listów i przekazanie ich plutonom, z

których składała się kompania. Sortowanie poczty na Falklandach zawsze było wyścigiem z czasem. Czy zdążę, zanim wieść się rozniesie, że przyszły listy? Zwykle odpowiedź brzmiała „nie”.

Gdy tylko się dowładywano, oblegali mnie ludzie, którzy pytali, czy jest coś dla nich. Pierwsi pojawiali się zazwyczaj szweje. Usiłowałem im tłumaczyć, że ich obecność i nieustanne nagabywanie tylko spowalnia moją pracę i że zrobiłbym wszystko dwa razy szybciej, gdyby się odpieprzyli i zostawili mnie w spokoju. Następnie przybywali kaprale, którzy jako odpowiedzialni podoficerowie rozkazywali spieprzać namolnym szwejdom. Gdy tylko szweje odchodzili, kaprale stawali się namolni. Wówczas pojawiali się plutonowi, którzy jako starsi rangą podoficerowie rozkazywali spieprzać namolnym kapralom. Kiedy kaprale sobie szli, plutonowi stawali się namolni. Wreszcie pojawiali się Jed i Frank i rozkazywali spieprzać namolnym plutonowym. Niestety, nie było już nikogo, kto przegoniłby tych dwóch, więc musiałem ich znosić. Wszyscy z wyżej wymienionych chcieli oczywiście „tylko pomóc”, ale gdy natrafili na list z własnym nazwiskiem, natychmiast wrywali do kąta, by czytać. Kiedy już poczta została posortowana i wysłana do poszczególnych plutonów, siadaliśmy w kilku na podłodze i czytaliśmy bez końca nasze listy. Czasem wymienialiśmy się informacjami, pokazywaliśmy sobie zdjęcia.

Jeden z naszej grupy, kapral łączności, dostał list od żony. Gdy płynęliśmy „Norlandem” na Falklandy, urodziła ona ich pierwsze dziecko. Do listu dołączyła swoje zdjęcie z noworodkiem. Kapral z dumą puścił je w obieg.

Ktoś – nie pamiętam dziś kto – powiedział, że to niesamowite. Wstał i podszedł do plastikowego worka, w którym tkwiły rzeczy osobiste poległych argentyńskich żołnierzy. Wysypał wszystkie na podłogę i zaczął szpe-

rać wśród identyfikatorów i listów. Szukał listu, który miał w rękach wcześniej tego dnia. Odnalazł go i z koperty wydobył plik zdjęć.

To rzeczywiście było niesamowite.

Zdjęcia przedstawiały kobietę – żonę poległego żołnierza, jak przypuszczaliśmy. Na jednym z nich leżała ona w szpitalnym łóżku i trzymała przy piersi noworodka. Na innym, wyczerpana i opuchnięta, ale jednocześnie szczęśliwa, ścisnęła w ramionach drobną, pomarszczoną istotkę o mokrych oczach. Istotkę otulał biały kocyk. I miłość.

W jednej dłoni miałem zdjęcie żony i dziecka argentyńskiego żołnierza, w drugiej żony i dziecka brytyjskiego. Mógłbym stwierdzić, że zdjęcia były podobne, ale to za mało. One były identyczne. Kiedy tak je porównywałem, nowe życie, które przedstawiały, wywołało uśmiech na mojej twarzy. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że jedno z dzieci nie ma już ojca, że jedna z kobiet jest już wdową. Zrobiło mi się żal tego dziecka, zrobiło mi się żal tej kobiety, zrobiło mi się żal samego siebie i nas wszystkich. Kiedy tak podawaliśmy sobie zdjęcia z rąk do rąk, czuliśmy prawdziwy smutek.

Na ułamek sekundy dotarło do nas, w jakim to głupim i okrutnym przedsięwzięciu bierzemy udział. Być może na ułamek sekundy zdaliśmy sobie sprawę z tego, co zawsze było niekwestionowaną prawdą – że Argentyńczycy mają żony i dzieci tak samo jak my.

Ogarnęło mnie współczucie.

Lecz nastrój zaraz się zmienił. Ktoś zdjęty wstydem szybko przywdział na powrót maskę twardego spadochroniarza. Powiedział, że Argentyнка wygląda na taką, co lubi się jebać w dupę. Ktoś inny dodał, że chętnie by ją wyruchał w gębę. Trzeci wspomniał o filmie pornograficznym, który kiedyś widział, no i rozkręciliśmy się na całego.

Przez następne kilka minut żołnierze prześcigali się w pomysłach, co by zrobili Argentynce na zdjęciu.

Ja nie pozostawałem w tyle.

Dziś, kiedy piszę te słowa i przypominam sobie chwile w sklepie w Goose Green, usiłuję dociec, dlaczego kiedyś taki byłem. Dlaczego mówiłem plugastwa o kobiecie, której ledwie chwilę wcześniej współczułem całym sercem? Moje wspomnienie dwóch zdjęć oglądanych jednocześnie nie należy do radosnych. Wstydzę się, gdy wspominał, co wtedy powiedziałem. Nie pamiętam dokładnie słów, lecz wiem, że powiedziałem coś odpowiednio wulgarnego. Co pokazało pozostałym, że jestem jednym z nich. Jednym z chłopaków.

Przekonuję dziś siebie, że gdyby każdy z nas siedział sam, do głowy by mu nie przyszły świństwa wypowiedziane na głos. Rzecz jednak w tym, że siedzieliśmy razem, w grupie, więc zachowaliśmy się tak, jak byliśmy urobieni. Urobieni przez siebie samych.

Kiedyś żona pewnego podoficera powiedziała mi, że po piętnastu latach życia przy wojsku zna tylko dwa rodzaje mężczyzn w pułku. Jeden rodzaj to głupie chłopaczki, a drugi to wstrętne typy. Dodała, że jedną z cech wspólnych głupich chłopaczków i wstrętnych typów jest to, że w głębi duszy jedni i drudzy są tchórzami.

Nie rozumiałem wtedy, o czym ona mówi, myślałem, że jej odbiło. No bo, dajcie spokój, jak ktoś, kto wykurza wroga z okopów może być tchórzem? Może jest wstrętnym, może nawet wyjątkowo głupim człowiekiem, ale tchórzem? W życiu.

Dziś chyba pojmuję, co miała na myśli. Dzięki Bogu ja byłem tylko głupim chłopaczkiem. Nie pozostałem w kamazach na tyle długo, by stać się wstrętnym typem.

Ale poznałem kilku takich.

Uzbrojeni plażowicze niespełna rozumu (Goose Green)

Sprawy szły ku lepszemu. Nastął drugi dzień w sklepie w Goose Green. Znow byłam sam, jadłem właśnie czwartą parówkę z puszki tego ranka i słuchałem kasety Simona i Garfunkla z pozyskanego magnetofonu. Ów magnetofon czekała podróż do Buenos Aires, lecz na szczęście pojawił się Frank Pye, który nie troszcząc się o własne bezpieczeństwo, uwolnił urządzenie z rąk nikczemnych argentyńskich okupantów i teraz miało się ono całkiem dobrze, przygrywając mile żołnierzom służącym demokracji.

Otworzyły się drzwi i wszedł Jed. Widziałem po jego minie, że jest bardzo zadowolony.

– Wyglądacie na ucieszonego, sierżancie – odezwałem się. – Czy ktoś umarł?

Roześmiał się z żartu, co tylko potwierdziło moje domysły. Wyjaśnił, że właśnie znalazł kasetę z największymi przebojami Connie Francis.

– Jakiej Connie? – zapytałem.

Wkrótce się przekonałem jakiej. Jed podszedł do magnetofonu, wcisnął „stop”, wyjął kasetę i włożył Connie. Jed był podoficerem z patentem, ja – zwykłym szeregowym. Żegnajcie, Paul i Arty. Tyle pożytku z demokracji.

Zaczęły się katusze.

Kiedy Jed puścił siódmy raz stronę A wielkich przebojów Connie, uznałem, że sprawy jednak nie idą ku lepszemu. Patrzyłem tępo w okno. Na zewnątrz szła grupa argentyńskich jeńców. Wydawało mi się, że jeden z nich jest mojej postury, może więc palnąć go w łeb, przebrać się w jego mundur i spędzić resztę wojny w śmierdzącej owczarni? To na pewno lepsze niż żywoł przy śpiewie Connie.

Pod jakimś pozorem wyszedłem ze sklepu i ruszy-

łem na poszukiwanie nowej tożsamości. Na dworze przy władzy pozostawali anarchiści. Od strony plaży napływały najrozmaitsze odgłosy – ogień z karabinów maszynowych, wybuchy pocisków i maniakałnego śmiechu. Kiedy przechodziłem przez drogę, omal nie rozjechał mnie sierżant sztabowy, który – najwyraźniej w błędnym mniemaniu, że jest Steve'em McQueenem – pomyślał na motocyklu po osadzie. Pomyślałem, że pewnie szuka wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego, żeby odegrać scenę z *Wielkiej ucieczki*.

Gdy tak kontynuowałem własną wielką ucieczkę – od Jeda, Connie i sklepu – wpadłem na kolegę, który dźwigał z mozołem chyba połowę uzbrojenia argentyńskiego garnizonu z Goose Green. Drugą połowę tasczył idący za nim żołnierz. Zapytałem, dokąd to z tyłoma karabinami.

– Na plażę, na plażę, na plażę – padła obłąkańcza odpowiedź.

Brytyjskich spadochroniarzy charakteryzuje niemal obsesyjna miłość do broni, zwłaszcza do takiej, z której nigdy jeszcze nie strzelali. Mam dla was kolejną radę i znów jest to dobra rada, więc ją też weźcie sobie do serca. Gdybyście kiedykolwiek znaleźli się w towarzystwie nudzącego się spadochroniarza, wciśnijcie go w jakiś kął, dajcie mu gnata, najlepiej takiego, którego widział tylko na zdjęciu, a będzie szczęśliwy jak dziecko w sklepie ze słodyczami. Lecz pod żadnym pozorem nie dawajcie amunicji.

No więc jesteście w Goose Green, wieje nuda, czas wolny, a tu wszędzie dokoła leżą karabiny, maszynowce, granaty, ręczne wyrzutnie raketowe, słowem, niemal pełen arsenał uzbrojonego po zęby południowoamerykańskiego kraju.

Po wydarzeniach pierwszego dnia, kiedy to mieszkańcy Goose Green zaczęli z wolna tęsknić do spokojnej argentyńskiej okupacji, ci na górze uświadomili

sobie, że mają na głowie problem, wydali więc rozkaz, że jeśli chłopcy koniecznie już muszą się bawić nowymi zabawkami, to niech z łaski swojej robią to na plaży. W ten sposób plaża stała się oficjalnie naszym placem zabaw, czyli inaczej mówiąc strzelnicą.

Sam nie stroniąc od naciskania spustu, uwolniłem kolegę od części bagażu i ruszyliśmy w poszukiwaniu plaży. Nietrudno było ją znaleźć – znajdowała się tam, skąd dochodził hałas.

Doszedłszy, stanąłem z rozdziawionymi ustami. Zwykle wojskowa strzelnica to miejsce, gdzie panuje najostrzejsza dyscyplina. Nie tutaj. Wyglądało, jak gdyby pacjenci wojskowego szpitala dla umysłowo chorych obchodzili swe doroczne święto. Na plaży stało co najmniej pięćdziesięciu obwieszonych bronią maszynową żołnierzy, którzy szatkowali płaszczące się przed nimi morze.

Znaleźliśmy sobie we trzech trochę miejsca, złożyliśmy bagaż na piasku i zaczęliśmy się bawić. Właśnie wkładałem trzeci z kolei magazynek do francuskiego pistoletu maszynowego, z którego strzelałem od dłuższej chwili, gdy zauważyłem nadejście dwóch żołnierzy. Nieśli między sobą dużą skrzynię wypełnioną granatami ręcznymi. Postawili ją, wzięli dwa granaty, wyrwali zawleczkę i wrzucili granaty do wody. Wybuchły zaraz, a oni ryknęli niepohamowanym śmiechem. Po kolejnych czterech eksplozjach trochę im się znudziło, więc wymyślili nową grę. Była to wersja krykieta – jeden wziął granat ze skrzyni, wyciągnął zawleczkę i jako atakujący rzucił go do kolegi. Ten, broniąc, złapał granat i cisnął w morze. Wybuch był znacznie głośniejszy niż poprzednio, więc żołnierze zaczęli skakać z uciechy jak świnięte szympansy na podwieczorku u ciotki. Następnie pokłócili się, którego teraz kolej. To było dla mnie za wiele, postanowiłem się pożegnać.

Kiedy odchodziłem, zjawił się arbiter w postaci oficera. Zrugał tych dwóch za brak wyobraźni, kazał zabrać pozostałe „piłki” i zmykać – bez wątpienia najsluszniejsza sędziowska decyzja, jaką kiedykolwiek widziałem. Nie trzeba było nawet puszczać powtórek w zwolnionym tempie, by wyrobić sobie pogląd.

Ktoś mnie zawołał. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem kolegę, którego nie widziałem od dnia poprzedzającego bitwę o Goose Green. Stał wraz z innymi w zamkniętym kręgu, gdzie toczyła się zacięta dyskusja. Podeszedłem, przywitałem się z kolegą, pogratulowaliśmy sobie, że żyjemy. Tematem sporu była możliwość sprowadzenia na plażę jednej z argentyńskich haubic. Nikt z tych żołnierzy dotąd nie walił ze sprzętu artyleryjskiego i teraz nadarzyła się okazja. Zapytano mnie, czy kiedykolwiek strzelałem z działa. Pomyślałem, że nawet gdybym strzelał, to i tak się nie przyznam. Pomyślałem, że najwyraźniej cały batalion postradał zmysły. Ja też, skoro jeszcze tu stoję.

Zostawiłem pomyślonych spiskowców i zszedłem z plaży, by wrócić na lono Falklandzkiej Filii Fanklubu Connie Francis. Po drodze śpiewałem nieświadomie „My Happiness”. Naraz zatrzymałem się, wyciągnąłem zza paska argentyński kolt kalibru 0.45, przystawiłem go sobie do lewej skroni i ostrzegłem sam siebie, że pociągnę za spust, jeżeli jeszcze raz przyłapię się na tym, że nucę dzieła Connie Francis.

Wszedłem do sklepu w samą porę, by usłyszeć ostatnie takty „Stupid Cupid”. Kolejne złe wieści – wrócili major Jenner i Frank. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Miałem bowiem nadzieję, że gdy wrócą, uda mi się pozyskać ich do mojej kampanii przeciw Connie. Niestety! Siedzieli z Jedem, wypiwszy już wspólnie połowę butelki whisky, wtórując Connie ile sił w płucach i skarżąc się głośno, że nikt już nie

robi takiej muzyki. Tu byłem skłonny się z nimi zgodzić.

Otworzyły się drzwi i wszedł kapelan, kapitan Cooper. Powiedział śmiertelnie poważnym tonem, że zdarzył się wypadek. Magnetofon wyłączono (dzięki, o Panie!) i kapelan zaczął opowiadać. Powtórzył, że na plaży wydarzyło się nieszczęście. Ponieważ dopiero co stamtąd wróciłem, nietrudno było mi w to uwierzyć. Powiedział, że wypadek przydarzył się komandosowi z piechoty morskiej.

- A co on robił tak daleko w przodzie? - zapytał Frank. - Zgubił się, kurwa, czy co?

- To nie są żarty, sierżancie.

Frank przeprosił i kapelan opowiadał dalej. Komandos strzelał z argentyńskiego pistoletu. Po kilku strzałach wcisnął broń za pasek i pochylił się, by podnieść inną. Kiedy się zgiął, pistolet wypalił samoczynnie i kula odstrzeliła mu żołądź penisa. Byłem przerażony. Zawsze naśmiewaliśmy się z piechoty morskiej, ale to były tylko żarty, nikt nie życzył im niczego złego. Na tym nie koniec. Dowódca piechoty morskiej, usłyszawszy o niefrasobliwości swego żołnierza, zwłaszcza w obecności spadochroniarzy, rozkazał, żeby natychmiast odesłano go do Anglii i zwolniono karnie ze służby. Uznałem, że to niesprawiedliwe, i powiedziałem tak głośno.

- Nie można było postąpić inaczej - odparł kapelan.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Bo trzeba być stuprocentowym kutasem, żeby służyć w piechocie morskiej!

Dałem się nabrać. Okazało się, że to stary kawał, ale ja nigdy wcześniej go nie słyszałem, a ponieważ padł z ust sługi Pana, lyknałem wszystko jak trzeba. Jak to nazwać? Chyba wiarą, nie?

Później, niedaleko Stanley, Jed w tajemniczych oko-

licznościach stracił kasetę z Connie Francis. Ktoś ukradł mu ją z plecaka.

(No i komu w ostatecznym rozrachunku zrzędnia mina?)

Jem, sram, więc jestem

(3)

Pewnego ranka, kiedy wciąż stacjonowaliśmy w sklepie w Goose Green, przybył śmigłowiec z podwieszonym u kadłuba ładunkiem świeżego chleba. Chleb upieczono na jednym z okrętów sfl ekspedycyjnych i przeznaczono dla mieszkańców Goose Green. Bochenki ułożono na wielkiej desce, deskę umieszczono na zapleczu naszego sklepu.

Dostawa pieczywa postawiła mnie w sytuacji bez wyjścia. Polecono mi bowiem jej strzec.

Wielkie dzięki, kurwa wasza mać.

Starszy sierżant sztabowy powiedział mi, że jeżeli ktoś z naszego batalionu choćby spojrzy na chleb, mam mu o tym natychmiast zameldować. To oczywiście był jeden z tych rozkazów, które świetnie wyglądają w teorii, ale nie w praktyce. No bo na przykład do sklepu wchodzi jakiś sierżant, widzi chleb i postanawia, że poczęstuje się bochenkiem lub dwoma, wtedy ja, jako warta, mam mu powiedzieć, że chleba nie wolno tknąć. Wówczas on informuje mnie, że będzie mi zaraz potrzebna pomoc lekarska, jeśli się, kurwa, nie zamknę. W takiej sytuacji wypełniam oczywiście rozkaz, to znaczy idę do sierżanta sztabowego zameldować o zakusach na chleb. Ten stosownie opieprza sierżanta. Wtedy sierżant bierze mnie na cel i odtąd moje życie staje się koszmarem, w dodatku rozpowiada na prawo

i lewo, że go zakapowałem. Jeżeli z kolei nie złożę meldunku o kradzieży, a sierżant sztabowy zorientuje się, że brak kilku bochenków, to wtedy dopiero mam przesrane, bo nie wypełniłem rozkazu. Mówiłem już – sytuacja bez wyjścia.

Nie muszę chyba dodawać, że nie obroniłem chleba. Na szczęście pozostało to nie zauważone.

Wprowadzenie świeżego pożywienia do naszej diety miało przykre skutki dla układu trawiennego. Dostaliśmy sraczkę. Wszyscy jednocześnie. To było nie do uniknięcia. Kiedy mnie dopadło, byłem w sklepie. Gdy tuż przed śmiercią wspomnę swe życie, będę wychwalał okoliczności, w których złapała mnie sraczka na Falklandach. W sklepie znajdował się bowiem prawdziwy kibel z porządną deską, na której można było posadzić dupsko. Do tego rolki papieru toaletowego do podtarcia i srebrzysty łańcuszek, za pomocą którego można posłać paskudztwo w diabły. Kiedy tak siedziałem na kiblu w sklepie w Goose Green, a z dupy strzelała w porcelanę zielonkawa śmierdząca papka, byłem w pełni świadom, jakim szczęściarzem jestem, że znajduję się właśnie tu, a nie gdzie indziej.

Wielu z nas dostało sraczkę podczas marszu, a jak to mówią: „Jak mus, to mus”. Szło się z innymi, kiedy nagle z tyłu nadbiegał w szaleńczym tempie żołnierz. Typowa taktyka w zabawie o nazwie „Gównogra”. Chodziło o to, że kiedy tylko poczuło się ruch w jelitach, biegło się w przód jak najdalej, nim zwieracze puściły i w gaciach zrobiło się bagno, ściągano się spodnie i trrrrach! Jeżeli miało się szczęście, kończyło się w porę, by wskoczyć z powrotem na swoje miejsce w idącej obok kolumnie żołnierzy. W ten sposób nie zostawało się w tyle. Jednak ten system miał jedną wadę – nigdy nie miało się uczucia, że się skończyło.

Potem jeszcze raz dopadła mnie sraczka na Falklan-

dach, lecz była niczym w porównaniu z przeżyciami ze sklepu, zresztą wtedy też na szczęście nie maszerowałem.

Dom, gdzie moja miłość...

(Goose Green)

Był środek nocy. Pełniłem samotnie służbę przy radiostacji w sklepie w Goose Green. Noc wokół mnie tchnęła ciszą, którą od czasu do czasu przerywały głosy niewidzialnych mężczyzn porozumiewających się na częstotliwościach wojny.

Na stole przede mną leżał czerwony długopis i bloczek papieru, na którym próbowałem napisać list do żony. Nie szło mi. Szukałem słów, by przedstawić wypadki ostatnich dni, ale nie mogłem ich znaleźć. Skradziono mi je wraz z częścią duszy na polu bitwy pod Goose Green.

Przypomniałem sobie chwilę, kiedy pierwszy raz ujrzałem Kathy, gdy pociąg, którym jechała, zatrzymał się powoli na peronie. Przypomniałem sobie, jak biegłem wzdłuż wagonów, by dopaść tego, w którym siedziała, i jak piękna mi się wówczas zdawała. Zacząłem odtwarzać w myśli pierwsze słowa, które do siebie powiedzieliśmy. Uśmiechnąłem się, kiedy przywołałem w pamięci pierwszą wspólną chwilę śmiechu. Kolejny raz poczułem w ustach smak alkoholu, który piliśmy tamtego wieczora, w nosie zaś zapach perfum, których używała, i wyobraziłem sobie ubranie, w które przyoblekła piękne ciało.

Siedząc przy radiostacji, przesłałem jej dłonią pocałunek przez Atlantyk. Poczułem dotyk jej ust w czasie pierwszego pocałunku. Oblała mnie fala gorąca na

wspomnienie pierwszego razu, kiedy się kochaliśmy, i choć dzieliło nas teraz osiem tysięcy mil, kochaliśmy się znów. Rozplakałem się. Łzy radości pociekły mi z oczu, a ja wspominałem, jak Kathy płakała w dzień naszego ślubu i potem nazajutrz, kiedy rozpoczęliśmy naszą wspólną podróż przez życie.

Naraz poczułem palący wstyd i łzy radości przemieniły się we łzy goryczy, bo przypomniałem sobie, jak wiele razy potem płakała z mojej winy. Z powodu moich zachowań. Moich słów. Roześmiałem się głośno na wspomnienie wszystkich chwil, kiedy ją rozbawiłem, i przywołałem w wyobraźni nasze delikatne zabawy kochanków.

Powróciłem do Goose Green i zacząłem szeptać jej imię, czując, że nocny wiatr poniesie moje słowa do Anglii i że we śnie Kathy usłyszy moje wołanie.

Chwyciłem za długopis i zacząłem pisać. Nie o cierpieniu z ostatnich dni, lecz o radości, której zaznamy po moim powrocie. Nie o śmierci, którą ostatnio widziałem, lecz o nowym życiu, które za naszą sprawą zawita na świecie po zakończeniu mojej służby.

Nie opowiadałem o niczym złym czy smutnym, tylko o szczęściu i radości. Moja miłość do Kathy spływała na papier. Pisałem list miłosny. Jedyne prawdziwy list miłosny, jaki kiedykolwiek napisałem.

Później, jeszcze tej samej nocy, kiedy leżałem z otwartymi oczyma w śpiworze, poczułem samotność. Nie chciałem spać sam tej nocy. Chciałem spać z Kathy. Chciałem się znaleźć wraz z nią w ciemnym bezpiecznym miejscu, chciałem, by przegnała smutek z moich myśli. Chciałem wracać do domu. Chciałem być z Kathy.

Palacze w czarnych plastikowych workach (Goose Green)

Pod Goose Green mój batalion zabił ponad dwustu pięćdziesięciu Argentyńczyków. Przede mną leżało ich na ziemi trzydziestu, może czterdziestu. Ciała ułożono w rzędzie, podobnie jak w muzeach wyklada się eksponaty i podobnie jak w muzeach dokoła chodzili ludzie, robiąc zdjęcia i rozmawiając o tym, co widzą. Ja też dołączyłem do zwiedzających.

Nadjechał traktor ciągnący kolejny ładunek ciał na przyczepie. Wyładowano nowe eksponaty i rząd martwych ciał znacznie się wydłużył. Kiedy tak stałem przed nieruchomymi ofiarami wojny, usiłowałem sobie uświadomić, że przede mną leżą martwi ludzie. Miałem uporczywe wrażenie, że w tej chwili powinna mi się objawić wielka tajemnica życia. Że powinienem pojąć coś, czego dotąd nie pojmowałem. Ale objawienie nie nadeszło. Niczego nie zrozumiałem, niczego też nie czułem.

Wśród poległych leżał pilot pucary, którego zestrzelono podczas bitwy. Był teraz kupą czerwonego mięsa. Nie miał głowy. Nie miał rąk. Nic nie miał prócz nogi. W bucie.

Jeden z moich kolegów ma zdjęcie pilota pucary zestrzelonego nad Goose Green. Jeżeli słowa, które teraz piszę, ukażą się kiedyś drukiem, to nie chciałbym, by obok zamieszczono to zdjęcie. Brakłoby mi słów, by je podpisać.

Widziałem, jak wielu naszych żołnierzy kładzie się obok trupów, a koledzy robią im zdjęcia. Jeden z nas uniósł poległego Argentyńczyka, podparł go ręką, wcisnął mu papierosa do ust, drugiego sobie, następnie podsunął trupowi zapaloną zapalniczkę, a kolega zrobił zdjęcie. Śmieli się. Ja też się śmiałem.

To była głupota – od palenia można umrzeć.

Dwaj żołnierze, którzy nie byli spadochroniarzami, wkładali ciała do worków. Z jednymi zwłokami szło im opornie. Łokieć sterczał w górę, bo ręka wciąż ścisnęła kurczowo ubranie wokół rany. Z powodu wystającego łokcia ciało nie mieściło się w worku. Podszedł oficer z mojego batalionu. Zauważył, że żołnierze nie mogą sobie poradzić. Kazał im się odsunąć. Ukląkł, dobył nóż i odciął kawałek munduru ścisany przez martwe palce. Następnie spróbował wyprostować sztywną rękę. Bez skutku. Wstał i zaczął kopać z góry w łokieć. Po kilku uderzeniach ręka wyprostowała się i żołnierze włożyli wreszcie trupa do worka. Tego dnia wszyscy mieliśmy coś do roboty, ich zadanie polegało akurat na wkładaniu trupów do worków.

Kilka dni później stałem w szeregu z innymi, czekając na śmigłowiec, który miał nas zabrać do Fitzroy. Na ziemi w błocie leżała ludzka stopa. Była naga, urwana tuż nad kostką. Kiedyś należała do argentyńskiego żołnierza, rozerwanego na strzępy, gdy wybuchła amunicja, którą wraz z kolegami odciągał od szopy służącej za więzienie. Jeden z jego kolegów omal nie spalił się żywcem. Nie spalił się tylko dlatego, że w porę go zastrzelono. Kiedy amunicja wybuchła, znalazł się w samym środku kuli ognistej. Nikt nie mógł się do niego zbliżyć.

Jego wrzaski słychać było w całej okolicy. Sanitariusz, który usiłował wyciągnąć go z płomieni, musiał w końcu strzelić cztery razy, żeby skrócić mu męki.

Nie mógł usiąść przy nim, wziąć go za rękę, nie miał czasu poprosić Boga o przebaczenie i nie mógł wypalić nieszczęśnikowi w skroń. Jednak wiem jedno: sanitariusz był bohaterem, najdzielniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Gdy tak patrzyłem na stopę, jeden z nas złamał szyk i zniknął za żywopłotem. Podczas jego nieobecności kolega podbiegł do stopy i podniósł ją. Inny otworzył

plecak tego, który odszedł, i wyjął jego śpiwór. Odsunięto suwak, rozłożono śpiwór i wrzucono stopę do środka. Następnie śpiwór pospiesznie zwinięto i schowano na powrót do plecaka. Wszyscy nieźle się ubawiliśmy. Wydawało się to bardzo śmieszne.

Dziś już mnie to nie bawi – nie wydaje mi się śmieszne.

Niektóre ze zdjęć trupów w Goose Green trafiły na ściany kasyna podoficerów w Aldershot. Pewnego dnia stałem przy barze z moją żoną. Kathy podeszła do ściany i zerknęła na zdjęcia. Zaraz wróciła do baru i powiedziała, że chce już iść. Zapytałem zdziwiony, co się stało, bo właśnie zamówiłem dwa drinki. Powiedziała, że to nienormalne, te zdjęcia, i że nie zamierza siedzieć w lokalu, gdzie na ścianach wieszają się takie rzeczy. Miała rację – to było nienormalne.

Wojna też jest nienormalna.

Wielu z was, którzy czytacie te słowa, z pewnością surowo osądzi żołnierzy, którzy bawili się trupami i robili zdjęcia. Nie róbcie tego. Kiedy młodzi ludzie lądują osiem tysięcy mil od domu, żeby walczyć na wojnie o krainę, o której nigdy w życiu nie słyszeli, to należy oczekiwać takich rzeczy. Za ich popisami krył się strach. Zachowywali się tak, jak ich urobiono – a urobiono ich, by byli twardzi, by walczyli tak, aby zwyciężać.

„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”, napisano w Biblii.

Amen.

Przerywamy wojnę, by podać najświeższą wiadomość od sponsorów:

„Cześć, tu wojak Ken. Powiem wam, że wojna to ciężka sprawa. Wiem, bo byłem pod Goose Green, widziałem, jak giną moi koledzy, sam też mogłem zginąć. Lecz zawsze dodawała mi otuchy jedna myśl – żem

brytyjski żołnierz i dobre dla mnie jest tylko to, co najlepsze. Byłem spokojny, bo wiedziałem, że w razie czego wyląduję w jednym z niezawodnych worków będących na wyposażeniu brytyjskiego wojska – w niczym innym mnie nie położą”.

Chwytlive?

W powietrzu i na czatach – umierając ze strachu

(Fitzroy)

Sześćdziesięciu dwóch z nas wsiadło do śmigłowca typu Chinook w Goose Green. Lecieliśmy do Fitzroy. Chinooki nie są przeznaczone do transportu tak wielu ludzi. Kłopot w tym, że wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Staliśmy w śmigłowcu, każdy w pełnym rynsztunku bojowym, każdy z czterema pociskami moździerzowymi kalibru 81 milimetrów.

Kiedy śmigłowiec się wzniósł, próbowałem zapamiętać o argentyńskich pilotach, którzy wykazali się bezgraniczną odwagą i samobójczymi skłonnościami nad zatoką San Carlos.

– Kurwa, zawsze to samo! – krzyknął stojący obok mnie sierżant. – Akurat kiedy bym chciał mieć spadochron, to mi go nie dali.

Znowu wszyscy ryknęliśmy śmiechem.

Minęła cała wieczność, ale wreszcie wylądowaliśmy w Fitzroy. Dwa patrole z plutonu zwiadowczego przyjechały wcześniej, by sprawdzić, czy nie ma „bandytów”, i zabezpieczyć teren do lądowania.

Przeczytałem w pewnej książce, że śmigłowiec, którym leciałem do Fitzroy, o mało nie został zestrzelony. Przez Brytyjczyków. Kiedy tak frunął nisko nad Falklandami, wypatrzył go jeden z naszych punktów

obserwacyjnych. Ludzie z punktu obserwacyjnego połączyli się z ludźmi w naczelnym dowództwie sił ekspedycyjnych, którzy mieli obowiązek wiedzieć wszystko o wszystkim, i zapytali:

- Czy jakiś nasz chinook leci teraz do Fitzroy?

- Nie - odparli ludzie, którzy wiedzieli wszystko o wszystkim. - Jedyne nasz chinook jest w Goose Green i wozi jeńców.

Zatem ludzie z punktu obserwacyjnego połączyli się z artylerią, podali im położenie śmigłowca i rozkazali ostrzelać naszą strefę lądowania w Fitzroy.

Tymczasem ja stoję w śmigłowcu i lękam się argentyńskich samolotów. Dureń.

Na szczęście inni ludzie zobaczyli lądowanie śmigłowca i dostrzegli brytyjskie oznakowania. Słyszeli, jak na falach radiowych wydano rozkaz ostrzału, więc połączyli się szybko z artylerią i ją powstrzymali.

Serdecznie im dziękuję.

Ten śmigłowiec, zanim do niego wsiedliśmy, latał nad Goose Green, skąd dowoził jeńców na okręt w zatoce. Ale pewien brygadier, który z dumą opowiedział o swojej decyzji na sfilmowanej konferencji prasowej, przejął chinooka. Lub, by użyć jego własnych słów, „drapnęliśmy go i wcisnęliśmy w niego tyłu żołnierzy, ilu się dało”. Następnie wydał rozkaz lotu do Fitzroy. Byłby to świetny plan, gdyby komuś przyszło jeszcze do głowy poinformować ludzi z naczelnego dowództwa, którzy powinni wiedzieć wszystko o wszystkim.

W Fitzroy wprowadziliśmy się do domu kultury. Rozgościliśmy się, następnie znalazłem sobie Raya do pary i wyszliśmy na przechadzkę po osadzie. Major Jenner, Jed, Frank i reszta dowództwa naszej kompanii zostali w Goose Green, bez wahania jednak zaofiarowali moje usługi na wypad do Fitzroy. Kiedy o tym myślę, aż trudno mi uwierzyć, że ciągle gadam z tymi ludźmi!

Podczas przechadzki natknęliśmy się z Rayem na kilku mieszkańców. Jeden z nich, mężczyzna tak na oko pod czterdziestkę, miał na głowie kowbojski kapelusz. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale ten kapelusz był fikuśny – bo zrobiony z tektury. Kiedyś miałem podobny. Kupiła mi go matka w stoisku z zabawkami w domu towarowym Woolworth's, kiedy przechodziłem w dzieciństwie etap fascynacji Dzikim Zachodem. Do kompletu z kapeluszem wyspiarz nosił w prawej klapie marynarki plastikową posrebrzaną gwiazdę. Na gwiazdzie pysznił się napis „szeryf”.

– Jestem szeryfem – pochwalił się mężczyzna.

– Cieszę się – odparłem.

Wyciągnął z kabury zabawkowy kolt. Wymierzył z niego do nas, ostrzegł, że jest naładowany kapiszonami, i zapytał, czy chcemy postrzelać. Odrzuciliśmy ofertę, a także prośbę, by pozwolić mu popробować naszej broni.

Inny wyspiarz, zupełnie nie pytany, obwieścił:

– Mam sześć owiec.

– Naprawdę? – zapytał Ray. – A dlaczego nam na przykład nie powiesz, żeś alfons?

Roześmieliśmy się obaj. Wyspiarz zapytał, co to alfons.

Kiedy odchodziliśmy, myślałem bezwiednie o wyspach Galapagos.

Po krótkiej przechadzce wróciliśmy do domu kultury. Jeden z wyspiarzy wydobył skądś projektor i filmy.

– Masz jakieś pornosy? – zapytano go chórem.

Ustawiono projektor i puszczone film. Okazało się, że to *Ekspres von Ryana* z Frankiem Sinatrą w roli głównej. Film wojenny – czego jeszcze nam trzeba? Był to niebywały zbieg okoliczności, ponieważ *Ekspres* to ostatni film, który widziałem w koszarach w Brown-ing, tuż przed końcem szkolenia.

Powiedziałem o tym innym, którzy siedzieli dookoła.

Ktoś rzekł, że nie chciałby być na moim miejscu. „To zły znak, Luke, jak bogackiego. Na twoim miejscu bałbym się, że to będzie ostatni film w moim życiu”.

Mógłbym się obejść bez takich komentarzy.

W nocy wysłano mnie i Raya na posterunek wartowniczy. Po krótkim szukaniu odnaleźliśmy miejsce, gdzie mieliśmy trzymać straż, i zluzowaliśmy dwóch innych żołnierzy. Przekazali nam radiostację oraz noktowizor i pożegnali się.

Noc była chłodna i myśl o spędzeniu dwóch godzin na dworze nie należała do najprzyjemniejszych. Z drugiej jednak strony byliśmy do tego przyzwyczajeni, wystawaliśmy swego czasu dłużej i w trudniejszych warunkach, zarówno na szkoleniu, jak i w Irlandii Północnej. Ponieważ zawsze byłem tym czujniejszym – lub tym, który lubi się zamartwiać, co właściwie na jedno wychodzi – bez przerwy wyobrażałem sobie argentyńskich żołnierzy z oddziałów do zadań specjalnych, jak podczołgują się do naszego posterunku. Już w Goose Green wiedzieliśmy, że ich noktowizory są znacznie lepsze od naszych, i teraz zdawaliśmy sobie sprawę, że dla każdego potencjalnego napastnika jesteśmy widoczni jak na dłoni. Rozdzieliliśmy się zatem i w odległości dwudziestu kroków od siebie wcisnęliśmy się w żywopłot.

Po mniej więcej godzinie chłód zaczął się nam dawać we znaki i każda mijająca minuta trwała tyle co dzień. Podczołgałem się do Raya i powiedziałem, że przydałby się łyk czegoś gorącego. Mieliśmy ekwipunek, a więc także wszystko co trzeba do zaparzenia herbaty. Kłopot w tym, że byłoby widać plomyki. Po krótkiej rozmowie i „burzy mózgów” znaleźliśmy rozwiązanie. Zabraliśmy radiostację i noktowizor i cofnęliśmy się do osady. Natrafiliśmy na garaż. Był zamknięty na kłódkę. Otworzyliśmy ją za pomocą bagnetu i weszliśmy do środka. Doskonale: ani jednego

okna, pusto. Ray wrócił na wartę, ja tymczasem ugotowałem wodę, zrobiłem dwa kubki herbaty i poszedłem zaraz do niego.

Kiedy tak siedzieliśmy na czatach, otoczeni mrokiem i zmarznięci, grzała mnie pita herbata. Podnosiła na duchu. Moje dobre samopoczucie brało się nie tylko z tego, że było mi cieplej, ale również ze świadomości, że odniosłem małe zwycięstwo – zrobiłem coś zakazanego i upiekło mi się.

Kiedy nasza warta dobiegła końca, nadeszło dwóch żołnierzy, by nas zmienić. Zaprowadziłem jednego z nich do garażu i pokazałem, o co chodzi. Garaż stał się teraz kuchnią szwejków postawionych na warcie.

Później, jeszcze tej samej nocy, wyznaczono nam drugą wartę. Poszliśmy z Rayem pilnować trzech jeńców, których trzymano w owczarni. Dwaj oficerowie i szeregowy służyli w lotnictwie.

Zanim znaleźli się w Fitzroy, tkwili jako obserwatorzy na wzgórzach okalających Goose Green. Kiedy zdobyliśmy tę osadę, zostali odcięci od swoich. Przez kilka dni ukrywali się, następnie wytrzasnęli jakimś sposobem cywilnego land rovera i ruszyli nim najkrótszą drogą do Stanley.

Ktoś gdzieś wypatrzył ich i ostrzeżono naszych żołnierzy, że najprawdopodobniej zjawią się w Fitzroy. Wysłano więc patrol, by urządził zasadzkę. Po kilku godzinach patrol wrócił wraz z trzema Argentyńczykami i land roverem.

Schwytanych przesłuchał nasz wywiad, następnie zapuszczowano ich w zagrodzie w owczarni. Kiedy przyszliśmy z Rayem ich pilnować, byliśmy wedle moich szacunków trzecią lub czwartą parą strażników tej nocy.

Szybko zorientowaliśmy się, że oficerowie mówią po angielsku, jeden nawet płynnie. Zagroda, w której siedzieli, miała wprawdzie furtkę, ale brakowało zamka.

Nietrudno więc byłoby się z niej wydostać i jej funkcja ograniczała się właściwie do wyznaczenia terytorium, w którym wolno było jeńcom przebywać. Zaczęliśmy rozmawiać z oficerami przez deski zagrody. Powiedzieli nam, kim są i jakie pełnili zadania. Przyszło mi do głowy, że mówię z ludźmi, od których zależała precyzja ciężkiego ostrzału pod Goose Green.

Szeregowiec leżał na kupie owczej wełny pod ścianą. Po kilku minutach rozmowy zaproponowaliśmy Argentyńczykom kawę.

Zaparzyliśmy kubek i podaliśmy go jednemu z oficerów, a on podziękował, podszedł do szeregowca i dał mu się napić. Nie uszło to naszej uwagi i bardzo się nam spodobało. Oficer troszczył się o swoich szwejków.

Przez następne dwie godziny staliśmy we czterech i rozmawialiśmy przedzieleni deskami prowizorycznej celi. Dwaj z bronią, dwaj bez.

Jeden z oficerów powiedział, że podziwia naszych pilotów. Ukryty gdzieś wśród wzgórz, obserwował, jak ląduje nasz śmigłowiec. Powiedział, że nie mógł wyjść ze zdumienia: warunki pogodowe i widoczność były tak kiepskie, że w ogóle nie powinno się latać. Dodał, że argentyńscy piloci nadają się raczej do popisów w wesołym miasteczku. Rozśmieszyły mnie te słowa.

Zapytali, czy wiemy, co z nimi będzie. Odparliśmy, że plotka głosi, że wszystkich argentyńskich jeńców pojmanyh w Goose Green transportuje się na okręty, a te mają ich zawieźć na Wyspę Wniebowstąpienia. Powiedzieliśmy, że pewnie to samo stanie się z nimi.

Zapytali, czy byliśmy kiedykolwiek na Wyspie Wniebowstąpienia i czy wiemy, jaki tam panuje klimat. Odparliśmy, że byliśmy i że było gorąco. Zaśmialiśmy się wszyscy i zaraz ktoś dodał, że w gruncie rzeczy oni dwaj mają lepiej niż my.

Podczas rozmowy bez przerwy dochodziły z oddali odgłosy ostrzału artyleryjskiego. Ciche trzaski i wybu-

chy. To nasze okręty ostrzeliwały Stanley. Sądzę, że przede wszystkim po to, by nikt w stolicy nie zmrużył oka tej nocy.

W pewnym momencie Ray i ja zaczęliśmy polować na komplementy u oficerów. Oglądali ze wzgórza bitwę pod Goose Green, chcieliśmy więc od nich usłyszeć, jak mężnie walczył brytyjski pułk powietrzno-desantowy. Przyznali, że jesteśmy świetnymi żołnierzami, ale zaraz dodali, że mimo to nigdy nie zdobędziemy Stanley. Powiedzieli, że miasto jest zbyt dobrze broniłone przez zbyt wielu żołnierzy, którzy mieli tygodnie, by przygotować się na nasz atak. Uważaliśmy, że bajdurzą, i powiedzieliśmy to otwarcie. W chwili, gdy Ray mówił im, że my, pułk spadochroniarzy, jesteśmy najodważniejszymi i najtwardszymi żołnierzami, jakich widział świat, na dworze zasyczał pocisk artyleryjski i nocną ciszę zakłócił donośny wybuch. Ray i ja instynktownie przypadliśmy do ziemi i podczołgałiśmy się do hełmów.

Byliśmy przekonani, że nieprzyjaciel kontratakuję.

I znów – jak przedtem – nic się nie wydarzyło. Leżąc plackiem na klepisku, z hełmami na głowach, z bronią w rękach, obejrzeliśmy się na Argentyńczyków. Oficerowie stali tam gdzie przed chwilą, szeregowiec spał, jak spał. Ponieważ byli oficerami, poprosiliśmy, by nam wytłumaczyli, co się dzieje.

– To oczywiście – odparł jeden z nich. – Wasze okręty ostrzeliwiają Porto Argentina i jakiś pocisk musiał być wadliwy, zmienił trajektorię i eksplodował blisko nas.

Powiedział, że powinniśmy się uspokoić. Rozluźnić. Nie ma się co przejmować.

Obróciłem się do Raya i zapytałem, czy sam chce ich zastrzelić, czy ja mam to zrobić.

Wszyscy czterej gruchnęliśmy śmiechem.

Kiedy nasza warta dobiegła końca i przyszło dwóch

zmienników, uścisnęliśmy oficerom dłonie na pożegnanie i życzyliśmy sobie nawzajem wszystkiego najlepszego.

Od tamtej nocy w Fitzroy często rozmyślałem o dwóch argentyńskich oficerach, których pilnowałem przez dwie godziny. Żałuję, że nie pamiętam ich nazwisk ani niczego innego na ich temat, ale od tamtej pory marzę, że kiedyś znów ich spotkam. Że nie będą już oficerami argentyńskiego lotnictwa i że ja nie będę już nosił broń. I że nasza rozmowa nie potoczy się przez deski.

Pewien mądry człowiek napisał kiedyś: „Jeżeli nie masz marzeń, to jak twoje marzenia mają się ziścić?”

Marzę więc dalej.

Naiwni, uradowani bohaterowie

(Fitzroy)

Same kłopoty. Inicjatywa sił ekspedycyjnych na Falklandach stanęła pod znakiem zapytania. Szweje Drugiego Spadochronowego mają nielichą zagwozdkę. Żeby było uczciwie – a staram się – podam obie wersje wypadków.

* Nasza wersja, w języku spadochroniarzy:

Jesteśmy pod Goose Green, cały dzień napierdalają z dział, tkwimy po uszy w gównie. Nie uwierzylibyście. Jedna z kompanii nadziała się w terenie na chuj wie co i utknęła, siedzą bezradni jak goły kutas w zasyfiałej piździe, to znaczy są duże straty i nie mogą zrobić ani kroku do przodu. Jonesowi odpierdala, dyrda na pierwszą linię, robi wszystko na odwrtkę, daje sobie odstrzelić łeb i Keeble, jego zastępcę, przejmuje dowodzenie. Nadchodzi noc, odrzucamy skurwysynów do tego Kurewskiego Porto Goose Green czy jak nazywają

to zadupie. Widzimy ich, zamknęli się w osadzie. Rankiem bracišek Pedro postanawia, że jednak woli z nami żyć po przyjacielsku, wszystko układa się cacy i jeśli idzie o szwejków, to Keeble jest teraz wodzem.

Kilka dni później dowiadujemy się, że ci z Whitehall albo jakieś inne ptasimôżdżki – nieważne – postanowili, że trzeba nam nowego pułkownika i Keeble wraca na drugie miejsce w szeregu.

Ich wersja; chuj was to obchodzi, rozkaz to rozkaz. (Mówilem, że przedstawię sprawę uczciwie).

Dotarliśmy do Fitzroy. Gruchnęła wieść, że przyjechał nowy pułkownik. Przyleciał nocą z bazy na Wyspie Wniebowstąpienia i wyskoczył na spadochronie w morze. Padł rozkaz, byśmy się zebrali w domu kultury, bo nowy dowódca chce przemówić do swych męźnych podkomendnych. Kiedy posiadaliśmy na drewnianej podłodze, zaczęło się szeptanie:

– Co to, kurwa, za lałuś?

– Chuj go wie, nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie kapuję, po co nam przysyłają jakąś pizdę, Keeble przecież dobrze sobie radzi, dlaczego mamy służyć pod jakimś fagasem?

– Święte słowa, kurwa ich mać.

Wszedł starszy sierżant sztabowy i kazał usiąść prosto. Usiedliśmy prosto. Wmaszerował nowy pułkownik. Pod pachą niósł plik gazet.

– Kurwa, przysłali nam gazeciarza.

Znienawidziłem go, zanim go ujrzeli.

Zaczął mówić. Powiedział, że dopiero co przysłali go z Anglii i że tam wszyscy słyszeli już o Drugim Spadochronowym. Nasze bohaterstwo pod Goose Green rozpałiło w narodzie płomień najwyższego podziwu, cała Brytania pije nasze zdrowie. Z kieszeni wyciągnął plik telegramów, które przysłano do naszego batalionu. Większość zaadresowana była do „Wspaniałych, męźnych żołnierzy Drugiego Batalionu Spadochroniarzy”.

Wszyscy przysyłali wyrazy czci z powodu naszych czynów i kondolencje z racji poniesionych strat. Pułkownik przeczytał list od królowej, powinszowania od księcia Karola i „Brawo, moi chłopcy” od Margaret Thatcher. Chłopcom spodobało się szczególnie to ostatnie – byliśmy sławni.

– Ale jaja, jestem bohaterem.

– Jeśli to nie będzie nic warte, gdy wrócę do domu, to już, kurwa, nie wiem, co jest coś warte.

Pułkownik pokazywał nam po kolei gazety, które wyszły nazajutrz po bitwie pod Goose Green. Czytał głośno nagłówki. Pisano o nas jak o bohaterach. Byliśmy bohaterami. Wszystkich w ojczyźnie roznosiła duma, wszyscy chcieli nam postawić kielicha. Kiedy przyszedł czas na gwóźdź programu, to znaczy na „The Sun” – pośrodku pierwszej strony zdjęcie na dwie szpalty, na trzeciej jak zwykle dziewczyna z gołymi cycami, tyle że w berecie naszego batalionu, wszystko pod tytułem „Dzielni spadochroniarze spuszczaają manto brudasom z Buenos Aires” – nastąpiła gwałtowna odmiana uczuć względem nowego dowódcy.

* – Facet nie jest taka ostatnia pizda, co?

– Nie, najwyraźniej wie, o czym mówi.

Gdy pułkownik zaczął nam czytać na głos „The Sun”, nie mogliśmy zapanować nad sobą: uśmiechaliśmy się radośnie i pyszałkowato, tu i ówdzie parsknięto śmiechem, za przykładem oficerów. Gdy dotarł na trzecią stronę, gdzie roznegliżowana panienska wyznawała, że zawsze chciała mieć chłopaka służącego w spadochroniarzach, każde zdanie kończyliśmy owacją.

– Ej, Potwór, tera z nas takie bohaterzy, że jak wyślesz jakiejś rurze swoją fotkę z wywieszonym kutasem, to nawet taki małpolud jak ty może załapać się na ciupcianie.

Wszyscy słyszeli, wszyscy rechotali.

Pułkownik skończył wreszcie czytać, powtórzył, jaki to dla niego wielki zaszczyt, że będzie dowodził takimi żołnierzami jak my, i wyszedł.

– Fajny ten nowy pułkownik.

– No pewnie.

– Słyszeliście, że skoczył... Ostro jebnięty zawodnik (najwyższy komplement w języku spadochroniarzy).

– Stawiam sześć do czterech, że nie dożyje wzięcia Stanley.

– Jeśli taki napalony jak ostatni, nie dożyje kurewskiego śniadania.

Nowy dowódca wszedł do domu kultury znienawidzony, a wyszedł uwielbiany. Nazywał się Chaundler. Jest teraz brygadierem.

To on przejął stery, kiedy Jonesie dał się ukatrupić.

Chorzy, nie zrównoważeni ludzie (Fitzroy)

Zrolowałem śpiwór, władowałem go do plecaka i wyszedłem na dwór.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom – wojna nas dopadła.

Opanowało mnie uczucie, którego nie mogę określić inaczej niż słowem „kinematografia”. Miałem po prostu wrażenie, że wchodzę do filmu. W Fitzroy zrobiło się tłoczno. Zza szopy wyleciał nagle śmigłowiec z podwieszonym ładunkiem, a na okolicznych wzniesieniach roilo się od zielonych mrówek w hełmach; wszystkie kopały w ziemi. Na jednej z dróg prowadzących przez osadę stały dwa lekkie czołgi typu Scorpion. Nawet nie wiedziałem, że mamy takie cacka na Falklandach. Wiedziałem, że Argentyńczycy mają. Mówiono nam o nich, pokazywano na zdjęciach i na filmie pod-

czas rejsu „Norlandem”. Widok czołgów dodawał otuchy. Osada pękała w szwach od żołnierzy i wciąż ich przybywało od strony nabrzeża znajdującego się po mojej prawej stronie. U wylotu zatoki stały dwa okręty. Zastanawiałem się, czyje są. Potem się dowiedziałem. Cały świat się dowiedział.

Kilka godzin później, jeszcze tego samego ranka, siedziałem na przyczepie ciągniętej przez traktor. Zaostrzenie ze stojących w zatoce okrętów wylądowywano na pobliskiej plaży. Skarpy wokół plaży były zbyt strome, by pojazdy mogły je pokonać, potrzeba zatem było ludzkich rąk, by skopać garb i zrobić łagodny podjazd. Traktor ruszył drogą, która biegła z Fitzroy nad wodą. W pewnej chwili natrafiłszy na stromy nasyp. Myślałem, że traktor się zatrzyma, wysiadziemy i wtedy bez obciążenia spróbuje wtarabanić się na stromiznę. Pomyliłem się. Jechał dalej i z najwyższą łatwością pokonał przeszkodę. Wszyscy zsunęliśmy się na tył przyczepy. Byłem szczerze zdumiony. Byłem pod wrażeniem. Nie uświadamiałem sobie, jaką parę mają traktory.

Po skończeniu kopania wróciłem do osady i przeszedłem się po molo, które wchodziło w zatokę. Na krawędzi, z nogami zwieszonymi nad wodą, siedział mój kolega. Nie widziałem go od dnia, kiedy się okopaliśmy na górze Sussex. Zawolałem go po imieniu i dorzuciłem żartobliwie:

– Żyjesz, kurwa twoja mać!

Wyczułem to, zanim ujrzałem jego twarz – był przybity, bardzo przybity.

Podszedłem i zapytałem, co go gryzie.

Podniósł oczy znad wody i spojrzał na mnie.

– Zastrzeliłem człowieka, Luke.

Usiadłem obok niego i najbardziej kaznodziejskim tonem, na jaki było mnie stać, zacząłem mu prawić banialuki z gatunku „ty albo on”,

- Nie rozumiesz - rzekł. - Nie zastrzeliłem Argentyńczyka. Zastrzeliłem naszego sapersa. Mój pistolet sam wypalił.

Zrobiło mi się żal kolegi. Wiedziałem, że wszyscy - nawet jeśli się do tego nie przyznajemy - żyjemy w strachu przed samoczynnym wystrzałem, zwłaszcza gdy ma się pistolet maszynowy, a taką właśnie broń nosił mój kolega. Odbezpieczony, wypalał, gdy tylko upuścić go na ziemię.

Niestety, wszyscy żyliśmy w strachu, ale nie wszyscy potrafiliśmy się do tego przyznać.

Nadszedł sierżant. Zauważył mojego kolegę, przystanął, pochylił się i zajrzał mu w twarz. Zaczął się samoczynny wystrzał werbalny. Każdy mógłby się spodziewać drwin w takim wypadku, ale sierżant nie drwił. W najbardziej lajdacki, bezlitosny sposób gnoił biedaka. Kiedy na twarzy mego kolegi wstyd ustąpił miejsca wściekłości, chwyciłem go za ramię i szepnąłem:

- Nie zwracaj uwagi na skurwiela.

* Wreszcie sierżant zakończył słowną sraczkę i ruszył z powrotem na ład. Ogarnął mnie solidarny gniew. Patrząc na plecy sierżanta, zapalałem do niego nienawiścią, głuchą nienawiścią. Nigdy wcześniej nie doznałem takiego uczucia, a potem tylko raz. Chętnie bym go wtedy zastrzelił. Chętnie bym go zabił.

Dziś, kiedy piszę te słowa, ręce mnie już nie świerzbią. Uważam, że sierżant był trochę niezrównoważony, to wszystko. Był po prostu chorym, niezrównoważonym człowiekiem.

Ja też byłem chorym, niezrównoważonym człowiekiem. Wszyscy byliśmy. Tragedia polegała na tym, że takim ludziom dano broń do ręki.

Blisko rok po spotkaniu na molo pracowałem jako pisarz batalionu w kadrach w Aldershot. Nie nadażalem z robotą, poszedłem więc do biura w sobotę po po-

łudniu, żeby trochę nadgonić. W jednym z pokojów stało metalowe pudełko. W metalowym pudełku znajdowały się rejestry kadrowe podoficerów – w tym spisane szczegółowo wszystkie przewinienia dyscyplinarne. Pudełko zawierało informacje dotyczące sierżantów i wyżej. Skarbnica wiedzy.

Lubię dobrą lekturę.

Nie zastanawiając się nawet, puściłem palce w ruch i wyciągnąłem spis grzechów sierżanta Łajdackiego z mola w Fitzroy. Zacząłem czytać. Jedno z przewinień zostało „odsłużone”, co oznaczało, że sierżant odpokutował, występki puszczono w niepamięć, a zapisek zamazano czerwonym tuszem. Podniosłem kartkę do światła i przeczytałem, co mu wykreślono z życiorysu. I wtedy, cytując słowa wyjątkowo niezrównoważonych dziennikarzy, krzyknąłem:

– Trafiony zatopiony!

W latach siedemdziesiątych w wartowni na terenie Irlandii Północnej sierżantowi Łajdackiemu przydarzył się nieumyślny wystrzał z pistoletu browning kalibru 9 milimetrów. Zadałem sobie pytanie: „Skoro zdarzają się przecieki z Downing Street, to dlaczego nie z biur Drugiego Spadochronowego?” Powinienem być zostać sędzią. Za moją przyczyną miało się stać za-
dość sprawiedliwości.

W poniedziałek o dziesiątej w tych samych koszarach przysunąłem sobie krzesło i usiadłem z trzema innymi. Nachyliłem się i wyszeptąłem:

– Ej, słuchajcie, ani pary z gęby, ale wiecie, że sierżant Łajdacki...

Kilka dni później w tych samych koszarach do stolika, przy którym siedziałem, podszedł żołnierz. Przysu-

* Aluzja do nagłówka w brukowym dzienniku „The Sun”, który zatytułował tak artykuł o zatopieniu „Generała Belgrano” (przyp. tłum.).

nał sobie krzesło, usiadł i ku mojemu zachwytowi opowiedział mi wszystko o przypadkowym wystrzale sierżanta Łajdackiego w Irlandii Północnej. Byłem z siebie bardzo zadowolony, lecz nagle przysła mi do głowy mitygująca myśl, że może teraz ja jestem starszym szeregowym Łajdackim.

Kto w takim razie jest chorym, niezrównoważonym człowiekiem? Większość chłopaków w woju, oto kto.

Pornograficzne walijskie batoniki

(zatoka Bluff/Fitzroy)

Byłem w dużej owczarni w Fitzroy. Cały batalion był w dużej owczarni w Fitzroy. Zastanawiałem się, kto przy zdrowych zmysłach kazał wleźć tylu ludziom do jednego pomieszczenia, kiedy na dworze szaleje w najlepsze wojna?

Wyglądało na to, że wszyscy, z którymi rozmawiałem tego dnia, jednakowo szeregowcy i oficerowie, podzielają moje wątpliwości, niemniej pozostawaliśmy w owczarni.

Uszy przeszył jazgot nadlatujących samolotów. Zaterkotały karabiny maszynowe, nastąpiły dwa donośne wybuchy i natychmiast poczułem strach. Pobiegnę do najbliższych drzwi, wypadłem na dwór i zaraz zahamowałem nad samą wodą.

Przede mną, w zatoce, stały dwa okręty. Z ich pokładów unosił się w niebo dym i płomień. Wszyscy popędziliśmy brzegiem do miejsca, z którego było do nich najbliżej.

Na naszych oczach rozgrywała się dantejska scena. Śmigłowce wlatywały w kłęby dymu, usiłując ściągać ludzi z płonących pokładów. Wielu skakało do wody, wielu płynęło już do brzegu. Wodę pstrzyły lodzie ra-

tunkowe wszelkiego typu, a pilot jednego ze śmigłowców próbował wykorzystać pęd powietrza z rotora, by odepchnąć tratwę od stojącego w ogniu okrętu. Na plaży leżeli pokotem ludzie – poparzeni i w szoku. Między nimi biegali sanitariusze, uwijając się jak w ukropie. Wbiegłem do wody i dołączyłem do szeregu żołnierzy, którzy ciągnęli za linę łódź ratunkową. W łodzi tkwili ludzie, których twarze i krzyki słyszę i widzę do dziś.

Pomagałem im wysiąść i prowadziłem na plażę, by położyli się obok innych. Po pewnym czasie przywrócono jaki taki porządek i ruszyliśmy z powrotem do ovezarni. Po drodze napotkałem kaprała z Kompanii C. Zamieniliśmy kilka słów, a on wyjął z ekwipunku czasopismo. Był to duński magazyn pornograficzny.

Zapytał, czy chcę pożyczyć. Powiedziałem, że tak. Obiecałem, że nie pokleję kartek, podziękowałem i rozeszliśmy się. Po kilku krokach poczułem ruchy w jeli-tach, zatrzymałem się więc, spuściłem spodnie, ukucnąłem i w oczekiwaniu na spełnienie zacząłem przeglądać świerszczyk. Co jakiś czas podnosiłem wzrok znad zdjęć nagich ciał i chłonałem koszmar, który wciąż rozgrywał się w zatoce.

Przewróciłem kolejną stronę i oto ujrzałem w pełnej okazałości i kolorystyce najbardziej obrzydliwe zdjęcie, jakie kiedykolwiek widziałem. Naprężyłem kartki i zacząłem przekręcać pismo na boki, by się zorientować, kto jest gdzie i jaka część ciała należy do kogo. To odrażające, pomyślałem. Znów podniosłem głowę i zobaczyłem dwóch okropnie poparzonych Walijczyków we łzach, prowadzonych do punktu pierwszej pomocy. Uznałem, że to też odrażający widok.

Pamiętam, że gdy tak biegalem oczami od jednej makabreski do drugiej, przyszła mi do głowy myśl, że bogobojni i nobliwi obywatele w ojczyźnie organizowa-

liby pikiety i protesty, gdyby czasopismo, które trzymam w ręku, znalazło się w sprzedaży w salonach z prasą. Równocześnie jednak ci sami ludzie gotowi byli wysłać własnych synów na wojnę osiem tysięcy mil od tych salonów z prasą – do miejsca, o którym nikt nie słyszał.

Mój osąd bogobojnych i nobliwych obywateli w ojczyźnie był oczywiście rażąco niesprawiedliwy, mam wszakże nadzieję, że zrozumiecie, o co mi wtedy chodziło. Pochyliłem głowę i zacząłem czytać literackie arcydzieło pod tytułem „Jaś na Małgosi”. Coś skrzydlatego przefrunęło mi koło ucha. Schowałem głowę w ramiona i w opuszczonych spodniach zacząłem kicać w poszukiwaniu kryjówki. Po chwili wystawiłem ostrożnie głowę z za wybrzuszenia terenu, by zorientować się, skąd to coś nadleciało. Okręty w zatoce płonęły jak słoma, amunicja w ładowniach dołączyła do widowiska. Postanowiłem wracać do owczarni.

Podciągnąłem spodnie i przeistoczyłem się w krótkodystansowca na olimpiadzie. Gdy dobiegłem do owczarni, zobaczyłem, że jest tam pełno Walińczyków i kilku Chińczyków, wszyscy wstrząśnięci, patrzący nieprzytomnym wzrokiem. Wyglądali, jakby postradali dusze. Siedzieli w ciszy.

Cisza w owczarni tamtego dnia była najgłośniejszą ciszą, jaką kiedykolwiek słyszałem. Zaparzyłem kubek herbaty i wypilem go wspólnie z uratowanymi żołnierzami, którzy siedzieli obok mnie. Ich grobowy nastrój zaczynał mi się udzielać, więc pomyślałem, że trzeba zjeść coś słodkiego, by podnieść się na duchu. Kiedy życie wydaje się gównem, zszamajcie czekoladę – to pomaga. Odnalazłem swój plecak i sięgnąłem do jednej z kieszeni, by wyjąć batoniki Mars. Zniknęły. Nie była to dobra wiadomość, rozzłościłem się, i to bardzo. Natychmiast rozejrzałem się dokoła w poszukiwaniu złodzieja.

W kącie owczarni siedział na ziemi zakutany w koc walijski żołnierz. Spod koca wystawała ręka ściskająca batonik. Mars. Mój batonik, nie miałem wątpliwości. No, pomyślałem, ten zaraz będzie żałował, że nie został na „Galahadzie”. Zamierzałem zaznajomić go z takim rodzajem przemocy, jaki widuje się w kreskówkach.

Ruszyłem. Lecz w tej samej chwili Walijczyk rozplakał się głośno. Baton wypadł mu z ręki, a głowa osunęła się na kolana. Stałem w pół kroku, czując tę żalność, która zdjęła biedaka. Uznałem, że jakoś przeżyję bez batona.

Wróciłem na swoje miejsce i włożyłem kasetę do magnetofonu, który Frank zabrał z Goose Green. Włączyłem odtwarzanie i zrobiłem głośniej. Nie minęła dłuższa chwila, kiedy mój major skoczył na mnie z mordą.

Kazał mi natychmiast wyłączyć muzykę. Zrobiłem to oczywiście i wtedy odszedł. Obróciłem się do najbliższego żołnierza i wskazawszy głową majora, mruknąłem:

- Odbiło mu, kurwa, czy co?

Żołnierz poradził mi, bym wsłuchał się w słowa piosenki, którą puściłem. Wziąłem magnetofon, przystawiłem ucho do jednego z głośników, przyciszyłem i włączyłem odtwarzanie. Chciałem usłyszeć niecenzuralną piosenkę i zrozumieć, co wkurzyło majora. Na kasecie były największe przeboje Queen.

Oto słowa piosenki, którą zagrałem tamtego dnia. Głośno, w owczarni w Fitzroy. W owczarni pełnej ludzi, którzy dopiero co widzieli, jak giną ich koledzy. I którzy mieli wężej szczęścia i uniknęli ich losu.

„Bam, bam, bam, jeszcze jeden gryzie piach”.

To mnie odbiło, nie majorowi.

Wyjątkowo szczerze bezguście (Fitzroy)

Niedługo po trafieniu „Galahada” siedziałem na ziemi w owczarni. Czyszcząc broń drugi raz tego dnia, wyobrażałem sobie, jakim to wymyślnym torturom poddam po powrocie do Anglii sierżanta z punktu rekrutacyjnego w Bristolu. Zacząłem sobie podśpiewywać. Zaśpiewałem piosenkę, a gdy ją skończyłem, zacząłem od nowa, tyle że tym razem zmieniałem słowa na gorąco. Dziesięć minut później ukończyłem moje własne muzyczne arcydzieło, ruszyłem więc w poszukiwaniu publiczności. Znalazłem ją w postaci dowództwa kompanii wsparcia i plutonu saperów.

Zrobił się z tego wielki przebój. Odszedłem żegnany spontanicznymi brawami i śmiechem.

Piosenka, o którą chodzi, to „Yesterday” Beatlesów.

Proszę, posłuchajcie, zaśpiewam wam teraz moją własną falklandzką wersję:

Yesterday życia nie przesłaniał żaden cień,
Walijczyków dziś wycięli w pień.
Och, żeby było yesterday.

Nagle Tom to już wcale nie jest ten sam on,
lewą nogę diabli wzięli won.
Bombami skrzy się niebioskłon.

Po co ja tu tkwię, chyba jeden chuj to wie.
Czy ty czujesz swąd?
Tak, to napalm, wiefmy stąd.

Yesterday życie było jak różowy sen,
teraz muszę wypierdalać hen!
Och, tęskno mi do yesterday.

Fajne czy nie?

Kilka lat po przerobieniu piosenki McCartneya i Lennona zaśpiewałem ją swej dziewczynie. Powiedzia-

ła, że to wyjątkowe bezguście. Odparłem, że prawdopodobnie ma rację, ale to wyjątkowe bezguście jest wyjątkowo szczere.

Naprawdę tęskniłem do yesterday.

A wy byście nie tęsknili?

Cierpiący na klaustrofobię, rozmodleni wypatrywacze samolotów (Fitzroy)

Wciąż tkwiłem w dużej owczarni w Fitzroy, tyle że batalionu już nie było. Nalot na okręty uświadomił dowództwu, że to nie najlepszy pomysł trzymać tylu ludzi w jednym pomieszczeniu, kiedy na dworze szaleje wojna. Szybko wydano rozkaz, że mamy się przenieść na wzgórze i okopać. Wszyscy z wyjątkiem mnie, Yanka i paru innych. Musieliśmy pozostać w owczarni i strzec sprzętu naszego batalionu przed dopiero co przybyłymi hordami walijskich bandytów.

Kiedy tak siedzieliśmy z Yankiem na ziemi i piliśmy we dwóch herbatę z jednego kubka, on poczynił uwagę, że wojna bardzo różni się od ćwiczeń. Gdybyśmy byli w Anglii, z radością pożegnaliśmy kolegów, kiedy wyruszali na wzgórze, wydani na pastwę deszczu i wiatru, a sami zostalibyśmy chętnie w stosunkowo wygodnej owczarni. Teraz jednak przeklinaliśmy nasze wszawie szczęście, że odłączono nas od reszty.

Usłyszałem pierwszy. Chwyciłem Yanka za ramię i powiedziałem:

– Samoloty.

– To pewnie jebany RAF, jak zwykle przybywają trzy godziny za późno – odparł.

Uszy kolejny raz rozsadzał terkot karabinów maszynowych. Coś ogromnego, groźnego i hałaśliwego prze-

leciało nad dachem owczarni. Znów ogarnął mnie paniczny strach. Skoczyłem do najbliższego wyjścia. W drzwiach włączyłem z piskiem hamulce. Drogę ucieczki na dworze przecinało sto pocisków smugowych. Odwróciłem się instynktownie i rzuciłem do drugich drzwi. Kule dziobały deski w ścianach owczarni. Padłem na ziemię i podczołgałem się do żołnierza, który leżał pod dużym drewnianym wózkiem.

Nie pamiętam, który z nas zaczął głośno odmawiać Modlitwę Pańską, ale pamiętam, że od drugiego wersu mówiliśmy już razem. Nad naszymi głowami gwizdał nie kończący się strumień kul. Przycisnąłem dłonie do uszu, chcąc zagłuszyć hałas, który czyniły pociski dziurawiące deski i odbijające się rykoszetem po owczarni. Ogień był tak gęsty, że błysnęła mi myśl, iż atakuje nas pucara z wielolufowym karabinem maszynowym, który miota kulę co piętnaście centymetrów na drodze samolotu.

Nie wiem, jak długo leżeliśmy na ziemi w owczarni. Jediną miarą czasu w tych okolicznościach były dwadzieścia trzy lata, które do tej pory przeżyłem, i trwały one zdecydowanie krócej niż ostrzał.

Wreszcie zrobiło się cicho. Wyczołgaliśmy się spod wózka i wyrzeliśmy ostrożnie na dwór. Zatrzymaliśmy pierwszego przechodzącego żołnierza i zapytaliśmy, co się wydarzyło. Wyjaśnił, że argentyńskie samoloty znów próbowały nasrać na nasze okręty, ale w przeciwieństwie do pierwszej wizyty, tym razem komitet powitalny był nieco lepiej zorganizowany. Kiedy maszyny wyleciały zza widnokregu, żołnierze okopani na wzgórzach rozpoczęli ogień.

Kurs samolotów prowadził nad owczarnią i kiedy tam przelatywały, uzbrojeni zgodnie z prawem psychopaci na wzgórzach dalej ścigali je ogniem. Owym ogromnym, groźnym i obrzydliwym czymś, co przeleciało nad dachem, był pocisk typu Blowpipe, wy-

strzelony przez naszych. Kule, które szatkowały deski owczarni i gwizdały nam około uszu, gdy modliliśmy się na ziemi, pochodziły z karabinów brytyjskich żołnierzy. Był to zatem swojski ostrzał.

Ale ja wiem jedno: od swojskiego ostrzału też się umiera.

Dziś, kiedy piszę te słowa, wiem, że wydarzenia tamtego dnia pozostawiły w mojej psychice bardzo głęboki uraz. Jeżeli jestem w pomieszczeniu i słyszę jazgot nadlatującego samolotu, ogarnia mnie, choć tylko na krótką chwilę, paniczny strach. Wtedy przypominam sobie, co czułem tego dnia. Kolejny raz przebiegają mi po głowie myśli, które miałem, gdy leżałem pod wózkami. I zawsze łapię się na tym, że wybiegam na dwór.

Znam jeszcze inną piosenkę. Idzie mniej więcej tak: „Zmykam samolotem i nie wiem, kiedy wrócę”.

No i gites.

Kosym okiem na czwartą władzę (Fitzroy)

Szweje byli wkurwieni.

– Jebane żydowskie piździelce. Za kogo oni się uważają?

– Taa, i to pierdolone BBC. Banda głupich cip. Gnoje wytrąbili o wszystkim pod Goose Green, a teraz jeszcze taki numer.

Byliśmy w Fitzroy. Zapadł zmrok. Na noc zeszliliśmy ze wzgórz do owczarni. Uważaliśmy, że argentyńskie lotnictwo jest jak Indianie – nocą nie atakuje. Stałem wraz z innymi na dworze. Czekaliśmy. Był z nami Robert Fox, reporter BBC. Miał małe radio tranzystorowe nastawione na swoją macierzystą stację. Czekaliśmy na wiadomości ze świata o pełnej godzinie. W nadziei, że usłyszymy najnowsze doniesienia. O nas.

Radio wydało sześć krótkich tonów. Były to jedyne dźwięki w czarnej ciszy w Fitzroy. Po szóstym sygnale głos oznajmił, że słuchamy wiadomości ze świata w programie BBC. No, już czas.

„Izraelskie siły zbrojne dokonały inwazji na Liban” – powiedział głos.

– Co?!

Dostaliśmy kurwicy. Poczuliśmy się zdradzeni. Jak ci z BBC mogli uznać za ważniejsze to, co Izraelczycy robią w Libanie, od tego, co my robimy na Falklandach?

BBC igrało z ogniem. Podczas szykowania ataku na Goose Green wypaprali w radiu, że spadochroniarze wyrwali się z plaży i ruszyli na osadę. A teraz to.

Kiedy BBC doniosło całemu światu, że mamy zamiar nacierać na Goose Green, byliśmy okopani w sile batalionu wokół pewnego domu w Camilla Creek. Przybyliśmy tam po zmroku. Kilku z nas znalazło sobie schronienie w szopie z prądnicą. Było tam ciasno i niewygodnie, ale przynajmniej sucho i bez wiatru. Stała tam prądnicą, jak powiedziałem, i dlatego na podłodze było mnóstwo oleju. Upaprałem sobie wtedy olejem берет, co strasznie mnie wkurzyło, ale już następnego dnia miałem to w dupie.

Kiedy tylko w radiu powiedzieli o przygotowywanym natarciu na Goose Green, rozkazano nam wyleźć z szopy i wynieść się z Camilla Creek. Wyszliśmy na wiatr. Na deszcz. Nie spodobało się nam to. Jako że Robert Fox był „naszym człowiekiem z BBC”, zapytaliśmy go, dlaczego BBC nas zdradziło. Odparł, że wiadomości podane na antenie były dla niego równie wielkim zaskoczeniem co dla nas, i zapewnił, że nie miał z tym nic wspólnego.

Pułkownik Jones powiedział, że ich zaskarży.

W Fitzroy, kiedy BBC zrelegowało nas do drugiej ligi, za Izraelczykami, znów zwróciliśmy się do Roberta

Foxa o wyjaśnienie. Wytłumaczył nam, że wiadomości ze świata to nic innego jak właśnie wiadomości ze świata, a dla większości ludzi na kuli ziemskiej życie nie zaczyna się ani nie kończy na tym, co robimy my, brytyjscy żołnierze.

Powoli dostrzegaliśmy słuszność tego rozumowania.

Kilka dni po zakończeniu wojny znajdowałem się na okręcie u nabrzeża w Stanley. Stałem w długiej kolejce żołnierzy, którzy chcieli skorzystać z satelitarnego połączenia telefonicznego i zadzwonić do domu. Pewien dziennikarz, nie znany nikomu z nas, minął całą kolejkę i stanął pierwszy. Obrócił się do nas i wyjaśnił, że musi przekazać swej redakcji pilne wiadomości, dlatego się pycha i ma nadzieję, że to zrozumiemy.

Odparliśmy, że jeżeli się wepcha, to wybijemy mu zęby i mamy nadzieję, że to zrozumie. I żeby spierdalał na koniec kolejki. Dziennikarz najwyraźniej nie wiedział, kiedy spasować, bo wsiadł na nas z góry. (Bohaterscy przedstawiciele brytyjskich mediów przydzieleni do sił ekspedycyjnych otrzymali honorowo stopień oficerski. Rozkazano nam traktować ich jak oficerów, a nawet oddawać honory). Dziennikarz przypomniał nam o tym. Znów kazaliśmy mu spierdalać.

Nadszedł oficer z naszego batalionu i stanął na końcu kolejki. Dziennikarz zauważył go i poskarżył się, że żołnierze kazali mu spierdalać.

– No to trzeba było spierdalać – odparł oficer.

Wszyscy zarechotaliśmy.

Ogólnie rzecz biorąc, nasze stosunki z dziennikarzami układały się jednak pomyślnie. Głównie dlatego, że dzielili oni nasz los. Groziło im takie samo niebezpieczeństwo, ponosili te same trudy. Tyle że – uwaga! – zarabiali na tym znacznie więcej niż my.

O ile pamiętam, jedyny raz, kiedy naprawdę źle myśleliśmy o brytyjskich dziennikarzach, był wtedy, gdy zobaczyliśmy nagłówek w „The Sun” brzmiący: „Tra-

fiony zatopiony", a pod spodem przeczytaliśmy o zatopieniu „Generała Belgrano” i śmierci ponad trzystu ludzi. Wprawdzie jeden z nas powiedział to samo, kiedy usłyszeliśmy, że okręt poszedł na dno, ale to co innego, ponieważ my byliśmy na miejscu, nadstawialiśmy karku na pierwszej linii i w naszym przekonaniu to dawało nam prawo do myślenia i mówienia, co nam się żywnie podoba. Tymczasem ktoś, kto znajdował się osiem tysięcy mil od wojny, nie miał prawa tak pisać, bo sam nic nie ryzykował.

Podobne komentarze były dla nas obrazą. Traktowały lekko wojnę, na której walczyliśmy. A wierzyć mi, na wojnie nie ma lekko.

Kretyńskie pytania

(Fitzroy)

Byłem mokry, zmarznięty i przygnębiony. Wyjrzałem z okopu i zobaczyłem padające płatki śniegu. Niemal jak na komendę z sąsiednich okopów odezwały się głosy przeklinające pogodę. Tylko tego brakowało. Osunąłem się z powrotem na dno i z całą premedytacją postanowiłem nad sobą poużalać. Kiedy życie wydaje się gównem, trzeba się na chwilę rozkleić – to pomaga.

Gdy tak siedziałem w dole, pijąc kolejny kubek herbaty, o uszy uderzył loskot nadlatującego śmigłowca. Odgłosy silnika zdradzały, że maszyna nie leci kursem, lecz kołuje nad naszymi pozycjami. Trzymając w ręku kubek, wystawiłem głowę, by zobaczyć, kto przybywa. Śmigłowiec wylądował i wysiadło z niego trzech wojskowych: generał, jego adiutant i radiotelegrafista. Z sąsiedniego okopu dobiegł mnie głos sierżanta:

– Niech mnie chuj strzeli, jak to nie jeden z naszych

wspaniałych wodzów. Ciekawe, czego chce ten niedorozwinięty fagas.

– Pewnie szuka oficerów w tym burdelu – padła odpowiedź.

– Czy burdel to jest to, co się działo na „Galahadzie”, czy to, gdzie się musztruje pannę Lou Lou?

Wszyscy zarechotaliśmy. Dziś też się z tego śmieję, choć czasem próbuję się powstrzymać.

Trójka chodziła od okopu do okopu, przystając co chwila, by zamienić słowo z żołnierzami. Wsunąłem się z powrotem w głąb ziemi i zacząłem modlić, żeby nie przyszli do mnie. Niestety. Spojrzałem w niebo i zobaczyłem generała i adiutanta. Ruszyłem się, żeby wstać i zasalutować, ale generał machnął ręką i zapytał o moje nazwisko. Podąłem mu nazwisko, stopień i jednostkę.

Wówczas zapytał, czy podobają mi się Falklandy i czy mi tu dobrze. Zadawano mi czasem głupie pytania, ale to było wszelkie rekordy kretynizmu. Nasz sierżant był jasnowidzem – okazało się, że generał rzeczywiście jest niedorozwiniętym fagasem. Sklepiłem w myśli odpowiedź:

„Cóż, panie generale, jestem osiem tysięcy mil od domu, w miejscu, które jak widać, nie jest pępkiem świata, a raczej jego zadupłem. Czterej moi koledzy nie żyją, siedzę po szyję w owczym gównie, błocie i wodzie, zabijanie wciąż trwa, a na dodatek właśnie zaczął padać śnieg. No to, kurwa, jak ci się wydaje, zakuty łbie, jak ja mogę się czuć?”

Usta nie zdążyły, bo górę wziął rozsądek.

Pamięć przywołała jeden z dawnych dni. Znajdowałem się w kuchni wojskowej w Irlandii Północnej. Wróciłem właśnie z trzydniowego patrolowania granicy i chciałem odpocząć i napisać kilka słów do domu. Wszedł sierżant, rozejrzał się i skupił swą uwagę na mnie. Zapytał, co robię. Nic szczególnego, odparłem, a

ponieważ dopiero co wróciłem z patrolu, to chętnie nadal nic nie będę robił. Kazał mi zameldować się u łącznościowca w centrum operacyjnym, gdzie otrzymam dalsze rozkazy. Nazwałem w duchu sierżanta zaszrańcem, odłożyłem papeterię i ruszyłem do centrum.

Dotarwszy tam, zameldowałem się, jak mi kazano, u kaprała, który dowodził. Powiedział mi, że w każdej chwili spodziewają się generała na inspekcji. W centrum operacyjnym brakowało personelu, będę więc obsługiwał kamery podczas wizyty. Na słupach telegraficznych na High Street w Forkhill zawieszono dwie kamery telewizyjne, którymi sterowano zdalnie z centrum. General wmaszerował wraz ze świtą i zaczął rozmawiać z kapralem.

Następnie podszedł do mnie i stanął. Nie odrywałem oczu od monitorów, zmieniając co chwila ogniskową w nadziei, że sprawiam wrażenie całkowicie pochłoniętego wykonywanym zadaniem. General odezwał się:

- Rany, to wygląda na skomplikowaną robotę, coś jak dowodzenie łodzią podwodną z napędem nuklearnym.

- Bo ja wiem, panie generale - odparłem. - Nigdy nie dowodziłem taką łodzią.

Spojrzał na mnie, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie jest taki głupi, by myśleć, że dowodziłem, następnie kazał mi robić dalej swoje i wyszedł, a za nim świta. Kiedy starszy sierżant sztabowy mijal moje stanowisko, dźgnął mnie laską w kość ogonową i szepnął, że potem się ze mną policzy. Służyłem w batalionie dopiero miesiąc, byłem więc przerażony. Nazajutrz sierżant mnie dopadł. Wyjaśnił, na czym polegał mój błąd, i posłał mnie do kuchni, żebym mył gary i skrobał warzywa. Powiedział, że to zajęcie da mi dużo czasu na kontemplację jego złotych myśli.

Wróciłem na Falklandy. Znów poczułem bolesne dżgnięcie laski w tyłek. Przypomniałem sobie długie

godziny spędzone na skrobaniu warzyw. Podniosłem wzrok na generała i odparłem, że świetnie się czuję, że naprawdę mi tu dobrze i że to zaszczyt, że mogę służyć ojczyźnie.

- Brawo - odparł generał. Pochwalił wykonanie okopu i poszedł.

Kiedy wsiadł do śmigłowca i odleciał, sierżant z numeru obok pokusił się o końcowy komentarz:

- Gdzie, kurwa, są te argentyńskie samoloty? Nigdy ich nie ma, gdy są potrzebne.

W okopach dokoła parsknięto śmiechem. Nadal byłem mokry, zmarznięty, ale dzięki wizycie generała opuściło mnie przygnębienie. Jego przyjazd, który miał na celu poprawić morale wojska, o dziwo odniósł skutek.

Często się potem zastanawiałem, czy generał aby nie zażartował sobie ze mnie. Może kiedy wsiadł do śmigłowca, obrócił się do adiutanta i rzekł:

- Widziałeś mnie tego spadochroniarza, kiedy go zapytałem, czy mu tu dobrze? Chi, chi, chi!

Żyjemy, więc - mam nadzieję - wciąż się uczymy...

Ścigany listem (Fitzroy)

Znowu się okopaliśmy. Przyszedł kapral z kwatermistrzostwa i zaczął nam rozdawać pocztę. Dostałem list od Kathy, schowałem się więc do dołu i zacząłem czytać. W połowie czytania usłyszałem gromki śmiech dochodzący z sąsiedniego okopu. Ktoś rechotał coraz głośniej i głośniej, wyrząłem więc, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Yank, który siedział w dole obok mojego, wypetł na wierzch i krzyknął donośnie:

- Ale jaja, chodźcie posłuchać!

Śmiech usłyszało wielu, szybko więc zebrała się po-każna publiczność. Yank wlaźł na własnoręcznie wzniesiony wał z torfu i wyjaśnił na wstępie, że właśnie spotkał go zaszczyt w postaci korespondencji od towarzystwa kredytowego, konkretnie od Accessu. Następnie zaczął czytać na głos:

„Szanowny starszy kapralu Thayer. Wedle naszych obliczeń na pańskim rachunku narósł debet w wysokości 243 funtów”.

- Oj ty niegrzeczny! - krzyknął ktoś z tłumu i zaraz posypały się docinki, przygany i opinie, że z myślą o takich jak Yank powinni przywrócić wieszanie. Yank wyciągnął rękę, żeby mu przyklepać dłoń.

Czytał dalej:

„Jeżeli debet nie zostanie zlikwidowany w ciągu siedmiu dni od daty wysłania upomnienia, wówczas zmuszeni będziemy przedsięwziąć kroki prawne”.

Ciszę wypełniły okrzyki zgrozy. Yank podniósł głowę i rzekł:

- No, chłopaki, wygląda na to, że idę do sądu.

Zapytałem, czy mogę iść razem z nim. Ktoś inny rzucił, że też chętnie by się zabrał, nie mają tam czasem ekspresu do kawy? Yank podarł list i cisnął strzępy w błoto. I rzekł zafrasowany:

- Wiecie, chłopaki, przybiło mnie to jak skurwysyn.

Omał nie umarłem ze śmiechu. Opadłem na kolana i rechotałem do wieczora. Ja i wiem, że także wszyscy inni, którzy słyszeli tego dnia, jak Yank czyta list, z wielką chęcią polecilibyśmy do Anglii i stanęli wobec groźby procesu sądowego wytoczonego przez oburzonego Access.

Od tamtego dnia wielokrotnie dostawałem podobne listy od bezmózgowi, które je piszą. Czytam, drę i szukam błota, by rzucić strzępy. No i mówię:

- Przybiło mnie to jak skurwysyn.

Nikt się nie śmieje.

Zimne nóżki (Wireless Ridge)

Zmierzchało już, kiedy obeszliliśmy górę Longdon i okopaliśmy się u jej stóp. Śpiwory były w plecakach, a plecaki nie dojechały. Czekala nas kolejna zimna noc.

Poprzedniej nocy nasz siostrzany batalion, Trzeci Spadochronowy, zaatakował i zdobył górę Longdon. Zabrało im to wiele godzin i kosztowało życie wielu ludzi. Kiedy tak siedzieliśmy u podnóża góry, wciąż ich kosztowało i wciąż płacili.

Straciwszy górę, Argentyńczycy zaczęli ostrzeliwać wierzchołek wszystkim, co mieli do dyspozycji. Co kilka minut widać było, jak na szczycie wybucha salwa pocisków artyleryjskich. Między salwami trwał ostrzał z wielolufowej wyrzutni raketowej. Rozlegał się huk, kłęby białego dymu wzbijały się w niebo i parły na bok, pchane wiatrem.

Po każdej salwie do głosu dochodził karabin maszynowy ulokowany na szczycie. Uparty terkot obwieszczał: „Cześć, tu Trzeci Spadochronowy, wciąż się trzymamy”.

Dzielny strzelec stał się naszym bohaterem. No, dalej, myśleliśmy, pokaż im, bracie. Pokaż im, że nawet jeżeli zasypią was Bóg wie czym, i tak tam będziecie, zawsze, nigdy was nie wykurzą, co najwyżej staniecie się jeszcze bardziej zawzięci.

Do tej pory zawsze okopywałem się z Jedem, a Frank z Yankiem. Z jakiegoś powodu, wedle Franka z winy Yanka, wedle Yanka z winy Franka, Frank i Yank poprzytkali się. Frank „wylał” Yanka z roboty, to znaczy Yank przestał być magazynierem kompanii. Próbowaliśmy uświadomić Frankowi, że nie może ot tak wyrzucać ludzi na zbity pysk. To wojsko. W wojsku nie zwalnia się nikogo z pracy. Frank odparł, że to jego kurewski magazyn i będzie z niego wyrzucał, kogo

mu się podoba. Yank powiedział, że ma w dupie, nie przejmuję się, bo chce wracać do swego macierzystego plutonu moździerzy.

Resztę dnia spędziliśmy na słuchaniu narzekań Franka na Yanka i Yanka na Franka. Mówię wam, zachowywali się, jak gdyby byli małżeństwem.

Wreszcie nadszedł zmrok i Jed, dyplomata jak zawsze, powiedział mi, że mam spać z Frankiem, a on będzie spał z Yankiem. Postanowiliśmy z Frankiem, że pomimo zimna spróbujemy kimnąć. Leżeliśmy na dnies okopu zakutani we wszystko, co mieliśmy pod ręką, wtuleni w siebie. Była bardzo zimna noc. I bardzo piękna. Leżałem na plecach i patrzyłem w niebo – wszędzie ciemność i tysiące gwiazd. Ziemię, skały, sprzęt i ubrania pokrył szron. Odbijał światło gwiazd, wszystko zdawało się białe i jasne.

Kiedy tak leżeliśmy, starając się zasnąć, Frank powiedział, że nie czuje stóp. Przeraził się nie na żarty. Jego strach nie miał nic wspólnego z myślami o śmierci, wojnie czy Argentyńczykach; on bał się, że zakończy służbę jako „lodziarz”. Odmrożenia stóp i stopa okopowa wyeliminowały więcej brytyjskich żołnierzy niż cokolwiek innego – w tym śmierć i rany poniesione w walce. Od lądowania na Falklandach Frank spędzał każdą wolną chwilę na bieganiu wśród chłopaków i straszeniu ich natychmiastową egzekucją, gdyby któremu przydarzyło się odmrożenie albo stopa okopowa. Twierdził, że biorą się one z niedbalstwa żołnierzy. To była nieprawda i Frank o tym wiedział. Niemniej dzięki jego wygadywaniu chłopaki troszczyły się przykładowo o swoje nogi. W efekcie nasza kompania nie straciła nikogo przez odmrożenie, co – biorąc pod uwagę fakt, że większość z nas nosiła znacznie cięższy sprzęt niż kompanie strzeleckie, na przykład moździerze i rusznice przeciwpancerne – było sporym osiągnięciem.

Teraz jednak, gdy od zwycięstwa dzieliła nas jedna mila i jeden dzień, nogi Franka przegrywały walkę z niską temperaturą. Na szkoleniu nauczono nas, że najcieplejszym miejscem człowieka jest krocze, a potem pachy. Zmarznięte stopy należy umieścić w tych okolicach. Za chińskiego boga nie pozwoliłbym, żeby ktokolwiek – sierżant czy nie sierżant – miedlił mi stopami jaja, zdecydowaliśmy się więc na pachy. Usiadłem Frankowi między nogami, rozsunąłem suwak i wtedy wcisnął mi stopy pod ubranie.

Naprawdę były zimne. Po chwili krązenie wróciło, znów miał czucie i przestał się bać.

Odtąd kiedykolwiek spotykam Franka i on wciela się we mnie pod Goose Green, gdy blowpipe wybuchł tuż obok, to znaczy wrzeszczy piskliwym głosem: „Dostałem, dostałem!”, odpowiadam:

– Moje nogi, moje biedne nogi. Pomóż mi, Luke.

Obaj się śmiejemy.

Czemu nie? Ja wciąż żyję, on nie musi nosić protez,

Potrzebuję was (Wireless Ridge)

Była noc. Okopaliśmy się blisko stanowisk moździerzy. Moździerze milczały. Czekaly. Tymczasem w ciemności slychać bylo nieustajacą kanonadę. Trochę mieli w niej udziału oni, w większości my.

Byłem w okopie z Frankiem. Zasuważąc śpiwór pod szyję, poczułem głęboką wdzięczność, że go mam. Świat nie był w końcu taki zły. Dostałem swój pierdziworek, mogłem się wreszcie trochę przespać. Poprzez dwie noce były najchłodniejsze ze wszystkich do tej pory; nie mieliśmy plecaków, bo nie dojechały. Nie

ma plecaków – nie ma śpiworów, nie ma śpiworów – nie ma spania.

Naciągnąłem śpiwór na głowę i skuliłem się, aż zniknąłem cały, a wydychane przeze mnie ciepłe powietrze pozostawało w środku. Prawą dłoń wetknąłem pod lewą pachę, kolana przycisnąłem do piersi, a lewą rękę wsunąłem między uda. W tej pozycji zasypiałem na Falklandach. W tej pozycji zasypiam i dziś.

Ostrzał Argentyńczyków wzmagał się, choć większość pocisków padała daleko od nas. Naraz jedna salwa trafiła blisko. Bardzo blisko. Kulilem się za każdym wybuchem. Frank, który leżał za mną, zaczął na mnie wrzeszczeć, żebym się nie trząsł. Powiedział, że moje nerwy działają mu na nerwy. Zapytałem, czy na pewno chodzi o mnie. Może to raczej efekt wybuchających pocisków?

Milczące dotąd moździerze rozpoczęły ogień. Nigdy nie słyszałem podobnego hałasu. Rozsadzało mózg. Uszy i głowa pękały. Nigdy przedtem nie znajdowałem się tak blisko moździerzy, ale wciąż dzieliło mnie od nich z pięćdziesiąt kroków, zastanawiałem się więc, jak czują się ci z obsługi, bo przecież stoją tuż-tuż. Przyszła mi do głowy myśl, że na starość dopada ich pewnie głuchota.

Wreszcie ostrzał się skończył. W uszach mi dzwoniło, mimo to zapadłem w sen.

Nagle się obudziłem. Frank wciąż spał. Wypełzłem ze śpiwora i z okopu. Nastal piękny poranek. Zrobiło się bardzo jasno, wszystko czyste i wyraźne. Było ciepło. Przeciągnąłem się i ziewnąłem szeroko. Następnie wszedłem na wzniesienie, pod którym się okopaliśmy. Na szczycie znajdował się rozległy płaskowyż, który rozpościerał się we wszystkich kierunkach aż po linię horyzontu. Skręciłem w prawo i ruszyłem tam, skąd przybyliśmy poprzedniego dnia. Z oddali nadbiegały coraz wyraźniejsze odgłosy bitwy. Odległe wybuchy,

odległe trzaski i grzmoty. Najpierw tylko kilka, potem więcej. Z każdą chwilą głośniejsze.

Minęło mnie kilku biegnących żołnierzy. Brytyjczycy, ubrani w mundury z drugiej wojny światowej, metalowe hełmy, uzbrojeni w stare karabiny o gwintowanych lufach, z nałożonymi bagnetami. Kiedy przebiegali obok, kierując się ku odgłosom bitwy, uśmiechnąłem się do nich, a oni do mnie.

Szedłem dalej i napotkałem kolejnego żołnierza. Nie miał nogi od kolana w dół. Kikut krwawił. Żołnierz siedział na ziemi, odchylony do tyłu, wsparty na wyprostowanych rękach. Próbował podnieść okaleczoną nogę, by się jej przyjrzeć. Widziałem go już wcześniej, w Fitzroy, był na „Galahadzie”, tam właśnie stracił nogę. Minąłem go w milczeniu, tylko się uśmiechnąłem. On też się uśmiechnął, wzruszył ramionami, wskazał kikut i powiedział:

– Ale kaszanka, co?

Pomachałem mu na pożegnanie i ruszyłem dalej. Doszedłem do stanowisk artyleryjskich. Działa waliły. Wszyscy żołnierze uwijali się: ładowali i odpalali. I śpiewali. Przypominało to scenę z filmu *Piękno wojny*. Pomachałem im. Oni też mi pomachali na pożegnanie.

Szedłem i szedłem. Minąłem kościół, w którym odprawiano nabożeństwo. Pastor stał na ambonie. Przewodził odśpiewaniu pieśni „Naprzód, żołnierze Chrystusa”. Zauważył, że idę. Machnął ręką, bym się przyłączył. Pokręciłem z uśmiechem głową i ruszyłem dalej.

Działa milkły. Po chwili ciszę mącił już tylko szum wiatru. Najpierw lekki, potem coraz głośniejszy. Kiedy tak przybierał na sile, światło dnia zaczęło przygasać. Opadła mgła. Spowila mnie, spowila wszystko dookoła. Dotarłem do asfaltowej drogi. Zatrzymałem się. Droga biegła prosto jak strzelił i nikła za horyzontem na lewo i na prawo.

Przeszedłem na drugą stronę i wtedy wiatr ucichł, mgła się podniosła, słońce znów wyszło, ptaki zaczęły śpiewać. Przedemną znajdował się stary wiejski dom z kamienia. Okrążyłem go i wszedłem tylnymi drzwiami do kuchni. W kuchni był zlew. Przy zlewie stała moja matka. Obróciła się i zauważyła mnie. Powiedziała, że się spóźniłem. Gdzie byłem? Podeszła i zapytała, co to za brud na mojej twarzy. Wyjaśniłem, że to nie brud, tylko pasta maskująca. Kazała mi się umyć i nigdy więcej nie przychodzić w takim stanie. Przepraszam, powiedziałem, ale wracam z wojny. Dlatego tak wyglądam.

W rogu stał duży stół, a po obu jego długich bokach – drewniane ławy. Podeszedłem i usiadłem. Byłem zmęczony. Przyłożyłem dłonie do twarzy i przetarłem znużone oczy.

Podniosłem głowę. Nie byłem już sam przy stole. Naprzeciwko siedziały moje dwie siostry, Faith i Micky. Obok nich Margaret, z którą kiedyś mieszkałem, gdy miałem siedemnaście lat. Po mojej prawej ręce siedziała Jean, pierwsza kobieta, z którą się kochałem, po lewej – Shelly, pierwsza, z którą żyłem.

Przed moim nosem postawiono miskę z gulaszem. Spojrzałem, kto ją przyniósł – Kathy. Uśmiechnęła się, nachyliła i pocałowała mnie w policzek.

Jedząc gulasz, popatrywałem na siedzące dokoła kobiety. Ich obecność mnie uspokajała. Było tak, jak gdyby głaskały moje spłoszone myśli, dawały wytchnienie ciału, kołysały duszę, wcale mnie nie dotykając.

Wstałem od stołu i pocałowałem wszystkie po kolei. Podeszedłem do matki, która wciąż stała przy zlewie. Powiedziałem, że muszę wracać na wojnę. Pocałowałem ją w policzek. Odwróciłem się i ruszyłem do drzwi. Kiedy stanąłem w progu, poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem ciotkę Letty.

Uśmiechnawszy się do mnie, owinęła mi szyję szalikiem i wcisnęła frędzle pod mundur. Uważaj na siebie, powiedziała, nie ryzykuj, bądź czujny. Na koniec mnie pocałowała.

Wyszedłem na dwór i ruszyłem w powrotną drogę. Przeszedłem przez asfaltową jezdnię. Słońce znów zaśzło, ptaki przestały śpiewać. Dał się słyszeć szum wiatru, opadła mgła.

Usłyszałem świst nadlatującego pocisku. Spojrzałem do góry i zobaczyłem pocisk artyleryjski. Spadał w zwolnionym tempie. Gruchnął na ziemię przede mną. Patrzyłem, jak grawitacja wciska go powoli w ziemię.

Wybuchł. Obudziłem się.

Pamiętam ten sen tak wyraźnie jak wszystkie rzeczywiste wydarzenia, w których brałem udział na Falklandach. Pozostawił wiele pytań. Pewnego dnia będę musiał sobie na nie odpowiedzieć.

Nadlatują łyżki

(Wireless Ridge)

Padał śnieg. Ranek był mroźny. Wyszedłem przed okop i zacząłem podskakiwać, żeby się rozgrzać. W dolinie poniżej żołnierze z mojego batalionu skrzyknęli się do zabawy w czarnego luda. Zaczęło się po dżentelmeńsku, ale szybko przemieniło w „powietrzno-desantową” wolną amerykankę. Oficer rozkazał im przestać, nim – jak to powiedział – przetrzebią się gorzej, niż mogliby ich przetrzebić Argentyńczycy w swych najśmielszych oczekiwaniach. Chłopaki przestały, poprawiały mundury i wróciły do okopów.

W pewnej chwili stokiem ku dolinie zbiegli dwaj żołnierze. Było oczywiste, że się ścigają tam i z powrotem. Kiedy wracali, w dolinę spadły pociski artyleryjskie.

Gdy pierwszy trafił w trawę, padli na ziemię. Po chwili wyglądało na to, że ostrzał minął, zerwali się więc i kontynuowali wyścig. Nadleciało więcej pocisków. Znowu rzucili się na ziemię. Z jakiegoś powodu widok dwóch żołnierzy usiłujących wrócić cało z doliny był najśmieszniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek oglądałem. Nie tylko ja – wszyscy w okopach śmiali się do rozpuku.

W końcu, witaną rześzystymi brawami, dwaj żołnierze dopadli okopów, a ja z uśmiechem na twarzy wróciłem do przerwanej czynności – na ziemi przed sobą miałem kuchenkę, na której gotowałem w menażce wodę.

Szykowałem sobie na śniadanko owsiankę z pitną czekoladą.

Gdy woda się zagotowała, wlałem ją do czarnego kubka, następnie wsypałem czekoladę w proszku, dodałem pokruszony blok sprasowanej owsianki i wszystko wymieszałem.

Kiedy tak stałem przed okopem i wcinałem śniadanie, uznałem, że życie jest do zniesienia. Poprzedniego dnia dogoniły nas śpiwory, więc pospałem w nocy i teraz czułem się wypoczęty. Przysłano nam również aprowizację oraz świeżą wodę. Napelniałem ciało gorącym jedzeniem i nie martwił mnie już chłód.

W połowie posiłku upuściłem łyżkę. Upadła na wał z torfu, który uklepałem wokół swego stanowiska. Kiedy się pochylilem, łyżka zaczęła się zsuwać do okopu. Na dnie okopu było blocko. Nie chciałem, żeby łyżka tam wylądowała. Rzuciłem się na ziemię jak bramkarz i złapałem ją w ostatniej chwili.

Coraz bardziej z siebie zadowolony, wstałem. Zobaczyłem, że wszyscy dokoła leżą plackiem.

– O kurwa! – wyrwało mi się i padłem. Najwyraźniej nadlatywało coś, czego nie usłyszałem. Leżałem i czekałem na wybuch. Nic. Podniosłem głowę i popatrzyłem na leżących wokół żołnierzy.

Zaczął się dociekanie prawdy.

– Po coś, kurwa, klapnął na glebę? – rzucił pytanie w kierunku Yanka sierżant z plutonu przeciwczołgowego. – Słyszałeś co?

– Nic nie słyszałem. Klapnąłem, kurwa, bo Frank klapnął – odparł Yank.

Światło lampy w oczu Franka.

– Klapnąłem, kurwa, bo Luke klapnął – odpowiedział Frank.

Zastanawiałem się, czy od razu brać nogi za pas, czy spróbować im wyjaśnić, że przed niczym się nie kryłem, tylko łapałem łyżkę.

Kiedy wytłumaczyłem, co się stało, wszyscy znowu padli na ziemię, tyle że ze śmiechu, a Frank stał się celem zmasowanych drwin.

Miałem farta. Bez wątpienia sierżant sztabowy Frank Pye pokonałby mnie na pięści. Ale nie w biegach.

Odpyliłem go na co najmniej sto metrów.

Kiedy Pye już się uspokoił, podkradłem się z powrotem do naszych pozycji. Na szczęście zaczynał już dostrzegać komizm zdarzenia z łyżką.

Naraz od strony Stanley nadleciał z wyciem harrier. Kilka sekund później przemknęły ścigające go trzy argentyńskie skyhawkki. Ponieważ okopaliśmy się w polowie stoku, samoloty pruły prawie na naszej wysokości. Zniknęły w mgnieniu oka.

Niedługo potem wrócił jeden ze skyhawków. Najwyraźniej oberwał, bo szedł z niego dym. Tym razem to harrier jemu siedział na ogonie. Dwóch pozostałych skyhawków nikt już nigdy nie widział.

Później tego samego ranka usiadłem przed okopem, żeby się napić herbaty. Nagle usłyszałem grzmot podobny do wybuchu. Znow poczułem strach i natychmiast przypadłem do ziemi. Tym razem wszyscy zabawili się moim kosztem.

Grzmot pochodził od czołgu typu Scorpion, który testował swe działo. Czołg stał nie dalej niż dwadzieścia metrów od mojego okopu, ale tego nie zauważyłem. Najadłem się strachu nie dlatego, że strzał padł z tak bliska, lecz dlatego, że dźwięk był mi obcy. Odgłos wojny, którego jeszcze nie poznałem.

Na wojnie jest wiele hałasu, bo wojna to w istocie bardzo głośna awantura. Z upływem czasu zaznajamiałem się coraz bardziej z różnymi odgłosami. Potrafiłem poznać, czy to nasz moździerz, czy to ich działo itd. Natomiast gdy słyszałem nowe dźwięki, wyobrażenia natychmiast wyczarowywała fantazyjne obrazy jakiejś nieznannej, tajnej broni Argentyńczyków.

Dziś nie tak nie przenosi mnie na pola bitew na Falklandach jak właśnie dźwięki. Potrafi to uczynić przelatujący samolot. Nagły grzmot. A przede wszystkim nowe, nie znane mi odgłosy.

Czasem, przez sekundę lub dwie, żałuję, że nie jestem głuchy.

Niewiedza błogostanem (Wireless Ridge)

Zaszła zmiana. Wyczuliśmy to, zanim nam powiedziano. Zrobiło się ciszej, nie było słyhać tylu wystrzałów w oddali, mniej wiało grozą. Ktoś z radiostacją powiedział, że chyba kapitulują.

Pomyślne wieści. Bardzo pomyślne. Czekaliśmy na więcej.

W oddali, może w odległości pół mili, szło dwóch żołnierzy. Siedzieliśmy sobie w kręgu – niektórzy patrzyli w ziemię, inni palili, rozmawiali, jeszcze inni czekali – gdy nagle ktoś, kto czytał mapę, rzekł:

– Kurwa, te dwa matoly idą chyba przez pole minowe.

Podnieśliśmy głowy. To mogło być ciekawe.

– Stawiam dwa funciaki, że ten mniejszy wejdzie pierwszy.

Roześmieliśmy się wszyscy.

Skoczyliśmy na nogi i zaczęliśmy krzyczeć i machać do dwóch żołnierzy, by ich ostrzec. Zatrzymali się i rozejrzeli, kto woła. Zauważyli nas. Zaczęliśmy wołać głośniej.

– Tam są miny!

Pomachali do nas i ruszyli dalej.

Nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu. Najwyraźniej myśleli, że uprzejmi spadochroniarze witają ich z daleka. Kurwa, ale matoly. Pokochaliśmy ich w jednej chwili.

– Czy któryś z was, skurwiele, przyjmuje mój zakład, zanim będzie za późno?

Nagle ku swemu wielkiemu zdumieniu usłyszałem słowa:

– Lukowiak, biegnij ich ostrzec.

Spojrzałem, kto to powiedział. Nowy adiutant batalionu. Za nic nie chciałem biec, ale zabawne, zrobiłem pełny krok do przodu, nim to sobie uświadomiłem. Spojrzałem z niedowierzaniem na adiutanta.

Popatrzył na mnie i gruchnął śmiechem. Inni też się roześmieli. I ja.

W końcu, po długiej filozoficznej debacie, doszliśmy do wniosku, że dla dwóch żołnierzy idących polem minowym o wiele lepiej będzie pozostać w stanie niewiedzy. Przecież i tak byli już na środku pola. Tak czy owak, musieli z niego zejść – właśnie to robili – po co więc im utrudniać mówieniem o śmiertelnym niebezpieczeństwie?

– Racja. Ale jednak im powiedzmy.

Znów wszyscy ryknęliśmy śmiechem.

Nie usłyszeliśmy żadnych wybuchów, więc uznaliśmy, że im się udało.

Powyższa historia jest jedną z tych, które często wspominamy, gdy spotykam kolegów, którzy byli ze mną tamtego dnia. Wielkie, pozostające bez odpowiedzi pytanie brzmi: czy adiutant żartował, kiedy kazał mi biec na pole minowe, czy też w chwili, gdy wydał mi ten rozkaz, uświadomił sobie własną głupotę?

Zawsze wtedy odpowiadam:

– Kto wie? Kogo to obchodzi? Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

I wtedy idę się przejść po polu.

Palacze – bez głów, bez nóg, bez życia (Wireless Ridge)

Pełnia szczęścia. Mało nie wyskoczyłem ze skóry.

Kapitulują. Argentyńczycy schodzą z gór i kierują się do Stanley. Plotka głosi, że chcą rozmawiać. Wiedzą, że nie mają szans na zwycięstwo.

Wydano rozkaz, żeby zabezpieczyć broń.

Zabezpieczyliśmy więc, wyjmując pociski i nastawiając bezpieczniki. Mieliśmy nadzieję, że tak pozostanie.

Jed wydobyl ze swoich klamotów plastikową flagę brytyjską i piersiówkę whisky. Flagę położono na plecaku, a flaszkę puszczone w obieg. Wzniesiono toast. Wówczas wydawało mi się, że pijemy za zwycięstwo. Dziś wiem, że piliśmy za życie.

Ścieśniliśmy się wokół kupy kamieni i zrobiono nam zdjęcie. Jestem na nim w lewym dolnym rogu, kucam. W prawej dłoni trzymam papierosa, a na twarzy mam najszczęśliwszy uśmiech. Byłem bardzo uradowany.

Widziałem podobne zdjęcia ze sto razy w stu różnych książkach. Zawsze jest kupa kamieni. Zawsze jest grupa mężczyzn. Ubranych jednakowo, trzymających broń. Prawie zawsze jest brytyjska flaga, a żołnierze prawie zawsze się uśmiechają.

Tylko poległych nigdy nie ma.

Jeżeli słowa, które teraz piszę, ukażą się kiedyś drukiem, chciałbym, żeby zdjęcie ze mną, kamieniami, grupą uśmiechniętych żołnierzy i brytyjską flagą, a bez poległych, zostało zamieszczone w kolorze na całą stronę – może nawet na dwie. Podpisałbym je tak: „Pełnia szczęścia. Mało nie wyskoczyłem ze skóry”.

Po zrobieniu zdjęcia, powiedziałem sobie: „Trzeba się napić czekolady”. Żeby na całego uczcić zwycięstwo. I wtedy się uśmiechnąłem.

Znalazłem sobie miejsce pośród kamieni i zdjąłem rymstunek z pleców. Wyjąłem menażkę, z menażki wyjąłem plastikową torebkę z napojami. Z plastikowej torebki wyjąłem ostatnią saszetkę czekolady, z saszetki wysypałem brązowy proszek. Następnie wyjąłem z plecaka kuchenkę, z kuchenki pudełko, z pudełka dwa paliwka turystyczne w kształcie kostek. Następnie wyjąłem manierkę z wodą, z manierki zdjąłem plastikowy kubek. I wtedy uśmiechnąłem się jeszcze raz. Z kieszeni wyjąłem zapalki, zapaliłem paliwka i położyłem je na kuchenkę. Postawiłem na kuchence menażkę, a do menażki wlałem wodę.

Co jakiś czas, kiedy tak czekałem, aż woda się zagotuje, zrywałem się na nogi i wykonywałem taniec radości. Podczas jednego z tych tańców, ostatniego, dokładnie rzecz biorąc...

Przeniosłem się w czasie...

Nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie wiedziałem, ile mam lat ani nawet kim jestem. Widziałem tylko białoczarny obraz drobnego bruneta z ciemnym wąsikiem.

Nazywał się Hitler. Właśnie ruszył w taniec radości.

Czemu nie, przecież padła Francja?

Powróciłem do Wireless Ridge. Przestałem płaszać. Usiadłem.

Nadal jednak się cieszyłem. Pamiętam, że z tyłu przeszło kilku żołnierzy. Krzyknęli: „Dobra robota, Drugi Spadochronowy”. Byli z siostrzanego batalionu, Trzeciego Spadochronowego. (Dziś, kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się dziwne, że bataliony w wojsku brytyjskim mówią o sobie „siostry”). Skoczyłem na nogi i odkrzyknąłem:

- Dobra robota, Trzeci Spadochronowy!

I pamiętam, że zaśpiewaliśmy głośno piosenkę Queenów „We are the Champions”. Dobrze wszystko podsumowywała. Byliśmy zwycięzcami.

Czasem próbuję przeżyć jeszcze raz te chwile na Wireless Ridge, bo byłem wtedy bardzo szczęśliwy. Żadnego bólu. Gniewu. Klótni. Pracy. Rachunków do zapłaćenia. Kobiet. Seksu.

Miałem poczucie, że jestem taką istotą ludzką, jaką w pierwszym zamierzeniu stworzył Bóg. Człowiekiem ze Starego Testamentu, który paradował nago po raj. I zawsze był szczęśliwy. Nie zadawał pytań. Nie kłamał. Byłem pierwszym człowiekiem. Adamem.

Ktoś mnie zawołał:

- Ej, Luke. Chodź, musisz zobaczyć tych dwóch biednych skurwieli.

Skończyłem pić czekoladę, założyłem z powrotem plastikowy kubek na manierkę, manierkę schowałem, plastikową torebkę z napojami włożyłem do menażki, menażkę... Żartuję!

Sprzątnąłem wszystko i ruszyłem z Yankiem ścieżką, która biegła pod górę skrajem grani. Doszliśmy do płaskowyzu. Już nie myślałem o manekinach sklepowych. Nie myślałem o trupach. Przechodziłem obok

ofiar wojny bez choćby jednej myśli o śmierci. Byłem ślepy. Nic nie czułem.

Doszliśmy do dwóch biednych skurwieli, których musiałem zobaczyć.

Leżeli na plecach, ramię przy ramieniu. Pierwszy nie miał głowy, drugi nóg. Głowę i nogi urwało tak równo, jak gdyby odciął je chirurg. Jeden z moich kolegów ma zdjęcie tych okaleczonych Argentyńczyków, którzy leżeli bez ruchu na płaskowyżu pod Wireless Ridge. Zdjęcie mierzy dziewięć cali na pięć i jest czarno-białe. Kolega trzyma je w albumie. Podpisał je następująco: „Jeden stracił głowę, drugiego nogi poniosły”.

Chłopak bez głowy i jego kolega bez nóg stali się sławni w naszym batalionie. Zdjęcia, o którym wspominałem, nie zrobił mój kolega, lecz nasz batalionowy fotograf. Po wojnie, w cichości koszar w Aldershot, mogliśmy, jeśli taka wola, kupić zdjęcie dwóch Argentyńczyków, z których jeden „stracił głowę, drugiego nogi poniosły”. Ja nie kupiłem. Nie chciałem mieć takich pamiątek.

Dwa dni po tym, jak nasz fotograf zrobił zdjęcie dwóm okaleczonym trupom, został przypadkiem postrzelony w twarz przez kolegę, który bawił się argentyńskim koltem kalibru 0.45. Ładny mi kolega. Ale miał farta, przeżył.

Podczas kampanii falklandzkiej nie robiłem żadnych zdjęć. Zbyt wiele szacunku miałem dla wojny.

Zostawiliśmy bezgłowego i beznogiego i ruszyliśmy między okopami, w których obronie stracili życie. Wokół wałało się mnóstwo powykręcanych ciał. Znow uderzyło nas, jak młodzi oni byli. W tym czasie potrafiłbym już ze znawstwem określić przyczynę śmierci i kiedy tak przechadzaliśmy się wśród trupów, stało się dla nas jasne, że żaden z żołnierzy nie zginął od kuli, lecz wszyscy od ostrzału artyleryjskiego. Strach i nie-

doświadczenie poborowych wykurzyły ich z okopów, gdy tymczasem największe szanse przeżycia mieliby, gdyby pozostali ukryci w ziemi. Nam oczywiście łatwo było mówić – im o wiele trudniej zrobić.

W jednym z okopów leżał brudny zielony koc – poruszył się. Yank i ja natychmiast odskoczyliśmy i chwyciliśmy za broń. Spod koca wystawił głowę argentyński żołnierz. Nie zauważył nas. Podniósł się, przeciągnął i ziewnął szeroko. Najwyraźniej dopiero co się obudził. Zamknął usta, otworzył oczy i zobaczył nas.

– Cześć – powiedziałem.

Dzisiaj wydaje się to głupie, ale tak właśnie się odezwałem. Yank powiedział, że nasi artylerzyści dostaną kurwicy, gdy usłyszą, że ten przespał ich największy ostrzał od czasów Korei.

Machnęliśmy bronią, dając mu znak, by wyszedł z okopu. Yank trzymał Argentyńczyka na muszce, a ja pobieżnie go obszukałem. Kiedy to robiłem, powiedziałem mu, że wojna skończona:

– War finito.

Uśmiechnął się.

Czemu nie? Wyszło na to, że przeżył wojnę.

Kieszon na piersi zdobyły mu trzy belki. Był sierżantem. Kiedy go obszukałem, gestem ręki dał znak, że chętnie by zapalił. Obróciłem się do Yanka i powiedziałem, że ten to ma tupet. Znamy go ledwie minutę, a już wycygania od nas szlugi. Yank odparł, że prawdziwy z niego sierżant; nasze sierdziuchy też zawsze żyją na innych. Obaj się roześmieliśmy. Argentyńczyk także. Dałem mu papierosa i zapalniczkę, a on podziękował za uprzejmość.

Na płaskowyżu prowadzono do punktu zbiorczego kolumnę argentyńskich jeńców. Yank powiedział, że zaprowadzi do nich naszego sierżanta i spotkamy się później.

Dureń, powinienem był z nim pójść.

Jednego mniej dzięki mnie (Wireless Ridge)

Yank odszedł z jeńcem, a ja ruszyłem dalej na przedchadzkę wśród okopów. Choć wszędzie otaczała mnie śmierć, nadal byłem w szampańskim nastroju. Pamiętam, że śpiewałem na głos słowa znanej mi piosenki.

Piosenka mówiła o snach i umieraniu, o duszy opuszczającej zniecacka ciało.

Natrafiłem na kolejny okop i wskoczyłem do niego. Zacząłem szperać wśród pozostawionego na dnie sprzętu. Nie szukałem niczego szczególnego, szukałem, żeby szukać. Znalazłem papierek po argentyńskich słodyczach. Z jakiegoś powodu pociągały mnie papierki z hiszpańskim tekstem oraz z nazwami i adresami argentyńskich producentów. Przyglądając się im, mówiłem sobie: „Widzisz, mają słodycze i fabryki, które produkują te słodycze, i ludzi, którzy pracują w tych fabrykach”. Dlaczego tak mnie to fascynowało – nie wiem. Może w czasie wojny człowiek musi trzymać się oczywistych prawd?

Znudziła mi się dziura, w której stałem, wylazłem więc, by wleźć do innej.

Przyszła mi do głowy myśl, że fabryki, w których produkują słodycze, znajdują się pewnie w miastach, gdzie mieszkają ludzie, którzy pracują w tych fabrykach. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem kolejny okop. Podeszedłem z boku. W okopie czaiła się szara postać. Zobaczyłem go. On zobaczył mnie. Miał karabin. Szarpnąłem palcem prawej dłoni. Kule wyleciały z lufy mojego pistoletu. Dopadły go. Trafiły w klatkę piersiową i cisnęły do tyłu na ścianę okopu. Szarość zmieniła się w czerwień. Osunął się. Dusza zniecacka opuściła ciało.

Po prawej stronie dostrzegłem ruch. Usłyszałem krzyki. Obróciłem się, przypadając jednocześnie do

ziemi. Na płaskowyżu między głazami przemykali trzej żołnierze. Wszyscy mieli czerwone berety. Pomyślałem, że są z Trzeciego Spadochronowego, bo ich nie rozpoznałem.

- Wszystko w porządku, jestem z Dwójki! - krzyknąłem.

Żołnierze zwolnili. Kiedy podeszli, jeden z nich zapytał, co to były za strzały. Wyjaśniłem, że żywy Argentyńczyk siedział w okopie. Natknąłem się na niego, miał broń, więc go zastrzeliłem.

- No i dobrze - rzekł żołnierz - jednego skurwiela mniej do wykarmienia.

Pożegnałem się z nimi i wróciłem skrajem grani do miejsca, w którym zostawiłem swój ekwipunek. Nikogo już tam nie było.

Później, kiedy w Stanley dogoniłem wreszcie Jeda i spółkę, nikomu nie wspomniałem słowem o tym, że zabiłem człowieka na Wireless Ridge. Nie wiem, dlaczego milczałem. Osiem lat musiało upłynąć, bym w końcu o tym opowiedział, a nawet wtedy skłamałem.

Opuściła mnie dziewczyna. Pewnego dnia poszedłem do niej i błagałem, by wróciła. Usiłując ją odzyskać, pierwszy raz spróbowałem dociec przyczyn mego niezrozumiałego postępowania. Zdając jej sprawę ze swego życia, opowiedziałem w końcu o człowieku, którego zgładziłem na Wireless Ridge. Tyle że aby zyskać współczucie dziewczyny, powiedziałem, że po zastrzeleniu szarej postaci wskoczyłem do okopu, chwyciłem sztywnie ciało i potrząsałem nim. Że krzychałem wściekły na martwego żołnierza, po co tam siedział. Że wpadłem w rozpacz z powodu tego, co się stało.

Nie wskoczyłem do okopu. Nie chwyciłem Argentyńczyka za lachy, nie potrząsałem jego sztywnym ciałem, nie krzychałem. Nie wpadłem w rozpacz. Dziś próbuję siebie przekonać, że nie miałem na to wszystko czasu.

Gdy dostrzegłem ruch między głazami i usłyszałem krzyki, myślałem tylko o sobie. Bałem się, że nadbiegający żołnierze opacznie zrozumieją sytuację. Że zaczną do mnie strzelać. Było to oczywiście bardzo egoistyczne, ale uważam, że także ludzkie.

Oklamałem moją dziewczynę, bo nie potrafiłem wytłumaczyć, dlaczego nic nie czułem, żadnych wyrzutów sumienia, kiedy zabiłem człowieka. Wiedziałem, że nie potrafię jej tego wyjaśnić, bo nie potrafiłem tego wyjaśnić samemu sobie. Bałem się, że prawda ukaże mnie jako osobę bez serca.

Dziś, kiedy piszę te słowa, czuję żal, że zastrzeliłem żołnierza na Wireless Ridge. Wielokrotnie odtwarzam w myśli to wydarzenie. Czasem udaję przed sobą, że on nie był uzbrojony, że się poddał i wziąłem go do niewoli. Innym razem wyobrażam sobie, że nie nacisnąłem spustu, lecz krzyknąłem do niego, by rzucił broń. Wiem, że gdybym z Yankiem nie natknął się wcześniej na innego Argentyńczyka, mój pistolet maszynowy nie byłby odbezpieczony. Może wtedy nie zastrzeliłbym go. Nie wiem. Z drugiej jednak strony, może wówczas on zastrzeliłby mnie. Nie wiem.

Dziś, dziesięć lat po wojnie, wciąż niewiele wiem. Nie rozumiem logiki świata, w którym żyję. Wiem tylko, i to wiem na pewno, że mam dwóch synów. W żyłach jednego płynie moja krew, w żyłach drugiego nie. Lecz nie krew jest tu najważniejsza. Nigdy bym nie chciał, żeby moi synowie poszli na wojnę i zgładzili drugiego człowieka.

Nie chciałbym też, by wasi to zrobili.

Pstryk! (Stanley)

Nasze pierwsze godziny w Stanley spędziliśmy na ulicach. Wałęsaliśmy się, popalając i gaworząc. Wolno nam było lazić, mieliśmy tylko nie deptać trawników – mogły być zaminowane. Choć wciąż czuliśmy radość, początkowa euforia zaczęła mijać. Wyglądaliśmy wyjątku. Człowiek miał wrażenie, że nikomu nie chce się wydawać rozkazów, nie mówiąc już o ich wypełnianiu.

Kiedy tak stałem na rogu ulicy z Frankiem i dwoma jego znajomymi z Trzeciego Batalionu, przyszła mi do głowy myśl, jak wszystko nagle się odmieniło.

Otak – jak za pstryknięciem palcami.

Pomyślałem tak na widok przechodzących trzech argentyńskich żołnierzy, którzy wciąż mieli broń. Kivnęli nam głowami na powitanie, gdy nas mijali – a wtedy my skinęliśmy im. Jeszcze kilka godzin temu byliśmy na pierwszej linii z zadaniem uczynienia z Argentyńczyków gatunku zagrożonego wyginięciem, a oto teraz stoimy oparci o uliczną latarnię i patrzymy, jak śmiertelni wrogowie przechodzą obok.

Kurde flak.

Nie mogłem się powstrzymać od zawyrokowania, że świat jest dziwny. Oni byli uzbrojeni, my byliśmy uzbrojeni, ale nikomu nawet przez myśl nie przeszło strzelać. Bo wojna się skończyła. Pstryk!

Rozglądałem się po ulicach Stanley i usiłowałem zapamiętać jak najwięcej. Chciałem wiernie zarejestrować w głowie sceny, które oglądałem. Budynki wydychające ogromne kłęby dymu, z powodu którego wszystko nabrało odcienia szarości. Dwaj zabici Argentyńczycy leżący na ulicy. Ich żywi koledzy, którzy mnie mijają. Nasi żołnierze siedzący na ziemi, oparci o płoty, jedzący czekoladę, palący papierosy. Oprócz tego że Argentyńczycy nosili szare mundury, a my zielone,

nie różniliśmy się wiele od siebie. Też wyglądali na zmęczonych. Też wyglądali na uradowanych.

Podczas rozmowy z Frankiem i jego dwoma kolegami paliłem papierosa. Jeden z nich klepnął mnie w ramię i rzekł:

- Jest popyt na sztacha, bracie.

W języku spadochroniarzy znaczyło to: „Czy mógłbym się zaciągnąć twoim papierosem, zanim go dopalisz, kolego?”

Powiedziałem, że dam mu całą paczkę, jeśli chce. Okazało się, że Trzeciemu Batalionowi fajki skończyły się już parę dni wcześniej, my tymczasem mieliśmy ich w bród dzięki pobytowi w Goose Green. Podszedłem do moich kłamotołów, poszperałem i dałem żołnierzowi paczkę. Tak uszczęśliwiłem człowieka.

Dwaj zabici Argentyńczycy, którzy leżeli na ulicy, z pewnością nie należeli do szczęśliwców. Jeden, ten na jezdni, nie miał nawet najmniejszego zadrapania, z kolei drugi, leżący na chodniku, nie miał połowy twarzy. Właściwie to ją miał, tylko nie całkiem przy sobie, bo znajdowała się obok głowy. Kawalki bryzgnęły na krawężnik. Z tych kawalków ściekała krew. Krew zbierała się w czerwoną kałużę.

Zrobiono mi zdjęcie z jednym z dwóch Argentyńczyków leżących na ulicy w Stanley. Piszę „zrobiono mi zdjęcie”, a nie „zrobiono nam zdjęcie” tylko dlatego, że on nie żył i nie mógł sobie zażyczyć żadnego zdjęcia. Sądziłem wtedy, że obaj zginęli od pocisków artyleryjskich. Leżeli pod domem, który oberwał z naszych dział.

Tymczasem pewnego dnia ktoś pokazał mi inne zdjęcie jednego z tych dwóch Argentyńczyków. Tego, który nie miał połowy twarzy. Widać było wyraźnie, że dostał w głowę. Ale z czego? To pytanie jest wbrew pozorom bardzo istotne. Na zdjęciu ciało znajdowało się bowiem na tle płotu. Płot był podziurawiony kulami z

małokalibrowej broni. Tymczasem w tej części miasta nie było walk ulicznych między nami a Argentyńczykami. Kiedy ogłoszono zaprzestanie działań wojennych, starcia toczyły się kilkaset metrów dalej. A nawet, gdyby front tu dotarł, to kule, które trafiły w płot, wystrzelono od strony morza, a nie od strony ulicy, skąd nacierali „dobrzy”, czyli my. Zatem można by wysnuć wniosek, że Argentyńczyk „dostał w czapę”, czyli „postawiono go pod mur”, czyli inaczej wykonano na nim wyrok. Ale kto to zrobił? To nie mogli być nasi, nie posunęliśmy się wtedy tak daleko w głąb miasta. Ostatnie brytyjskie strzały padły daleko od tego miejsca.

Zastanawialiśmy się, czy zgasił go swój. Byłoby to bezpodstawne przypuszczenie, gdyby nie fakt, że w wielu argentyńskich relacjach z wojny falklandzkiej mówi się o oficerach strzelających do swoich żołnierzy.

Słyszałem również o tym od argentyńskiego dziennikarza. Przeprowadził on wywiady z wieloma argentyńskimi weteranami wojny falklandzkiej i od nich właśnie o tym usłyszał. Powiedziałem mu, że nie chce mi się wierzyć w te opowieści. Potem wspomniałem o rozmowie z moim majorem przed odjazdem na Falklandy, kiedy to zawyrokowałem, że argentyńska inwazja na wyspy będzie końcem rządów Margaret Thatcher.

Dziennikarz rozdziawił usta i zapytał, czy w wojsku brytyjskim to normalne, by zwykły żołnierz dyskutował o polityce ze swym dowódcą. Odpowiedziałem: „Jasne, tak samo normalne jak pogaduszki o pogodzie, cenach piwa i cychach na trzeciej stronie «The Sun»”. Odparł, że to niewyobrażalne, żeby argentyńscy żołnierze i oficerowie rozmawiali na takie tematy. „Jak to? – zapytałem wstrząśnięty – nie gadają o cychach i piwie?” „Nie, nie” – rzekł. „Chodzi mi o politykę”. Powiedziałem, że dla mnie niewyobrażalne jest, żeby brytyjscy oficerowie strzelali do swych żołnierzy.

Może jednak Argentyńczyk, który leżał na ulicy z

odstrzeloną połową twarzy, zginął od ognia artyleryjskiego? Chyba nigdy już nie poznam prawdy. Niestety pociski artyleryjskie nie wiedzą, kogo zabijają, nie dostrzegają podziału na nas i na nich, na dobro i zło. Pociski, które być może zabiły dwóch leżących na ulicy żołnierzy, z całą pewnością trafiły w dom i zabiły dwie osoby cywilne, które w momencie trafienia znajdowały się w pokoju od ulicy. Tymi osobami cywilnymi okazały się dwie starsze panie. Potem usłyszałem, że poza nimi nikt z Falklandczyków nie zginął. Były też one najstarszymi ofiarami tej wojny. I jedynymi ofiarami płci żeńskiej.

Część miasta, w której mieszkały i zginęły, została ewakuowana z rozkazu argentyńskich władz. Dwie panie odmówiły jednak opuszczenia swego domu i przeniesienia się do centrum miasta. Kiedy pociski nadleciały i trzasnęły w dach, nastął koniec.

Dwie starsze panie. Dwaj argentyńscy chłopcy w mundurach.

Pstryk!

Czego nie wiecie o wojnie

(. - - - -)

Biorąc pod uwagę, ile się ryzykuje – płaca jest gówniana.

- Zrobiono mnie w chuja parę razy w życiu, nie powiem, jak każdego zresztą, ale to, jak pograli z forszą za Wyspy, to po prostu woła o pomstę do nieba, no wyruchali mnie tip top. To nie żadne ploty, nie słyszałem tego od jakiejś cipy z ośrodków szkolenia albo co, nie, gadały tak te pizdy od płac. Jebane kaprale. Czas, kurwa, połamać sobie nad tym łeb, wyliczyć, ilem zarobił i na co to wydam, bo to wszystko, kurwa, to był

jeden wielki kit. A Frank, ten to dostał kurwicy, jak się dowiedział, że zrobili nas w chuja. Ja mu mówię, wy, sierdziuchy, i tak lykacie niezłą stawkę. Co my, szweje, mamy powiedzieć? Trzeba mi było trzymać jadaczkę na kłódkę, bo mi wtedy zaczął wrzeszczeć, że jak on był szwejem, to zarabiał jebane siedem funtów na jebany tydzień. Powiedziałem mu, żeby przestał, bo się zaleję łzami. On mi, żebym uważał, bo rzeczywiście się zaleję – krwią.

– Wkurwia mnie to do nieprzytomności, że jak płynęliśmy tą łajbą, tośmy zarabiali więcej, niż jak biegaliśmy po Falklandach i rozpieprzaliśmy Pedrosów. Kurwa, no nie wiem, jak oni to liczą?

– Posłuchajcie. Wiecie, co nam skurwysyny powiedzieli? Że, jako dla żołnierzy wojsk powietrzno-desantowych, rejs okrętem był dla nas uciążliwy, musieli więc nam płacić wyższą stawkę za służbę w trudnych warunkach. Tak to, kurwa, nazywają, służba w trudnych warunkach. Co, kurwa, trudnego w leżeniu do góry dupą w koi, rżnięciu w karciochy, zalewaniu ryja albo waleniu konia na świerszcze? No ale dla nich to gorsze od zapierdalania po łąkach i chowania się przed skurwielami, którzy do ciebie strzelają. Głupie pizdy.

– No, kapujesz, wiedzieliśmy, ile dostajemy za siedzenie na okręcie, więc myśleliśmy, że kiedy będziemy zapierdalać po Wyspach, kasa będzie jeszcze lepsza. Też byś tak myślał, kurwa, nie? Więc jak, kurwa, puścili słowo, że dostajemy dodatkowe trzy funciaki za dzień, to co, mieliśmy nie wierzyć? Mówiłem, nawet ci jebani kaprale od płac myśleli, że to prawda. Kiedy w końcu się okazało co i jak, byliśmy w Stanley, wojna się skończyła i mieli nas, kurwa, w garści.

– Chuj, ja uważam, że to nie w porządku. Było paru takich z kompanii strzeleckich, co pojechali na wojnę i zarobili tyle, że czaszka dymi. Słuchaj; w drodze na południe położyli się na pokładzie, żeby poopalać

dupy, no i się pospali. Spiekło ich jak skurwysyn. Jeszcze się na dobre nie obudzili, gdy już stali przed Jonesie'm pod zarzutem samookaleczenia i za karę chuj strzelił ich miesięczną pensję. Kurwa, wszyscy uznaliśmy, że to gruba przesada. Dla oficera taka kara to małe piwo, tyle forsy koszą, ale dla nas, biednych szwejków, jak ci zabiorą miesięczną pensję, to mogła. Ale nic to. Złożyliśmy się wszyscy do kupy i kupiliśmy im olejek do opalania.

- Chcesz o szczegółach, no to dobra, okopaliśmy się na górze Sussex, był drugi dzień. Idzie taki kapral od plac, łązi po okopach i pyta, czy ktoś nie chce fajek. Palę, więc mówię, że pewnie. Kurwa, czy ty wiesz, co musiałem zrobić, żeby mi dał? Podpisać pokwitowanie, że wziąłem fajki, żeby mi mogli potem odliczyć od zarobków. No i kurwa, wracam do domu, dostaję pierwszą wypłatę i chuj, potrącili mi dwa pięćdziesiąt za fajki, które dali na wojnie. Kurwa, z nimi tak zawsze. Stracili okręt wart miliony, to oczywiście musieli się odkuć na biednych szwejkach, sprzedając im szlugi. Powiem ci: nie wierzę, żeśmy walczyli dla takich skurwielu.

- Dla pieniędzy też nie.

Jezus cię kocha? (Redruth/Stanley)

Kiedy miałem dwanaście lat, szedłem pewnego dnia z kolegą główną ulicą mego rodzinnego miasteczka w Kornwalii. Nogi zawiodły nas w pobliże kina. Przed kinem wisiały dwie duże gabloty. Wystawiono w nich z tuzin kolorowych kadrów z dwóch filmów, które akurat pokazywano. Oba były od lat osiemnastu.

Pamiętam, że patrząc na nęcące kadry, zastanawia-

lem się, jakież to tajemnice kryją się poza moim zasięgiem za dużymi zielonymi drzwiami. Co to za ruchome obrazki ukazują się na ekranie, że nie mogę ich zobaczyć.

Skręciliśmy za róg i ruszyliśmy alejką, która biegła przy kinie. Doszliśmy do dwojga drzwi – wyjście z kina. Drzwi były szeroko otwarte – droga wolna.

Po krótkiej naradzie zdobyliśmy się na odwagę, by wejść do środka. Przed nami pięły się betonowe schody. Dotarliśmy na samą górę i otworzyliśmy wahadłowe drzwi, które prowadziły do obszernej sali projekcyjnej. Wewnątrz było ciemno. Pięć sekund później siedzieliśmy w ostatnim rzędzie. Udało się – hi, hi, hi!

Film, który wyświetlano, nosił tytuł *Absolwent*. Poczuliśmy się z kolegą największymi farciarzami w całym miasteczku, ponieważ na ekranie pokazali duże kobiece cycki. Stał się gówniarzom.

Zostaliśmy na drugi pokaz. Niestety, w trakcie ponownej projekcji filmu wojennego poprzedzającego główny seans, *Brudnej gry* z Michaeliem Calne'em (też trafny tytuł), namierzył nas kierownik kina i wypłoszył drogą, którą weszliśmy. Nieważne – widzieliśmy film od lat osiemnastu. Co więcej, wszyscy się o tym dowiedzieli. Chwaliliśmy się miesiącami.

Od tamtego pożytecznie spędzonego popołudnia w Redruth widziałem *Absolwenta* więcej razy, niż potrafię zliczyć. Z biegiem lat zacząłem dostrzegać zmiany zachodzące we mnie poprzez zmiany w moim stosunku do filmu.

Wyjaśnię to: kiedy pierwszy raz obejrzałem film, nie posiadałem się z radości, że zobaczyłem nagie kobiety. Kiedy indziej spodobała mi się muzyka, po wyjściu z kina kupiłem więc moją pierwszą płytę Simona i Garfunkla.

Gdy miałem szesnaście lat, przestałem być prawiczką za sprawą o wiele starszej ode mnie kobiety, z

którą przeżywałem romans. Ona była moją panią Robinson. W pani Robinson kochałem się od samego początku, zawsze wydawała mi się piękną kobietą. Wiele lat później, już po wojnie, po odsiadce, oglądałem *Absolwenta* późną porą w telewizji. Dopiero co rozwiodłem się z Kathy. Byłem przygnębiony. Byłem pijany. Kiedy doszło do tego, jak pani Robinson robi co w jej mocy, by utrzymać Bena z dala od swej córki, upadłem na kolana przed telewizorem i zacząłem krzyczeć:

- Ty kurwo, kurwo jedna!

Moje uczucia gwałtownie się odmieniły - ze stratą dla pani Robinson, a na korzyść Elaine: Elaine stała się uosobieniem doskonałej kobiety.

Miałem dwadzieścia trzy lata.

Byliśmy na okręcie w Stanley. Wojna się skończyła. Zabijanie ustało. Zakwaterowano nas na okręcie, byśmy odpoczęli, wykapali się, zjedli coś świeżego i uspokoili stargane nerwy. Pod koniec pierwszego dnia przeszedłem się po cichych korytarzach zasypiającego okrętu i odnalazłem swoją koję. Kiedy złożyłem głowę na poduszce, po raz pierwszy od długiego czasu byłem porządnie nakarmiony, rozgrzany i szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy.

Zamknawszy oczy w ciemności, pomyślałem o domu. Pomyślałem o Kathy. Już niedługo będę w domu. Już niedługo będę z Kathy. Kimnałem.

Ból wyrwał mnie ze snu.

Naparzał mnie ząb. Mocno jak nigdy dotąd. Wstałem i wyszedłem z kajuty do łazienki. Stałem przed lustrem i otworzyłem szeroko usta. Dźgnąłem ząb palcem. Pociągnąłem. Znowu dźgnąłem. Ból się wzmógł. Wróciłem do kajuty i położyłem się. Zakrywszy twarz kocem, usiłowałem sobie wmówić, że nie boli, ale wie-

działem, że to nieprawda. Wstałem, znalazłem pudełko zapalek i jeszcze raz poszedłem do łazienki. Rozszczepiłem zębami zapalną i dźgnąłem ten bolący.

– Kurewstwo.

Tylko się pogorszyło. Upadłem z bólu na kolana. Podsunąłem twarz do kranu i wyplukałem usta chłodną wodą.

– Pierdolone kurewstwo.

Znowu gorzej. Wyczerpały mi się pomysły. Poddałem się. Przyznałem się do porażki i osunąłem z powrotem na kolana. Z bólu łzy napłynęły mi do oczu. Nie wiedziałem, co robić.

Zwróciłem się do Boga. Powiedziałem mu, że z niego cipa. Gdybym ja był tym skurwysynem, który go przybił gwoździami, odciąłbym mu jaja i wcisnął do gardła. Bo to niesprawiedliwe. Dopiero co wylazłem obronną ręką z tego bajzlu na Wyspach, to moja pierwsza wolna noc. I nagle to. Krzywda i niesprawiedliwość.

Chwyciwszy za umywalkę, podciągnąłem się na nogi i wróciłem do kajuty, koł i biernego cierpienia.

Nie mogłem spać, ból nie pozwalał mi zasnąć. Przewracałem się z boku na bok, przeklinając w duchu na czym świat stoi. Z ciemności dobiegł głos Yanka:

– Ej, Luke, co się, kurwa, dzieje, nie dajesz mi spać, ty pizdo.

– Ząb mnie, kurwa, nawala.

– No to idź i weź coś.

– Gdzie?

– Do chuja pana, kurwa! Pyta się gdzie. Do lekarza okrętowego, to jasne.

– Taa, pewnie. Obudzę oficera o drugiej w nocy i powiem, że przepraszam, ale ząb mnie boli.

– Pierdolić go.

– Sam pierdolisz.

– Słuchaj, dopiero co wróciłeś z wojny. Jesteś, kurwa, dzielnym spadochroniarzem. On dopiero co przy-

płynął z Anglii i jest, kurwa, nikim. Jazda, obudź faga-sa.

– Naprawdę przyplynał z Anglii?

– Masz ostatnią szansę. Nie dajesz mi spać, chujozo, tym swoim stękananiem. Albo wstaniesz z wyra i pójdiesz, kurwa, do tego oficera, albo ja wstanę z wyra i tak ci popędzę kota, że pobiegiesz do niego w trzy migi. No już, idź obudzić tego konowala.

Potrafię się poznać na dobrej radzie.

Wyszedłem z kajuty. Na ścianie u końca korytarza wisiał plan okrętu. Szybko odnalazłem kolorowy kwadrat z wypisanymi na nim literami „LO” i ruszyłem w górę przez pokłady. Droga prowadziła przez bar, w którym kilka godzin wcześniej piliśmy. Okienko było zamknięte, na podłodze i stolikach leżało kilka puszek po piwie, tu i ówdzie przewrócono pomarańczowe krzesło z plastiku. Szumiwały trzy monitory wideo. Przeszedłem przez bar i ruszyłem kolejnymi schodami pod górę. Odnalazłem drzwi z tabliczką „Lekarz okrętowy”. Zapukałem dwa razy.

Otworzył zaspany mężczyzna w koszuli nocnej. Przeprosiłem, że go obudziłem, i wytłumaczyłem, że ząb mnie boli. Kazał mi poczekać, zamknął drzwi i kilka minut później pojawił się w dresie. Minęliśmy korytarzem kilka pomieszczeń i weszliśmy do gabinetu lekarskiego. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom – stał tam fotel dentystyczny. Ten facet był dentystą. Szczęście w nieszczęściu.

Z rozkoszą usiadłem w fotelu. Lekarz obejrzał moje zęby. No, zaraz się to skończy, pomyślałem, jedno ukłucie igły, hej, presto, i po bólu. Czekало mnie rozczarowanie. Powiedział, że moje zęby są w porządku.

Podszedł do szafki, wyjął przyrząd, który wyglądał na porządne lekarskie narzędzie, i zaczął sprawdzać mi uszy. Z nimi też wszystko w porządku, orzekł. Nie obchodziło mnie, chciałem dostać zastrzyk.

Odparł, że nie mogę dostać zastrzyku. Dał mi dwie tabletki, powiedział, że jeśli bym umarł w nocy, to mam przyjść rano na jego dyżur w kolumnie innych chorych, i posłał mnie do łóżka.

Kiedy tak siedłem korytarzem, wciąż czując ból, pomyślałem, że może wszyscy podoficerowie naszego pułku są jasnowidzami. Yank z całą pewnością. Lekarz okrętowy rzeczywiście był konowałem.

Schodziłem w głąb okrętu. Doszedłem do baru. Okienko wciąż było zamknięte, puszki wały się, jak się wały, a krzesła leżały wywrócone. Monitory szumiały. Kiedy przechodziłem przez bar, szum nagle ustał. Zaległa cisza. I naraz usłyszałem muzykę – pierwsze takty „The Sound of Silence” Simona i Garfunkla.

Obróciłem się do monitorów. Na ekranie zobaczyłem Dustina Hoffmana i listę plac na początku *Absolwenta*. Zmroziło mnie – daleko bardziej niż wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłem zabitego kolegę. Czekałem na chwilę doniosłego objawienia, kiedy wreszcie pojmę coś, czego dotąd nie pojmowałem. I znowu nic. Rozsądek podpowiedział mi, że marynarz, który pełnił służbę w pokoju radiotelegrafistów, gdzie na pewno trzymano też magnetowid, nudził się jak mops i puścił film. To wszystko.

Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem i poprosiłem o przebaczenie kogoś lub coś, kogo lub czego istoty ani działań nie potrafiłem pojąć. Ząb przestał boleć. I tak, kiedy reszta batalionu spała pod podłogą, ja siedziałem sam o trzeciej w nocy na zacumowanym w Stanley okręcie i oglądałem kolejny raz *Absolwenta*.

Gdy opowiadałem ludziom tę historię, twierdzą, że to przypadek, ot i tyle. Zwykły zbieg okoliczności.

– Wiem – odpowiadam.

Kłamię, gdy to mówię.

Do domu, odsłużyliśmy swoje!

(Stanley)

W Stanley byliśmy dziesięć dni. Nie wiedziałem ile, musiałem to sprawdzić. Tak mi się wydawało, ale żeby się upewnić, zadzwoniłem do kilku kolegów. Przyznali mi rację. Powiedzieli: „To by się zgadzało”. Ucieszyłem się, że tak mówią. Gdzieś tam głęboko czuję wstyd, że nie wiem, jak długo przebywaliśmy w Stanley. Uważam, że powinienem wiedzieć. Że powinienem znać dokładne liczby i daty, mieć wszystko w małym palcu na znak szacunku. Dla kogo? Może dla poległych. Nie wiem. Tymczasem ja nie mam nic prócz wspomnień. I w pewien sposób przypominają one te dni w Stanley, bo też ich nie potrafię policzyć. Przychodzą i odchodzą.

Pamiętam pierwszą noc. Dom, w którym się zakwaterowaliśmy. I to uczucie, że znowu się jest pod dachem. Światła można było palić do woli. Zaciemniłszy ładnie wszystkie okna. Woda gotowała się bez przerwy na piecu, w którym palono torfem. Szlugi i żarcie, i wyro, i życie. Wdechowe były te noce w Stanley. „Radujcie się”^{*}.

Położyliśmy się we trzech na dużym podwójnym łóżku. Zdjęliśmy buty. Zdjęcie butów może być wielką sprawą, jeżeli przez jakiś czas się tego nie robiło. Zasnąłem natychmiast.

Rankiem obudziła mnie dziewczyna, która przyniosła mi filiżankę herbaty. Wyspiarze wracali do domów, by zadawać pytania jak trzy niedźwiedzie z bajki o Zło-

* Aluzja do wypowiedzi Margaret Thatcher, która odparła dziennikarzom nagabującym ją po zdobyciu Stanley, by nie zadawali kłopotliwych pytań, lecz radowali się ze zwycięstwa (przyp. tłum.).

towłosej. „Ojej, ktoś spał w moim łóżku!” Poszedłem do kuchni; większość już wstała. Jedli, pili i rozmawiali. Ale cicho.

Nazajutrz poszedłem do szopy, żeby nabrać na opał torfu do wiadra. Akurat nadleciał nisko samolot, jeden z naszych harrierów, nie było się więc co denerwować, ale ja o mało się nie posrałem ze strachu. Kiedy wróciłem do domu, wszyscy przeklinali durnego pilota.

Pamiętam, że pewnego ranka siedziałem w pokoju, gdy nagle rozległ się huk na dworze, gdzieś bardzo blisko. Okazało się, że to „incydent”. Sporo było tych „incydentów”. Ilekroć dochodziło do wybuchu, moją pierwszą myślą było: „Kontratak”. Kontratak oczywiście nigdy nie nastąpił. Ale oto co znaczy druga natura.

„Incydent” tego ranka spowodował brytyjski żołnierz, który wszedł na minę zakopaną na torze wyścigowym. Podobno stracił nogę albo coś. Głupia, durna wojna.

Pamiętam dzień wyjazdu ze Stanley. Zabawne, bo nie pamiętam pakowania manatków ani marszu na nabrzeże, ani żegnania się z ludźmi (choć zwykle jestem uprzejmy, więc prawdopodobnie się pożegnałem). Pamiętam tylko, że stałem z innymi na barce desantowej w oczekiwaniu, aż odbijemy i popłyniemy na „Norlanda”. Pamiętam, że patrzyłem na Stanley i myślałem, że czas coś poczuć. Ale niewiele czułem. Byłem zadowolony, że wyjeżdżam z Falklandów, nie pałałem miłością do tych wysp. Wiedziałem jednak, że przeżyłem tu coś ważnego, i pomyślałem, że powrót pewnego dnia będzie dla mnie dużym wydarzeniem. Maksymalnie na trzy dni.

Kiedy tak czekaliśmy na barce desantowej, do mola podpłynęła jednostka szturmowa piechoty morskiej (jedna z tych gumowych łodzi z silnikiem). Siedziało w

niej trzech żołnierzy. Jeden wyskoczył, stanął na molo i przywiązał łódź. By to dobry skok, w dodatku chłopak świetnie umiał wiązać węzły, nagrodziliśmy go więc brawami. Pozostali dwaj też wyskoczyli na nabrzeże – znów oklaski – i we trzech poszli kołyszącym krokiem w miasto na tle zachodzącego słońca. Zagwizdaliśmy melodię z filmu *Dobry, zły i brzydki*. Ci trzej myśleli chyba, że jesteśmy Argentyńczykami, bo odpowiedzieli tylko gestem.

Kiedy zniknęli za zakrętem u końca mola, z naszej barki wyskoczył żołnierz. Odwiązał cumę gumowej łodzi i rzucił sznur jednemu z nas. Ten przywiązał koniec do barki.

Gdy odpływaliśmy, mała łódź ruszyła za nami, podskakując na falach. Pamiętam, że myślałem, jak to dobrze, że wszystko odbywa się bez przemocy. A i tak załatwiliśmy ich na całego.

Kiedy wypłynęliśmy z portu, uświadomiłem sobie, że przecież nie widziałem pingwina. Pingwiny były symbolem tej wojny, bo Falklandy natychmiast kojarzą się z pingwinami. Chciałem zobaczyć choćby jednego, ale nie udało się. Nie znam żadnego z naszych, który by zobaczył. Zabawne, bo gdy teraz widzę te batoniki czekoladowe z wizerunkiem pingwina albo ich reklamę w telewizji, zawsze myślę o falklandzkich pingwinach. Ale ponieważ ich nie widziałem, to zaraz zacznę myśleć o tym, co widziałem.

Naiwni, przerażeni bohaterowie (na pokładzie „Norlanda”)

Zrobiono nam zbiórkę na górnym pokładzie. Pułkownik Chaundler znów chciał przemówić do swych męskich podkomendnych. Kiedy tak czekał na boku, aż

starszy sierżant sztabowy nas zamelduje, w szeregach zaczęły się toczyć szeptane rozmowy:

– Czego on, kurwa, chce?

– Nie wiem, waliłem sobie przyjemnie gruchę w klopie nad moim milusim duńskim świerszczykiem, kiedy jakaś pizda zaczęła walić w drzwi, że mam się ruszyć i wyjść na pokład.

– Zaczyna mnie już wkurwiać, że muszę słuchać gadek tych fagasów, jacy to wspaniali jesteśmy, Kurwa, dlaczego nie zostawia nas w spokoju?

Sierżant wydał komendę baczność. Trzasnęliśmy obcasami. Wielokrotnie trzaskałem obcasami, ale jeszcze nigdy tak pręźnie. Nigdy w życiu nie doznałem tak silnego poczucia wspólnoty. Poczucia, że jestem całkowicie zespolony z tymi, którzy stoją obok mnie. To było zupełnie nowe doznanie. Rozpierała mnie duma.

Duma z siebie samego. Duma z tego, do czego przynależę. Wszedł pułkownik, przyjął honory sierżanta, odwrócił się do nas i wydał komendę spocznij. No więc spoczęliśmy. Zaczął gadać.

Zawiódł nas. Było mu przykro. Próbował, robił wszystko co w jego mocy, ale bezskutecznie. Zarzekał się, że wydzwaniał do Whitehall pod wszystkie numery. Rozmawiał z każdym generałem z wojsk powietrzno-desantowych, którego udało mu się dorwać. Wszyscy bez wyjątku przyznali mu rację, ale nawet oni nie mogli nic poradzić.

– O czym on pieprzy, do kurwy nędzy?

– Niech mnie chuj strzeli, jeśli wiem. Jakby gadał w suahili.

Pułkownik powiedział, że zdaje sobie sprawę, iż wyrządza się nam krzywdę. Powiedział, że czuje gorycz porażki. I wie, że my też ją czujemy. Jeszcze raz nas przeprosił i zapewnił, że nic nie mógł zrobić. Że naprawdę ogromnie mu przykro.

- Kumasz coś?

- Ni chujja. Pewnie nie oddał morfiny, naćpał się i teraz bredzi.

Pułkownik wreszcie wyjaśnił, o co mu chodzi. Nie popłyniemy do domu. „Norland” jest potrzebny na Falklandach, więc musimy wysiąść na Wyspie Wniebowstąpienia i resztę drogi przebyć samolotami.

- Kurwa, ciągle nie kapuję, za co on tak przeprasza.

- Ja też nie. A tam, sram na to, ważne, że wracamy do domciu. Mam w dupie, czym wrócimy.

- Ja słyszałem, że w dupie mieszasz co innego.

- Ej, odpierdol się, zwiędły kutasie.

- Zwiędły? Kurwa, dupę by ci rozsadziło, taki zwiędły.

Wszyscy w tylnym szeregu zachichotaliśmy. Pułkownik mówił dalej. Choć pozbawiono nas powitania w ojczyźnie, na które w pełni zasłużyliśmy, to znaczy nie przybędziemy wszyscy razem, tylko grupami w samolotach co dwie godziny, to nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: wrócimy sześć dni wcześniej.

- Zaraz, chwila, kurwa jego mać. Czy ja dobrze słyszę? Chcą nam skrócić służbę o sześć dni, wysłać wcześniej do mamusi, a ten psychopata lata po generalach i chce im przeszkodzić?

- Faktycznie, kurwa, masz świętą rację. To pewnie wynik wojny. Przetraćilo go pod kapeluszem.

Pułkownik powiedział, że pozostała jeszcze jedna droga, ale nie pokłada w niej zbyt wiele nadziei. Spróbuje jednak. Zrobi to dla nas. Dla swoich ludzi.

Staliśmy przerażeni.

Ostatnią rzeczą, jakiej od niego żądaliśmy, to opóźnianie naszego powrotu. Chcieliśmy do domu - im szybciej, tym lepiej. Niech szlag trafi huczne powitania.

- Ukatrupmy zaraz tę pizdę.

- Powiem ci, bracie, gdy następnym razem zobaczę

jego kurewską mordę, od razu dam sobie w żyłę, żeby jakoś przetrzymać.

– Mówilem ci: kulka przetrąciła go pod kapeluszem.

W ostatecznym rozrachunku misja naszego pułkownika, by zatrzymać nas na „Norlandzie”, nie powiodła się i z Wyspy Wniebowstąpienia wróciliśmy samolotami.

Mam w domu kasetę wideo. Kupiłem ją za trzy funty na wyprzedaży z bagażnika samochodowego w Exeter. To film, który opowiada o wojnie falklandzkiej. Oglądałem go wiele razy, sam i z innymi. Przekonałem się, że kiedy oglądam w towarzystwie, bez przerwy wskazuję palcem ekran i mówię: „To ja” albo „Byłem tam, kiedy w to trafili”.

Zauważyłem, że ruchome obrazki z wojny, w której brałem udział, potrafię oglądać prawie bez emocji. Widok trupów pod Goose Green przyjmuję ze spokojem. Nawet widok grzebania mężczyzn, których kiedyś znałem, przyjmuję ze spokojem. Przyjmuję wszystko. Cemu nie? Żyję ciągle, czego więcej można chcieć?

Potem nadchodzą sceny naszego powrotu do ojczyzny. Znowu oglądam lądowanie samolotów w Brize Norton, załzawione żony i dzieci, wdzięcznych żołnierzy i wtedy mój nastrój całkowicie się zmienia. Kiedy widzę, jak ludzie padają sobie w ramiona, jak ojcowie podnoszą do góry swe pociechy, widzę same szczęśliwe twarze, wtedy płaczę. Kiedy oglądam z innymi, zrywam się, by w porę wyłączyć magnetowid. Nie chcę okazywać uczuć. Zwłaszcza przed samym sobą.

Film pokazuje też okręty wracające do Anglii. Na jednym z nich płynęła piechota morska – wszyscy razem. Okręt otoczyły tysiące małych łodzi. Na nabrzeżu czekają dziesiątki tysięcy ludzi. Widać płaczące żony, szczęśliwych żołnierzy, orkiestry grające głośno „Rule Britannia”. Kiedy oglądam powrót piechoty, znowu zaczynam płakać. Płaczę, bo te obrazy przypominają mi

mój powrót, oraz dlatego, że czuję, iż nas czegoś pozbawiono.

Posłuchajcie, proszę.

Oto fakty: mój batalion, Drugi Spadochronowy, był pierwszym brytyjskim batalionem, który wylądował na Falklandach. Pod Goose Green pierwsi ruszyliśmy do bitwy i byliśmy jedyną brytyjską formacją, która walczyła w dwóch bitwach na Falklandach. Pierwsi weszliśmy do Stanley. Jeżeli ktokolwiek zasłużył na huczne powitanie w ojczyźnie, to tylko my.

Ale go nas pozbawiono.

Dzielny inaczej (na pokładzie „Norlanda”)

Czytałem wiele relacji o wyczynach mojego batalionu „na dalekim Południu”, jeszcze więcej widziałem na własne oczy, lecz z jakiegoś powodu w żadnej nie wspomniano o jednym z naszych największych bohaterów. O kims, kogo wszyscy znaleźmy.

Nie wiem, jak się nazywał. Znałem go, podobnie jak wszyscy, tylko z pseudonimu, który brzmiał Wendy. Wendy był homoseksualistą, psem na męskie dupy, glistą odbytniczą, cwelem, obleśną ciotą, śmierdzącym pedziem, jebaną panienką... (koniec, więcej obelg nie pamiętam).

Był również zacnym człowiekiem.

Wendy pracował jako steward na „Norlandzie”. Podczas rejsu na Falklandy okręt zawinął do Freetown w Sierra Leone, by pobrać zaopatrzenie. Podczas postoju cywilom z załogi „Norlanda” dano do wyboru: mogli albo zostać na jednostce i płynąć na wojnę, albo wyjść i wracać do Anglii.

Wendy zdecydował się zostać.

Poznałem go już pierwszego dnia wieczorem. Czekałem wraz z innymi, aż otworzą na okręcie sklep wolnocłowy. Siedziałem na podłodze, oparty plecami o zaciągnięte sklepowe żaluzje, słuchając lewym uchem Supertramp, których kasetę miałem w walkmanie.

Zawodzili, żem „marzyciel, nikt inny, tylko marzyciel”.

Prawym uchem słuchałem starszego kaprała z kompanii strzeleckiej, który wyjaśniał płynną spadochroniarszczyzną, dlaczego w porównaniu do zinfiltrowanej przez marksistów-leninistów Partii Pracy oraz komunistycznej Rady Miejskiej Wielkiego Londynu współczesny thatcheryzm stanowi korzystniejszą propozycję dla zachowania równowagi między wydatkami na cele społeczne a cele obronne, czego rezultatem są większe fundusze dla przemysłu zbrojeniowego.

Brzmiało to mniej więcej tak:

– Małgośka to w porządku babka, nie tak jak różowe komuszki z Partii Pracy. Popatrzcie tylko na tę pidę, Kena Livingstone'a z Londynu, wydaje wszystkie pieniądze na kurewskie czarne lesbijki. Małgośka czegoś takiego by nie zrobiła. Kazałaby czarnym spierdalać i tyle. „Jazda po amunicję dla moich chłopców”, tak by powiedziała, kurwa ich mać.

Ponieważ siedziałem akurat na okręcie, który wiozł mnie na wojnę, dostrzegłem nieco racji w pogmatwanych wywodach starszego kaprała.

Kapral zamilkł nagle w pół zdania i krzyknął:

– Kurwa, a co to?!

Obróciłem się, by zobaczyć to, co zobaczył kapral. Szerokim korytarzem szedł ku nam, kręcąc biodrami, machając ręką, uśmiechając się i rzucając mile słówka do mijanych żołnierzy, cywil. Cywil homoseksualista, co do tego nie było wątpliwości. Z szeregów żołnierzy ścigało go czule „Cześć, kochaniutki” oraz propo-

zycje rozmaitych usług seksualnych nie nadające się do powtórzenia. Oto wkroczył Wendy.

Z upływem dni, kiedy byliśmy coraz bliżej Falklandów, Wendy „wszedł do składu”, to znaczy był na „Norlandzie” jak my wszyscy i nie wywoływał już sensacji swoją obecnością. Powoli stał się jednym z nas. Jednym z tych, którzy płynęli na wojnę.

Wendy miał talent, który z czasem zdobył mu sympatię nawet najbardziej zacierzewionych „antypederastów”. Grał na pianinie i śpiewał. Co wieczór wchodził na scenę w świetlicy i wykonywał cały swój repertuar dla zaprzysięgłych wielbicieli wypełniających szczelnie salę.

W drodze powrotnej do Anglii dzieliliśmy „Norlanda” z Trzecim Spadochronowym, który na Falklandy popłynął „Canberra” wraz z komandosami z piechoty morskiej. Ci na górze uświadomili sobie, że doszłoby do jatek, w porównaniu z którymi bitwa pod Goose Green wyglądałaby jak piknik, gdyby posłali razem do domu spadochroniarzy i piechotę morską, więc Trzeci Batalion ulokowano z nami na „Norlandzie”.

Pamiętam, że siedzieliśmy w jednym z barów i graliśmy w karty, chłopak z mojej paczki plus kilku z Trójki, którzy się przyłączyli. Przeszedł Wendy i pomachał nam na powitanie. Jeden z Trójki zapytał, co to za obleśny pedał.

Natychmiast tego pożałował.

Cały stolik obrócił się do niego. Poinformowano go, że Wendy może i jest pedałem, ale to nasz pedał, więc jeżeli nie chce połknąć własnych zębów, to niech się, kurwa, lepiej zamknie.

Żołnierz przeprosił.

Godziną największej chwały Wendy'ego było jego „Tournée pożegnalne”. (Występował w trzech lokalach: w naszym barze, w barze sierżantów i w barze oficerów). Wypadło to akurat w święto Sił Powietrzno-

-Desantowych (co dla spadochroniarzy znaczy tyle, ile Boże Narodzenie) podczas naszego rejsu do domu. Bar pękał w szwach. Kiedy na scenę wniesiono pianino, wszyscy zaczęli tupać i skandować: – Wendy, Wendy!

Każdą piosenkę kończyły gromkie brawa i Wendy musiał wykonać kilka bisów. Wreszcie, gdy występ dobiegł końca i owacja ucichła, wręczono mu jeden z naszych drogocennych czerwonych beretów. Uczyniono z Wendy'ego honorowego spadochroniarza naszego pułku.

Każdy z nas zna jakąś historię o Wendym. Moją ulubioną jest ta, którą opowiedział pewien podoficer naszego batalionu:

„No i siedzimy na «Norlandzie» w zatoce San Carlos, argentyńskie samoloty dają nam wpierdol jak skurwysyn, okręt oberwał dwa razy, jakiś pierdola woła przez radio, że pod Goose Green potrzeba im amunicji, uwijamy się, żeby jak najszybciej załadować barkę desantową, a Wendy, kurwa mać, brzęczy mi nad uchem, żebym się spręzał. Po to służyłem piętnaście lat w woju, żeby mi siedział na tyłku jakiś gejek i nadawał, że mam się, kurwa, spieszyć, bo je go chłopakom brakuje pieprzonych kulek!”

Dziś, gdy rozmawiam z kolegami z batalionu i wspominamy wojnę falklandzką, nie obejdzie się bez wzmianki o Wendym. Uczciwie chyba byłoby stwierdzić, że częściej wspominamy jego niż kawalera Krzyża Wiktorii Jonesa i jemu podobnych. Nie wiem, czy to w porządku, wiem tylko, że tak jest. I już nikt nie mówi o Wendym: „pies na męskie dupy”, „glista odbytnicza”, „cwel”, „obleśna ciota”. „Gej” to najostrzejsze określenie, jakie go dziś może spotkać, wypowiedziane z uśmiechem i uczuciem.

Widzicie, żyjemy, więc wciąż się uczymy.

Czego nie wiecie o wojnie

(---)

Wszyscy dostali religijnego zajoba.

Zaczął się już w drodze na południe. Im bliżej było, tym lepsza frekwencja. Gdy odprawiano mszę przed ostatnią mszą przed ostatnią mszą przed ostatnią mszą przed desantem, Bóg miał komplet na widowni.

Przeczytałem w pewnej książce, że my, żołnierze Drugiego Batalionu Pułku Powietrzno-Desantowego, stanęliśmy przed Bogiem jako równi wobec siebie. W innej książce przeczytałem, że kiedy zegar wybił północ, Kopciuszek zgubił szklany pantofelek, a karetą zamieniła się z powrotem w dynię. (Zadaję sobie następujące pytanie: skoro staliśmy przed Bogiem jako równi, to jak to się dzieje, że na tablicach pamiątkowych w kościołach nazwiska oficerów zawsze widnieją nad nazwiskami żołnierzy niższych rang?)

Wyglądało na to, że wszyscy chodzą się modlić. Z wyjątkiem mnie. Ja nie chodziłem.

Wychowano mnie na świadka Jehowy, zatem gędzenie w towarzystwie o Bogu było zajęciem, którym się paralem trzy razy w tygodniu, jeszcze zanim skończyłem piętnaście lat. Można wiele zarzucić świadkom Jehowy, ale jedno trzeba im przyznać: znają Biblię na wylot i żyją zgodnie z jej przykazaniami. Z tego, co przeczytałem o nauczaniu Jezusa, wnioskuję, że ich koncepcja jest mniej więcej trafna, jeśli się poszukuje życia wiecznego w ujęciu chrześcijańskim.

Krzewiciele nauki Jezusa znani jako świadkowie Jehowy niezbyt lubią wojnę – są pacyfistami. Ma to związek z ich interpretacją Biblii, w szczególności przykazania „Nie zabijaj”. Krzewiciele nauki Jezusa znani jako kapelani wojskowi Kościoła anglikańskiego nie są pacyfistami. Zdaje się, że ma to coś wspólnego z ich

poprawioną wersją Biblii, a w szczególności z interpretacją przykazania „Nie zabijaj”.

Z racji pacyfistycznego wychowania na podłożu religijnym miałem od początku trudności ze zrozumieniem roli Kościoła w wojsku. Duchowni w mundurach, którzy błogosławią wojskowe sztandary i jednocześnie wychwalają radośnie imię Pana, to widok, który wydawał mi się osobliwy. Sądzę, że moje opory brały się z niemożności pogodzenia się z jednej strony z nauką zabijania, z drugiej zaś z opowiadaniem o tym wszystkim Jezusowi.

Oczywiście moja ocena kapelanów wojskowych była zbyt surowa. W końcu dlaczego dwie średniowieczne instytucje nie mają przejść przez ciężkie czasy ręką w rękę, podtrzymując się, potwierdzając nawzajem swą dziejową rolę? Z tego, co wiem, Jezusowi mogłoby się to nawet spodobać. Przecież kocha nas wszystkich – przyznają to obie interpretacje.

Ranikiem pierwszego dnia w Goose Green, niedługo po tym, gdy wypuściliśmy mieszkańców z domu kultury, spotkałem naszego kapelana, kapitana Coopera. Porozmawialiśmy. Pamiętam, że powiedziałem, że wydarzenia ostatnich dni skłoniły mnie do myśli o Bogu, że pogłębiły moją wiarę. Kapelan odparł, że ze zdziwieniem to słyszy, ponieważ na niego ostatnie dni miały odwrotny wpływ, że jego wiara została nadszarpnięta. Rzekłszy to, odszedł. Z jakiegoś powodu jego słowa sprawiły, że poczułem się podle. Żałowałem, że kłapałem jadaczką. Mówiąc, że udział w bitwie pogłębił moją wiarę, kłamałem. Powiedziałem tak, bo myślałem, że kapelanowi się to spodoba.

Z drugiej strony, może powiedziałem tak, bo chciałem w to wierzyć? Nie wiem.

Pierwszą zbiorową modlitwę na Falklandach odmówiliśmy – my, żołnierze Chrystusa lat osiemdzie-

siątych XX wieku – w Goose Green dwa dni po bitwie. Frekwencja była niezła. Nawet ja poszedłem. Było mnóstwo gadania, że nie masz większej miłości, niżli wtedy, gdy człowiek oddaje życie za przyjaciół i tym podobne zapewnienia. Kilka pieśni, szybko odmówiona Modlitwa Pańska, prośby do Opatrzności, by nas poprowadziła bez szwanku przez niebezpieczeństwa jutra. Chóralne „amen” i hop, z powrotem do okopów, by przygotować się do zamordowania jeszcze kilku katolików.

W sumie – atrakcja. Miła przerwa w monotonii kolejnego dnia.

Osobiście poprowadziłem modły w Fitzroy, kiedy było nas tam ciągle niewiele. Zakwaterowaliśmy się grupą w warsztacie, który był częścią dużej owczarni, oddzielało go tylko przepierzenie. Nasza grupa składała się głównie z żołnierzy plutonu saperskiego. Ten pluton dopiero co został na nowo sformowany i wszyscy żołnierze prócz trzech podoficerów służyli w naszym batalionie ledwie od kilku miesięcy.

Pluton ten był nie tylko nowym pododdziałem, ale też jego żołnierze byli najmłodsi ze wszystkich. Jeden nie miał nawet osiemnastu lat. Łamał sobie głowę, jak to, kurwa, jest, że może jechać na wojnę, a nie ma prawa głosować, pić piwa w pubach i oglądać filmów dla dorosłych, bo zbyt wiele w nich przemocy?

Powtarzałem mu, że ma to swoje dobre strony. Jeśli polegnie, na zawsze wpisze się do annałów pułku, a nawet do historii Anglii jako najmłodszy żołnierz brytyjski, który zginął podczas kampanii wyborczej torysów.

Na co on zawsze odpowiadał:

– Żeby ci smród chuja powykręcał.

Moje modły odprawione dla żołnierzy plutonu saperskiego przybrały formę fanatycznego, zielonoświąt-

kowego ceremoniału rodem z serca amerykańskiego Południa (jak w *Przeminęło z wiatrem*) oraz w duchu dosłownego rozumienia Pisma Świętego.

Wszedłem do pomieszczenia wraz z Rayem i z najlepszym akcentem amerykańskiego hodowcy bawełny, na jaki było mnie stać, powiedziałem do mych braci w Chrystusie:

– Alleluja, chwała Panu.

– Alleluja, chwała Panu – odparli.

– Skłońcie głowy, drodzy bracia, i odmówmy wspólnie Modlitwę Pańską:

„Matko nasza, któraś jest na Downing Street, święć się ego twoje, bądź wola twoja jako w Richmond nad Tamizą, tak i w Brixton. Prochu naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam wystrzały przez nieuwagę, choć my ich nie odpuścimy skurwielom, którzy wystrzelą ze szkodą dla nas. I nie wódz nas na pola minowe, ale nas zbaw od sierżanta sztabowego, amen”.

Mało czolobitne, zgoda, ale pośmiać się można.

Dzień po przybyciu do Stanley nasz batalion poszedł na porządne nabożeństwo. Umyliśmy się i ogolili, wyczyściliśmy mundury, na ile się dało, i pomaszewaliśmy ulicami stolicy do katedry.

Znów nadeszła godzina Zwycięskich Spadochroniarzy.

Nabożeństwo filmowała ekipa telewizyjna. Mam kopię na taśmie video. Widzę się stojącego w jednym z tylnych szeregów. Żartuję sobie zawsze, że kiedy umrę i okaże się, że chrześcijanie mieli rację, zawsze mogę pokazać świętemu Piotrowi tę kasetę na dowód mojej pobożności.

Stojąc w katedrze, spoglądałem na twarze kolegów. Przyszło mi do głowy, że jesteśmy całkiem inni od ludzi, którymi byliśmy jeszcze kilka tygodni temu. Na własne oczy widzieliśmy wojnę. Uważałem, że staliśmy się lepsi dzięki temu. Że żaden z nas nie będzie już

taki, jaki był przedtem. Nie będziemy gnoić, nigdy nie uderzymy pierwsī, będziemy współczuć, mieć więcej szacunku dla kobiet. Kiedy tak myślałem, kapelan mówił:

– Chciałbym, żebyście na zawsze zapamiętali, co czuliście, kiedy myśleliście, że zginiecie, i co wtedy wydawało się wam ważne. Może żona, może dziewczyna, a może wasz czworonogi przyjaciel?

Gdy padły słowa „czworonogi przyjaciel”, kilku z nas zachichotało, bo czworonogami nazywaliśmy między sobą prostytutki. Chichot się wzmagał i przeszedł w śmiechy.

– Może nawet... – kapelan przerwał, ponieważ hałas przeszkadzał mu mówić. Mniej bystrzy dopiero teraz załapywali grę słów. – ... może nawet tylko własne życie? – dokończył.

Tyle z moich nadziei na szacunek dla kobiet.

Często zastanawiałem się potem nad tym, co mówił kapelan. O kim to myśleliśmy, gdy groziła nam śmierć. W moim wypadku odpowiedzią jest matka. Gdybym był kapelanem, zadałbym jeszcze jedno pytanie. Zapytałbym: „O kim myśleliście, kiedy zrozumieliście, że przeżyjecie, i kto wtedy wydawał się wam ważny?”

Ja myślałem o s o b i e. Ja byłem dla siebie najważniejszy.

Na nabożeństwie w Stanley podziękowaliśmy Bogu, że wybawił nas od śmierci. Poprosiliśmy go również, by miał w opiece rodziny i bliskich wszystkich poległych. Podziękowaliśmy Panu, lecz ani razu nie poprosiliśmy o przebaczenie.

Od tamtej pory prosiłem wielokrotnie.

Lubię myśleć, że znam Biblię na wylot. Zmuszano mnie jako dziecko, bym ją czytał, a potem trafił mi się w życiu czas, gdy narodziłem się na nowo, jak to kiedyś przydarzyło się koledze Nikodemowi.

Zawsze uważałem, że życie chrześcijanina jest zde-

terminowane przez przykład Jezusa Chrystusa. Że chrześcijanin powinien żyć tak, jak żył Chrystus. Traktując tę zasadę jako podstawę wszelkich czynów i wszelkiej myśli, zadają sobie następujące pytanie: „Co zrobiłby Chrystus, gdyby był pod Goose Green?” Chętnie odpowiadam, że prawdopodobnie poprosiłby bliźniego, by odłożył broń. By nie odbierał życia drugiemu. By zamiast tego odebrał Jemu.

A może mi się wszystko pokręciło?

Będę ich pamiętał (czasem)

Po wojnie falklandzkiej często bywałem w brytyjskich klubach weteranów. W większości z nich wisi na ścianie płyta pamiątkowa. Na płycie wyryto słowa:

„GDY SŁOŃCE POCHYLI SIĘ KU ZACHODOWI
I GDY NADEJDZIE RANEK,
BĘDIEMY ICH PAMIĘTAĆ”.

Dla mnie te słowa to kłamstwo. Kiedy budzę się codziennie, nie przywołuję w pamięci poległych, których kiedyś znałem. Zwykle myśli zajęte mam tym, jak zapłacić niebywale rachunki, które przypiąłem w kuchni do ściany, albo co przyniesie mi dzień. Wieczorem, kiedy kładę głowę na poduszkę, rzadko wspominam poległych, których kiedyś znałem. Zazwyczaj usiłuję zrozumieć tę gmatwaninę, jaką w ostatnich dziewięciu latach stało się moje życie, a przed oczami mam wyraźne obrazy mych szaleństw.

Tuż przed zamknięciem klubów weterani prężą się na baczność i na modłę aktora recytującego tekst sztuki wypowiadają głośno słowa wyryte na tablicy pamiątkowej. Patrzą wtedy po twarzach i zastanawiam

się, czy oni też kłamią. Moja własna hipokryzja nie daje mi spokoju, bo wiem, że jak długo większość z nas będzie grała rolę napisane dla nas przez polityków, ich kapłanów i ludzi, którzy dzielą forszę, tak długo nie położymy kresu potwornościom wojny.

Owszem, pamiętam o poległych, których kiedyś znałem, poległych po obu stronach wojny, w której walczyłem. Ale pamięta ich nie ten Ken, który siedzi pijany z innymi weteranami i wspomina rzewnie piękno wojny, lecz ten, który wojnę widział na własne oczy, zaznał jej potworności, jej bezsensu i do dziś czuje niepokój w duszy, że był świadkiem tego wszystkiego.

Pamiętam poległych, których kiedyś znałem. Ale pamięta ich nie ten Ken, który krzyczy do kolegów: „A oblesny brudas, którego sierdziuch dobił, pamiętacie go?“, lecz ten, który w samotności modli się szeptem za jednookiego, umierającego chłopca z Argentyny.

Pamiętam poległych, których kiedyś znałem. Ale pamięta ich nie ten Ken, który rozprawia o dzielnych młodych mężczyznach, co nacierając na okopy wroga zginęli bohaterską śmiercią za królową, za słuszną sprawę, za ojczyznę, lecz ten, który mówi o młodych mężczyznach porozrywanych i podziurawionych przez latające kawałki metalu, o młodych ludziach, co krzyczeli i umierali w bólu, i modlili się o łaskę do Boga wcześniej przez nich nie uznawanego.

No więc widzicie, pamiętam poległych, których kiedyś znałem – czasem.

Chciałbym zmienić tekst na tablicach pamiątkowych. Chciałbym dać sobie szansę i nie być zmuszony kłamać. Napisałbym te słowa:

„Czasem – kiedy uda nam się odnaleźć swą prawdziwą tożsamość – będziemy ich pamiętać”.



Spis treści

Podziękowania	6
Słowo wstępne	8
Manekiny sklepowe – bez życia, bez koni	11
Hej ho, hej ho, na wojnę by się szło	16
Cała naprzód!	20
Wyznania nałogowego palacza	23
Na południu bez zmian	24
Bombą we mnie, bardzo proszę	30
Śniło mi się, że... ..	32
Jem, sram, więc jestem (1)	34
Satelity miłości?	38
Zagubione owieczki	40
Śmierć, styropian i ja	45
Śmiech, narty wodne, dentysta i gorączka złota	47
Dzieciak z gnatem	48
Gdy w duszy szaruga, czas na szluga	50
Ewangelia według Łukowiaka	54
Bohater czy wariat?	58
Zabójcza, obłąkana flora Małgoški	63
Już myślałem, że ze mną koniec	67
Wytwór mojej wyobraźni?	70
Wrzaski, sny i wstyd	71
Namolne śmiecie	74
Jem, sram, więc jestem (2)	76
Żyjemy! Szczęśliwe dni	77
Niemieccy żołnierze w głąnach	83
Załatwiłem sobie sześciu jeńców	84
Urodzony nie w porę	92
Uzbrojeni plażowicze niespełna rozumu	96

Jem, sram, więc jestem (3)	101
Dom, gdzie moja miłość... ..	103
Palacze w czarnych plastikowych workach	105
W powietrzu i na czatach – umierając ze strachu .	108
Naiwni, uradowani bohaterowie	115
Chorzy, niezrównoważeni ludzie	118
Pornograficzne walijskie batoniki	122
Wyjątkowo szczere bezguście	126
Cierpiący na klaustrofobię, rozmodleni wypatrywacze samolotów	127
Kosym okiem na czwartą władzę	129
Kretyńskie pytania	132
Ścigany listem	135
Zimne nóżki	137
Potrzebuję was	139
Nadlatują łyżki	143
Niewiedza błogostanem	146
Palacze – bez głów, bez nóg, bez życia	148
Jednego mniej dzięki mnie	153
Pstryk!	156
Czego nie wiecie o wojnie	159
Jezus cię kocha?	161
Do domu, odsłużyliśmy swoje!	167
Naiwni, przerażeni bohaterowie	169
Dzielny inaczej	173
Czego nie wiecie o wojnie	177
Będę ich pamiętał (czasem)	182

Autor tej książki urodził się w 1959 r. w Wielkiej Brytanii. Jest półkrwi Polakiem, stąd, na jego życzenie, oryginalna pisownia nazwiska w polskim wydaniu.

W latach 1979-1984 Ken Łukowiak był żołnierzem zawodowym, spadochroniarzem wojsk powietrzno-desantowych. Po inwazji argentyńskiej wiosną 1982 r. walczył na Falklandach. Jego batalion jako jedyna brytyjska formacja wziął udział w obydwu bitwach, które zapewniły Anglikom zwycięstwo: o Goose Green i o Stanley.

Starszy szeregowy Łukowiak nie odniósł na Falklandach obrażeń fizycznych. Wojna okaleczyła go inaczej – depresja, załamania, ataki szalu, wreszcie poważny kryzys osobowości. *Piosenka żołnierza* jest częścią terapii, próbą uwolnienia się od wspomnień. Ta szczerza aż do bólu relacja uczestnika wydarzeń, gorzka, a zarazem pełna humoru, po żołniersku brutalna i sentymentalna zachwyciła swoją autentycznością recenzentów brytyjskich i argentyńskich, którzy zgodnie wyznaczyli jej miejsce w jednym szeregu z legendarną książką Remarque'a *Na zachodnim froncie w czasie wojny*.

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

54751



000-054751-00-0

54751